Nie da się postawić tamy na drodze,
którą idzie ochrzczone społeczeństwo – naród
i nie da się przysłonić chrystusowego krzyża
i przytłumić blasku zmartwychwstania,
bo czynić to, to przeciwstawiać się Chrystusowi
i temu wszystkiemu, co Polskę stanowi".

Abp Sławoj Leszek Głódź



SPIS TREŚCI

'ECHA POLESIA'
Kwartalnik Zjednoczenia Społecznego „Związek Polaków na Białorusi"

Założyciel:
ODDZIAŁ BRZESKI ZS „Związek Polaków na Białorusi"

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy współudziale Senatu RP, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" i Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. T. Goniewicza oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:
Fundacja im. T. Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 446 72 87
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@gmail.com
www.fundacjagoniewicza.com.pl
KRS 0000103209

Skład i łamanie:
Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne POLIHYMNIA



TĘSKNOTA ZA POLESIEM

Hen zza sinej wstęgi rzeki Bug
powiał mi smutny wiatr rodzinny,
Przywołał echa z mych kresowych pól,
…głos jakiś rzewny… jakiś inny..
I w duszy mej obudził żal.

Hen, za ciemnym lasem granicznego lasu
we mgle spowita… leży moja ziemia…
pachnąca żywicą i dymem szałasów,
owiana tęsknotą… że synów już nie ma,
że wieszczy róg złoty ich wezwał na bój!

Czarem Polesia, tak jysi mię zdala,
urokiem smutnych, wodnistych moczarów,
poszumem kniei, co w sercu żal rozpala…
- prastarą pieśnią poleskich konarów,
kwileniem czajek – niby… skargą.

Spoglądam w dal… opuszczam obce strony
i sercem ulatam do mych cichych pól,
szepczę im tkliwie… jam wasz syn rodzony!
- jam krew za was przelał, cierpiał łzy i ból!
Przemocą losu wam z serca wyrwany.

Skarżą się kłosy, cichutko, nieśmiało,
kołysząc się sennie w takt głosu fujarek,
- zawodzi je rzewnie poleszucką nutą
pod krzyżem skulone – małe dziecię – grajek,
do Boga modły i prośby wygrywa.

Skarży się ziemia rozdarta granicą,
skarżą się serca szlachetnego ludu,
co ziemi nie zdradził – nie uległ przemocy,
- z uporem i wiarą – czeka swego cudu,
wolności wyśnionej i lepszego jutra.

Hen, zza błękitów, zza niebieskich bram
od tronu Boga… płynie zew proroczy…
co wnet ukoi krwawe blizny ran,
osuszy matek załzawione oczy…
i w sercach szczęścia rozpali żar.

I pryśnie zły czar… zza sinej wstęgi lasu
powrócą ptaki do rodzinnych gniazd,
popłyną lata nowych, lepszych czasów,
i ożyją serca poleszuckich miast:
Brześcia, Pińska i Kobrynia.

Alina Terpiłowska
24.02.1948 r.

Marz, odważ się, działaj!

„Giełda Młodzieżowych Inicjatyw Społecznych”

Współczesna rzeczywistość społeczna przekonuje nas o konieczności wychowania ambitnej, aktywnej, przedsiębiorczej, społecznie zaangażowanej młodzieży. Właśnie ten aspekt został wzięty pod uwagę przez organizatorów projektu „Giełda Młodzieżowych Inicjatyw Społecznych” (GMIS) – Polską Fundację „Szczęśliwe dzieciństwo” wraz z białoruskim partnerem Agencją Rozwoju Regionalnego „Dziedzicz”. Głównym celem projektu było pobudzenie uczniów do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym, wzmocnienie świadomości społecznej i obywatelskiej poprzez konkretne działanie na rzecz wspólnot, w których żyją oraz nabycie przez uczestników kompetencji i umiejętności oraz wiedzy praktycznej niezbędnych do funkcjonowania w społeczności lokalnej.

Projekt został zrealizowany w pierwszym półroczu roku szkolnego 2011/12. Do udziału w projekcie na podstawie listów motywacyjnych (uwzględniając m.in. aktywność społeczną i postępy w nauce) zostało wybranych 16 uczniów Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu.

W ramach jednego z etapów „Giełdy Młodzieżowych Inicjatyw Społecznych” odbyły się warsztaty w Motyczu Leśnym k/Lublina. Uczestnicy projektu wzięli udział w zajęciach teoretycznych oraz praktycznych prowadzonych przez trenerów Fundacji „Szczęśliwe dzieciństwo”, m.in. prezesa Fundacji Wacława Czakona i koordynatora projektu Jana Fedirko. Oprócz wykładów na temat aktywności społecznej, przedsiębiorczości, samorządu miejskiego itp., zostały zorganizowane różne gry i zabawy integracyjne. Ale główną formą i metodą pracy była „Giełda inicjatyw”. Specjalnie dla projektu została założona strona internetowa http://gmisby.fsd-projekty.eu/, gdzie każda z młodzieżowych grup (było ich cztery) wymyślała i zgłaszała swoje inicjatywy. Pozostałe grupy mogły je „wykupywać” na zasadzie licytacji i realizować je w swoim środowisku szkolnym lub lokalnym. W sumie grupy zgłosiły 259 inicjatyw, z których zrealizowane zostały 102 inicjatywy.

Podczas 6-dniowego pobytu w Polsce nie zabrakło również ciekawych wyjazdów i spotkań. Dla uczestników zostały zorganizowane wycieczki do Lublina i Nałęczowa. W Lublinie odbyło się spotkanie z pełnomocnikiem prezydenta Miasta ds. partycypacji społecznej i współpracy transgranicznej Pawłem Prokopem. Oprócz tego młodzież odwiedziła Fundację „Nowy Staw”, gdzie dowiedziała się o różnych sferach jej działalności.

Projekt Giełdy Młodzieżowych Inicjatyw Społecznych zakończył się konferencją podsumowującą w Brześciu. Każda z grup zadaniowych przedstawiła przebieg swojej pracy. Najwięcej punktów otrzymała grupa „Złota rybka”. Ale wszyscy uczestnicy, którzy wzięli udział w projekcie, mogą czuć się zwycięzcami. Poza pięcioma nagrodami regulaminowymi każda osoba otrzymała pamiątkowy dyplom i drobny upominek, jednak najważniejszą nagrodą była możliwość nabycia nowej wiedzy i umiejętności. Giełda pomogła każdej grupie poczuć się miniprzedsiębiorstwem, uczniowie musieli samodzielnie zorganizować swoje działanie, prowadzić dokumentację, wymyślać inicjatywy. GMIS to doskonały pomysł na wyzwolenie kreatywności i sprawdzenie swoich sił. Miejmy nadzieje, że hasło „Marz, odwarz się, działaj...” będzie towarzyszyło uczestnikom projektu w przyszłości przy podjęciu każdej działalności.

Natalia Michnowska



Konkurs piosenki Anny German

18 lutego 2012 r. nowy zespół wokalny „Ars-Libero" działający przy brzeskim oddziale ZPB oraz solistka Katarzyna Griczyk uczestniczyli w Konkursie piosenki Anny German, zorganizowanym przez Ambasadę RP w Mińsku. W konkursie wzięło udział 29 wykonawców (solistów, zespołów muzycznych i chórów). W kategorii I występowali wokaliści w wieku do 15 lat, w kategorii II – wokaliści w wieku od 16 do 30 lat, w kategorii III – wokaliści po 31 roku życia oraz zespoły muzyczne. Każdy z wykonawców wykonał dwa utwory, przynajmniej jeden obowiązkowo w języku polskim. Stopień znajomości języka polskiego był jedną ze składowych ocen jury. Zwycięzcą w kategorii I została **Eugenia Danielewicz** z Pińska, w kategorii II – **Oksana Szczetko** z Iwieńca, drugie miejsce zajęła **Katarzyna Griczyk** z Brześcia, trzecie – **Anna Januszkiewicz** z Mińska, pierwszym w kategorii III został chór „Społem" działający przy ZPB w Mińsku, wyróżnienie otrzymał duet Dymitr Ustinow i Aleksiej Nekryłow działający przy chórze Cantus Cordis z Mińska.



Zespół wokalny „Ars-Libero" powstał w 2012 roku, w którego skład weszli uczestnicy polonijnego chóru „Zgoda", działającego przy oddziale brzeskim ZPB w Brześciu. Po raz pierwszy „Ars-Libero" zaprezentował się 18 lutego 2012 roku, biorąc udział w konkursie, poświęconym twórczości Anny German w Mińsku. Zespół został zauważony i wyróżniony jako jeden z pięciu najlepszych zespołów i wykonawców.

Hanna Paniszewa

Udział w X Światowych Igrzyskach Polonijnych



W dniach 25.02-02.03.2012 r. w Szczyrku odbyły się X Światowe Zimowe Igrzyska Polonijne. W igrzyskach uczestniczyli Polacy z 20 państw. Związek Polaków Białorusi reprezentowali zawodnicy z Grodna, Lidy, Mińska, Brześcia i Pińska – ogółem 33 osoby. W rywalizacji sportowej drużyna ZPB zdobyła w klasyfikacji punktowej 175 punktów, 6 złotych, 4 srebrnych i 5 brązowych medali, co pozwoliło zająć 8 miejsce. Drużyna przywiozła ze Szczyrku także puchar i dyplom.

Alina Mickiewicz

Polak z Brześcia na wystawie „Insita -2012”

W dniach od 3 kwietnia do 15 maja 2012 r. w Art-Centrum Marka Szagala w Witebsku odbywa się międzynarodowa wystawa „Insita 2012”, poświęcona 125 rocznicy urodzin Marka Szagala.

W tej wystawie po raz pierwszy bierze udział utalentowany niepełnosprawny artysta Andrzej Kondraciuk z Brześcia.

Andrzej Kondraciuk urodził się w 1975 r. w Brześciu. W 1992 r. ukończył Brzeską Szkołę Plastyczną. Pracuje głównie w technice pasteli. Uprawia również rysunek. Zainteresowanie sztuką u Andrzeja dało się zauważyć już w dzieciństwie, gdy przyglądał się twórczości swojego dziadka Antoniego Koksztysa, nieprofesjonalnego, ale mającego duży talent malarza. Z pewnością duży wpływ na ukształtowanie stylu młodego artysty miała też jego mama Alina, malarz-pedagog. Będąc dzieckiem, chwilami szukał odosobnienia, gdzie mógł swobodnie rysować, a ulubionym motywem wtedy było rysowanie portretów znajomych. Rysując je, głównie z pamięci, potrafił przekazać wyjątkowe podobieństwo z przedstawianą osobą. Andrzej dodatkowo interesuje się literaturą o sztuce i o malarzach. Jego ulubionymi są Mark Chagall, Van Gogh.

Prace Andrzeja mają indywidualny, czasem intuicyjny charakter, przekazują instynkt szczerości i duchowego przeżycia. Obrazy noszą walor miękkości kolorystycznych rozstrzygnięć i zaskakujących kompozycyjnych roz-









wiązań, często przechodzące w umowne formy czy plamy. Jedną z istotnych cech jego charakteru jest zamknięcie się w sobie, stąd powstaje jego specyficzny świat i wyjątkowa umiejętność patrzenia na otaczającą go rzeczywistość. Ta cecha nadaje jego pracom osobliwy, intymny charakter, często zależny od nastroju malarza.

Andrzej Kondraciuk jest członkiem Towarzystwa Artystów Plastyków „Mostek" przy Związku Polaków w Brześciu.

W 2010 r. brał udział w wystawie młodych twórców w Brześciu,

2011-2012 – udział w wystawie zbiorowej TAP „Mostek" w Konsulacie RP w Brześciu

2011 – udział w plenerze „Polesie oczami jego mieszkańców"

2011 – udział w wystawach w Terespolu i Białej Podlaskiej.

W kwietniu/maju 2012 wziął udział w IV międzynarodowej wystawie „INSITA 2012" w Witebsku, poświęconej 125-leciu urodzin M. Chagalla. Prace Andrzeja cieszyły się dużym zainteresowaniem i wyraźnie wyróżniały na tle innych.

Jego obrazy znajdują się w prywatnych kolekcjach na Białorusi oraz za granicą. Po kilku dniach wystawy w Witebsku kierownictwo Art-Centrum Marka Szagala wyszło z propozycją organizacji w następnym roku wystawy personalnej artysty.



Red.

Wiosenne inspiracje



11 marca 2012 r. w gromadzie zuchowej „Zające na Łące" odbyła się zbiórka okolicznościowa pod tytułem „Witaj, Wiosno", podczas której zuchy przedstawiły mały spektakl teatralny składający się z piosenek, tańca i gier. Sala była udekorowana kwiatami i balonami, a w powietrzu unosił się aromat tulipanów. Atmosfera podczas zbiórki była bardzo przyjemna i wesoła. Scenka opowiadała o życiu natury wiosną. Zuchy wcielały się w rolę zwierząt, kwiatów, motyli oraz słońca, wiatru i deszczu. Rodzice zostali bardzo wzruszeni przedstawieniem, a szczególnie mamy, ponieważ w trakcie przedstawienia zuchy wręczyły im niespodzianki zrobione swoimi rękoma z okazji dnia kobiet. W trakcie zbiórki rodzice zuchów mogli częstować się herbatką i ciastkami.

Anna Polijechowa

Dla polskości Papież zrobił najwięcej ze wszystkich współczesnych Polaków.
Romuald Mieczkowski, redaktor kwartalnika „Znad Wilii”
(Wilno, 2011)

Znaczenie pielgrzymek Jana Pawła II dla tożsamości kulturowej rodaków na Wschodzie

Uczestnicy spotkań rodaków z Janem Pawłem II

Dla zrozumienia wpływu spotkań z Janem Pawłem na samoidentyfikację i tożsamość kulturową Polaków na Wschodzie, konieczna jest charakterystyka tamtejszych społeczności polskich, które w spotkaniach tych brały udział i śledziły je dzięki mediom. Ich religijność i polska tożsamość kulturowa ma od dawna specyficzny charakter. Kształtowała się ona pod wpływem zupełnie innych czynników niż zbiorowości polonijnych na Zachodzie. Te ostatnie powstały w wyniku emigracji i cieszyły się zawsze swobodą religijną. Natomiast Polacy na dawnych Kresach Wschodnich RP byli i są, na Łotwie, na Litwie, na Białorusi i Ukrainie, ludnością autochtoniczną i mniejszościami narodowymi. Gdzie indziej na Wschodzie są migrantami lub ich potomkami, przymusowymi lub dobrowolnymi. Przez kilkadziesiąt lat byli odcięci od polskiej kultury i łączności z Polską. Poza Litwą nie mieli szkół polskich, ani żadnych innych możliwości jej poznawania i podlegali silnej presji w kierunku ateizacji i wynarodowienia. W ogromnej części, znów poza Litwą, utracili czynną znajomość języka polskiego, choć z wielką troską zachowywali go w życiu religijnym. Z racji swej narodowości i religijności byli narażeni na dyskryminację i żyli w zastraszeniu. Starsze pokolenie pamiętało deportacje na Wschód, grabież mienia i terror. Ich polska tożsamość kulturowa i samoidentyfikacja narodowa przez kilkadziesiąt lat wyrażała się jedynie w modlitwie w języku polskim w domu i w kościele. Jej ostoją były nieliczne kościoły i liturgia w tym języku. Nie mieli swobody religijnej. Duża ich część od lat 50, ub. wieku zawarła małżeństwa mieszane narodowościowo i wyznaniowo. Wynikiem tej sytuacji jest proces wynarodowienia obejmujący młodsze pokolenie i zróżnicowany poziom świadomości narodowej.



Spotkanie Ojca Św. Jana Pawła II z Polakami z Białorusi.
Watykan, październik 1998

W każdym kraju Papież zwracał się do ogółu wiernych. Ponieważ wszędzie znaczną ich część stanowili Polacy, zwracał się także do nich. Z racji wspomnianej już, niedawnej ciężkiej sytuacji religijnej i narodowej, reagowali oni na obecność i nauczanie papieża w sposób bardzo żywy i głęboki. Dla wszystkich jego wizyta była niesłychanie wymownym i ważnym znakiem końca trwających przez dziesięciolecia bolesnych ograniczeń religijnych. Dlatego relacje ze spotkań z papieżem wyrażają wielką radość, wzruszenie i nadzieję. Charakterystyczna jest wypowiedź osoby z Ukrainy na temat reakcji wiernych po podaniu przez duszpasterza oficjalnej wiadomości o przyjeździe papieża. *Wtedy po mszy wszyscy wyszli na zewnątrz i zaczęli się ściskać, składać sobie życzenia; młodzież tańczyła. Dziadkowie płakali. Panował ogromny en-*



Audiencja u Ojca Świętego Jana Pawła II grupy młodzieży i nauczycieli z Brześcia i Pińska, zwycięzców festiwali wokalnych piosenki polskiej. Watykan, Sala Klementyńska , 30.05.2000 r., godz. 11,40

tuzjazm (kobieta lat 50). We wspomnieniach powtarzają się słowa: „Wszystkim dodawał odwagi".

Należy dodać, że zanim doszło do wizyt papieża w krajach b. ZSRS, pewna część Polaków w krajach za wschodnią granicą, choć zapewne niezbyt wielka, dzięki radiu i telewizji śledziła pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, poczynając od 1979 r. Nauczycielka polska z Brześcia na Białorusi, na pytanie, czy Polacy słuchali relacji radiowych z pielgrzymek papieża do Polski w różnych latach odpowiada:

Relacji radiowych słuchali ludzie starsi, młodsi – posiadacze anten satelitarnych, oglądali w TV „Polonia". Moja rodzina słuchała relacji z pielgrzymek w radiu i oglądała w TV "Polonia". Przywoziłam także z Polski gazety i czasopisma, kasety magnetofonowe, wydawane po każdej pielgrzymce Ojca świętego do Ojczyzny. Byliśmy dumni i szczęśliwi, że należymy do narodu Jana Pawła II, że Słowo naszego Papieża Polaka dociera do najdalszych zakątków świata i nasze serca, i nasze myśli są solidarne. Pamiętam, jak zbierałam wszystkie publikacje o Papieżu, tworzyłam albumy dla swoich uczniów w Klubie Polskim, robiłam razem z nimi gazetki szkolne. Było to wielkie, wzruszające poczucie dumy i radości z przynależności do wiary, do Kościoła. Radiowych relacji z przebiegu pielgrzymek papieża do Polski słuchano także na terenach bardziej oddalonych od granicy z Polską. Po rozwiązaniu się ZSRS w 1991 r. tysiące Polaków zza wschodniej granicy uczestniczyło Polsce w spotkaniach z papieżem.

Miejsce i charakter spotkań

Papież Jan Paweł II odbył duszpasterskie pielgrzymki do trzech krajów bałtyckich (Litwa, Łotwa, Estonia) oraz do Gruzji, Kazachstanu i na Ukrainę. W każdym z tych krajów zwracał się do rodaków w języku polskim, lecz w innych okolicznościach. Na Litwie Polacy najpierw uczestniczyli w ogólnym nabożeństwie w parku nad Wilią (5 IX 1993), gdzie ich obecność została kilkakrotnie zaznaczona w liturgii, podobnie jak podczas nabożeństwa w Ostrej Bramie. Ponadto miało miejsce osobne spotkanie z Polakami w kościele Św. Ducha (5 IX). Na Łotwie Jan Paweł II dwukrotnie zwracał się do rodaków po polsku. W Rydze, na zakończenie Mszy św. w parku Meža (8 IX 1993) i w sanktuarium maryjnym w Agłonie (9 IX). Swoją homilię wygłosił tu po łotewsku, po polsku i po rosyjsku. W Estonii, podczas nawiedzenia kościoła katolickiego w Tallinie, przemawiał po estońsku i po polsku (Tallin – 10 IX 1993). W listopadzie 1999 r. Jan Paweł II wracając z Indii przybył do Gruzji. W Tbilisi podczas Mszy św. w Pałacu Sportu zwrócił się do rodaków po polsku (9 XI 1999)

Na Ukrainie, podobnie jak na Litwie, obecność Polaków została szczególnie zaakcentowana. We Lwowie liturgia Mszy św. dla ogółu wiernych była w języku polskim, podobnie jak i homilia papieska (26 VI 2001). Dwa dni wcześniej, w Kijowie Jan Paweł II dwukrotnie, podczas nabożeństw dla ogółu wiernych, zwracał się po polsku do rodaków na Ukrainie i przybyłych z krajów sąsiednich (z Białorusi, Rosji, Mołdawii). Najpierw po Mszy św. na lotnisku Czajka, a następnie na zakończenie spotkania z przedstawicielami Wszechukraińskiej Rady Kościołów i organizacji religijnych. Podobnie było w tym samym roku w Kazachstanie. I tu dwukrotnie, w dłuższych przemówieniach i w serdecznych słowach zwrócił się do Polaków podczas kolejnych liturgii Mszy św. Astanie (23 IX i 24 IX 2001).

Trudno powiedzieć jak duża liczba Polaków w wymienionych krajach i w Polsce uczestniczyła osobiście w spotkaniach z papieżem. Przybywali na nie, nie tylko z tych krajów, ale i z kilku innych. W sumie liczbę tę można oceniać zapewne na kilkaset tysięcy.

Wszędzie na spotkaniach z papieżem w krajach zamieszkania stanowili największe zgromadzenie Polaków, jakie tam kiedykolwiek zaistniało. Miało to dla nich niemałe znaczenie moralne.

Duma, radość, umocnienie nadziei, pogłębienie wiary

Dwa czynniki ściśle ze sobą związane oddziaływały na Polaków podczas wizyt Jana Pawła II krajach b. ZSRS. Jego utożsamianie się z nimi w wierze i narodowości oraz przemówienia w języku polskim. Dla wszystkich było rzeczą oczywistą, że uniwersalizm papieskiego urzędu w niczym nie zmienił faktu, że jest on ich rodakiem i że daje temu wyraz będąc w kraju ich zamieszkania. W Wilnie mówił o tym, że chociaż po raz pierwszy jest w tym mieście, to był w nim zawsze od dojścia do świadomości i wypowiadał słowo „rodacy". W Kazachstanie i w Gruzji witał Polaków słowami: „Serdecznie pozdrawiam moich rodaków…".

W odwiedzanych krajach podczas ogólnych zgromadzeń liturgicznych zawsze przemawiał w języku danego kraju, lecz do Polaków, którzy w nich uczestniczyli, przemawiał po polsku. Było to dla nich zaszczytnym wyróżnieniem po latach upokarzającej dyskryminacji i spychania na margines. Było to ich nobilitacją i nagrodą za wierność, pomimo tak wielu przeszkód, swojej tożsamości religijnej i narodowej.

Na niezwykle doniosłą rolę spotkań z papieżem, zarówno w sferze przeżyć religijnych, jak i samoidentyfikacji narodowej wskazują niemal wszystkie wypowiedzi ankiety. Są tu one obficie cytowane, ponieważ w streszczeniu straciłyby swoją niezwykłą i specyficzną wymowę. Wszystkie wypowiedzi wyrażają, przede wszystkim, jak wspomniano, ogromną radość ze spotkania z papieżem, dumę z przynależności do narodowości polskiej i świadomość pogłębienia wiary dzięki temu spotkaniu. Cytaty pozostawiamy w oryginalnej, niekiedy z błędami w ortografii i stylu.

Kobieta z Ukrainy (lat 37) pisze: *Ogromna radość, wzruszenie…Bardzo byłam szczęśliwa, zadowolona, wzruszona, odczuwałam działanie Ducha Świętego wśród ludzi, pozytywną energię. Wszyscy byli bardzo wzruszeni, był taki ogrom pozytywnej energii, że ludzie po prostu się modlili i przeżywali uczucia, tu chyba nie dużo słów. Radość, wzruszenie, przypływ wiary.*

Niekiedy jest mowa o tym, że słowa papieża zostały przyjęte jako wskazanie postawy życiowej na przyszłość.

Jego przyjazd był dla nas czymś w rodzaju znaku nadziei, dodał otuchy, pomógł przezwyciężać strach, jakim byliśmy zniewoleni przez lata trwania systemu komunistycznego. Wtedy to głęboko zrozumiałem i przyjąłem te słowa jako motto na dalsze życie, na swoją działalność w polityce. Są one dla mnie najważniejsze po dziś dzień, pisze Waldemar Tomaszewski, przewodniczący Akcji Wyborczej Polaków na Litwie i poseł do parlamentu europejskiego. Podobne myśli wyrażają inni (red. Czesława Paczkowska).

Nauczycielka polska z Białorusi, mając na myśli spotkania z Janem Pawłem II w Polsce, ocenia, że *W Polakach na Białorusi po udziałach w pielgrzymkach wraz z poczuciem dumy za Papieża Polaka, pojawiało się poczucie godności i pewności siebie, postrzeganie nas jako takiego samego ludu bożego jak i Włosi, jak Francuzi, godnego lepszego życia. Dla wielu pielgrzymów z Białorusi pielgrzymki stały się także pierwszym w życiu spotkaniem z „zagranicą", z wolnym, lepszym światem. Stały się początkiem przełamania i zwyciężenia niewolniczego strachu, niemal zakodowanego w genach mieszkańców Krainy Rad.*

Jej dalszą wypowiedź warto zacytować w całości:

Dla moich znajomych Polaków na Białorusi spotkania z Papieżem stały się największym wydarzeniem w życiu, było to wielkie dla nich dowartościowanie, pokrzepienie – że są równoprawną częścią Narodu Polskiego, Narodem Jana Pawła II. Te spotkania podniosły poczucie godności narodowej i ludzkiej, dodały odwagi – przecież mieli w Watykanie tak potężnego obrońcę. (…). Pielgrzymki spowodowały znaczny wzrost wiernych w parafiach, nawrócenie wielu ludzi, którzy przyprowadzali do kościołów swoje dzieci i wnuki. Te pielgrzymki spowodowały odrodzenie pielgrzymowania na terenie Białorusi, które zanikło po wojnie. Udział w pielgrzymkach powodował także stopniowe zanikanie strachu, który gnieździł się z sercach wiernych, zastraszonych represjami, wieloletnią walką z kościołem. Ludzie zaczynali myśleć innymi kategoriami, czuć się wolnymi ludźmi (Alina Jaroszewicz).

Inna nauczycielka polska z Brześcia pisze: *Słowa Papieża skierowane do Polaków wywoływali zawsze wzruszenie i poczucie dumy – Papież o nas pamięta, to nasz Papież!* (…) *Polacy na Białorusi otrzymali moralne wsparcie* (….). *Zacząłem się mniej obawiać jak mnie odbierano w społeczeństwie* (Hanna Paniszewa).

Respondent z tego samego miasta uważa, że pielgrzymki papieża, w których uczestniczyli Polacy z Białorusi *dodały pewności że warto być sobą, być Polakiem, że trzeba zaufać Chrystusowi.*

Przeżycia podczas spotkania z papieżem podczas nabożeństwa na lotnisku Czajka pod Kijowem, barwnie wyrażają dwie młode Polki po studiach w Polsce.

Czekaliśmy na tę chwilę, jak „owce nie mające pasterza". Śniliśmy o niej... Nie wierzyliśmy, że kiedykolwiek nastąpi. A tu papież już jest na ukraińskiej ziemi (…). Najbardziej wzruszający był moment spotkania z papieżem we Lwowie. Eucharystia była sprawowana w języku polskim. Dla nas, Polaków na Kresach, był to ogromny prezent. Wtedy naprawdę poczuliśmy, że Kościół jest naszym Domem. Jej koleżanka dodaje: *Entuzjazm był niesamowity. Ludzie skandowali, klaskali, machali rękami, flagami, a co najważniejsze – płakali. Myślę, że były to łzy uwolnienia po 70 latach życia w nieustannym lęku.*

Ksiądz z Polski, który od 20 lat pracuje w tej części Wołynia, która w okresie międzywojennym należała do Polski, na pytania: „Czy i jak pielgrzymka Jana Pawła na Ukrainę II wpłynęła na Polaków mieszkających w tym kraju, co zmieniło się w ich postrzeganiu samych siebie i jakie miała znaczenie dla nich jako katolików i Polaków", odpowiada:

Niewątpliwie wielu Polaków poczuło bardziej swą godność i dumę. Myślę, że jest to ważne o tyle, że miejscowi Polacy często są traktowani jak Żydzi albo Cyganie (przepraszam: Romowie) czy pariasi Słowiańszczyzny. Miejscowe społeczeństwo nieraz negatywnie ustosunkowując się do Polaków jest obciążone dziedzictwem poprzedniej epoki i ulega pokusie stereotypizacji.

Wypowiedź liczącej 64 lata kobiety z diecezji kamieniecko-podolskiej świadczy o niezrozumieniu istotnego celu wizyty papieskiej, lecz trafnie wyraża jej znaczenie dla Polaków:

Gdyby nie to, że papież jest Polakiem, nigdy by nie przyjechał na Ukrainę. Gdyby nie Polska, to nie byłoby powodu przyjeżdżać na Ukrainę. Zawsze kpili z nas: „Polaki, Polaki…". A tu jakby wzrósł autorytet Polaków, świadomość, że nie jesteś sam, że ktoś cię podtrzymuje, że możesz liczyć na wsparcie. Poczucie solidarności, mocniej podbudowana wiara.

Całkiem przeciwna, w stosunku do pierwszej części powyższej wypowiedzi, jest opinia mężczyzny z Ukrainy (lat 41): *Papież przyjechał do wszystkich ludzi mieszkających na Ukrainie, nikogo specjalnie nie wyróżniał, starał się mówić po ukraińsku i nawet bardzo byłem zadowolony, że tak pięknie mówi po ukraińsku. Bardzo się cieszyłem, że nikogo nie wyróżnia specjalnie, tylko szanuje ziemię, kraj, wszystkie nacje mieszkające na Ukrainie jak jedną rodzinę.*

Kilka wypowiedzi wskazuje na szersze i ogólne znaczenie wszystkich pielgrzymek papieża. Respondentka z Białorusi pisze.

Ale mnie się wydaje, że kiedy Papież przemawiał, to przemawiał zawsze jak gdyby do każdego człowieka i każdy słyszał i odnajdywał w Jego wypowiedzi coś skierowanego personalnie dla siebie. Czy był on Polakiem czy był kimś innym, nie było ważne. Ważne było być otwartym na jego słowo. Nie umiem powiedzieć czy wzmocniły jego słowa dla kogoś poczucie



Pomnik Jana Pawła II w Mosarzu na Białorusi

polskości. Moim zdaniem Papież nie stawiał przed sobą takiego zadania, dążył do obudzenia w masach ludzkich na Wschodzie człowieczeństwa i to mu się udawało. Otwierał jak gdyby ludziom oczy – na siebie, na świat, na historie itd. (dr Larysa Michalik).

Inne refleksje notują osoby z Ukrainy. Redaktor polskiego pisma z Kijowa pisząc: *Odczuwałem dumę za swoje polskie pochodzenie,* dodaje: *Odczułem przybliżenie historycznej daty.*

Podobne uczucia i tę samą myśl wyraża jedna z kobiet: *Byłam dumna, że uczestniczę w tej mszy i razem z papieżem modlę się. Zdawałam sobie sprawę, że to wydarzenie jest historyczne i ja jestem świadkiem wielkich zmian w moim kraju.* W odpowiedzi na pytanie, czego oczekiwała po wizycie papieża pisze: *Wzrostu autorytetu międzynarodowego państwa ukraińskiego. Polepszenia stanu rzeczy na Ukrainie.*

Mężczyzna lat 47, w odpowiedzi na to samo pytanie stwierdza: *Myślę, że to był duży krok Ukrainy w kierunku Europy, cywilizacji.*

Można przyjąć, że wypowiedzi te wyrażają reakcje i opinie wielu innych Polaków i osób polskiego pochodzenia w krajach odwiedzanych przez Jana Pawła II.

Wizyty papieża a stosunki międzyetniczne

Wszystkie kraje byłego Związku Sowieckiego, które papież odwiedził, mają charakter mieszany narodowościowo i wyznaniowo, a w wypadku Kazachstanu, także i religijnie. Odpowiedzi na pytanie, co po wizytach papieża zmieniło się w relacjach między Polakami a większością społeczeństwa innej narodowości, w jego postrzeganiu Polaków i w postawach wobec tych ostatnich, są ostrożne i krytyczne.

Respondenci z Litwy podkreślają zbliżenie wierzących Litwinów do Polaków w dniach wizyty pod wpływem niezwykłej osobowości papieża, lecz następnie powrót do silnej presji asymilacyjnej władz litewskich na Polaków. Redaktor ukazującego się w Wilnie kwartalnika „Znad Wilii", Romuald Mieczkowski, w odpowiedzi na ankietę pisze, że pielgrzymka papieża na Litwę miała dla Polaków wielkie znaczenie, bo *Dodała siły trwania na tej ziemi Podczas pielgrzymki Polaków darzono serdecznością, zresztą narodowość wtedy nie była istotna – Papież potrafił złączyć wokół siebie wszystkich.*

Dalej stwierdza natomiast: *Potem jednak życie na Litwie potoczyło się nie na korzyść Polaków litewskich – dla zdecydowanej ich większości nie oddano zabranej ziemi, nie rozwiązano problemu ich oryginalnej pisowni nazwisk, usiłuje się dotkliwie pomniejszyć zakres szkolnictwa po polsku, nie zezwala się na podwójne obywatelstwo, nie dofinansowuje się polskich placówek kulturalnych i in.* I dodaje charakteryzując obecną sytuację: *stosunek Litwinów do Polaków jest pełen nieufności, dążą oni ze wszech miar do zasymilowania ich na gruncie litewskości*.

Na pytanie o oczekiwania Polaków na Litwie związanych z przybyciem papieża do tego kraju, ten sam respondent pisze: *Mieliśmy nadzieję, że pielgrzymka zmieni optykę w stosunkach polsko-litewskich, doprowadzi do „realnego braterstwa", a przekładając to na konkrety, że Polakom np. zezwoli się na nabożeństwa po polsku (w określonych godzinach, w określonej godzinie) w Katedrze Wileńskiej.* Nie miało to miejsca.

Na podobne zjawisko zwraca uwagę była redaktor innego pisma polskiego ukazującego się w Wilnie. Pisząc, że wierząca część Litwinów zapewne zbliżyła się do Polaków, dodaje: *Współpracują ze sobą na płaszczyźnie religijnej: wspólne pielgrzymki, święta, katecheza dzieci. Gorsze – niestety, niejako odsuwanie czasem wiernych narodowości polskiej na stronę, np. w opracowaniu szlaku turystycznego „Śladami JP II na Litwie" nie znalazł się kościół Ducha Świętego, i in*. (Czesława Paczkowska).

Większych zmian po wizytach papieża w stosunkach między różnymi narodowościami nie dostrzegają u siebie respondenci z Białorusi. Jest to dość zrozumiałe. W tym kraju nie było antagonizmów narodowościowych, choć występowały inne.

Nauczycielka z Brześcia, pisze: *Nasze otoczenie na mojej pamięci nigdy nie szanowało nas, jako Polaków. Pielgrzymki te dodały mocy wiary tym Polakom, których znam.* Zauważa jednak: *Odczuwałam, że nie polskie otoczenie bardzo zazdrości nam, Polakom, że mamy takiego Papieża. Więcej tolerancji, więcej wiary. Pojawiła się duma z tego, że jestem Polką. Pielgrzymki papieża zmieniły moje postrzeganie siebie jako Polkę, dodały rozumienia prawdy o człowieku, o mojej osobie. Zaczęłam mniej obawiać się, jak mnie odbierano w społeczeństwie* (Hanna Paniszewa).

W odpowiedzi na ankietę jednego z Polaków z Białorusi czytamy: *tak się wydaje że stosunek ich*

do Polski i do Polaków zmienia się na bardziej racjonalny, raczej przychylny, i nie mam wątpliwości, że nasz Papież do tego się przyczynił (Eugeniusz Lickiewicz).

Wypowiedzi pochodzące z Ukrainy mają charakter zróżnicowany w zależności od tego, czy pochodzą z terenów po zachodniej czy wschodniej stronie przedwojennej granicy Polski. Redaktor gazety polskiej ukazującej się w Kijowie pisze:

Uczucia ludzi były na ogół dobre, oprócz niektórych ludzi wyznania prawosławnego. Zwłaszcza we Lwowie Papieża przyjmowano jak kogoś dawno znanego i bliskiego. Papież jednoczył ludzi w dobrym i dawał nadzieję na lepsze życie (…) *antywatykańska propaganda dała i swoje negatywne owoce w odbiorze Jana Pawła II* [1]*. Tylko Lwów w odróżnieniu od Kijowa witał z całego serca Papieża (…) we Lwowie wszystko było bardziej ciepłe i ludzkie i Papież tu przemawiał w języku polskim, co było bardziej naturalne niż w Kijowie, gdzie mówił po ukraińsku (…) miejscowi Polacy byli od tej wizyty jakby wniebowzięci. To trudne do opisania, bo trzeba było patrzeć do oczu tych ludzi i z nich czytać. To było zdarzenie na miarę tysiąclecia ale powtarzam, iż nie wszyscy Ukraińcy otworzyli własne serca na Papieża* (Eugeniusz Tuzów-Lubański).

W odpowiedziach na pytanie o relacje z innymi narodowościami po wizycie papieża jest szereg stwierdzeń pozytywnych.

Powiem szczerze czas zaciera odczucia. Było by na pewno gorzej dla pozycji Polaków Ukrainy w zakresie przestrzegania ich praw jako mniejszości narodowej – pisze ten sam dziennikarz polski z Kijowa. Jego kolega z tego samego miasta, zastępca redaktora naczelnego „Dziennika Polskiego" (Borys Dragin) dodaje, że wizyta papieża dodała Polakom otuchy, dał się zauważyć większy szacunek dla nich i łatwiej stało się im uważać się za Polaków.

Na uwagę zasługują obszerne odpowiedzi 37-mioletniej kobiety zza przedwojennej południowo-wschodniej granicy Polski. Na pytanie, co na Ukrainie byłoby inaczej gdyby do wizyty nie doszło, odpowiada:

Pewnie pozostalibyśmy nadal w kompleksie i każdy walczyłby z innymi, z lęku przed utratą swojej religii, żeby nikt go nie nawracał na swoje. Papież pokazał nam, że jesteśmy jak mozaika, która tworzy piękny Boży obraz. To Bóg pomieszał nam języki – stworzył różnorodność w jedności dzieci Bożych (…)*. Polacy poczuli się bardziej pewni i nawet dumni ze swojej wiary. Otrzymali dużo pochwał o Papieżu jako wielkim Polaku. Polacy są bardziej aktywni i stają się otwarci na Polskę i kontakty z Polakami w kraju, może jeszcze mają swoje kompleksy z powodu języka, ale Papież przywoływał polaków do jedności całego narodu nie zależnie, kto gdzie mieszka (Ameryka, Kanada czy Ukraina). Jesteśmy częścią narodu i musimy o tym pamiętać… nie zakompleksowywać się… Myślę, że (…) ludzie poczuli się mniej wyśmiewani za polskość (…), że jest więcej tolerancji miedzy wyznaniami.*

W odpowiedzi na pytanie, czy zmienił się stosunek otoczenia do Polaków, ta sama respondentka ocenia:

Myślę, że nie. Stosunek otoczenia do nas wcale się nie zmienił. Natomiast osobom starszym teraz jest o wiele łatwiej przyznać się do polskości. Zdaje się, że wizyta JP II stała się przełomowa również dla mentalności Polaków na Ukrainie. To był wyraźny znak, że już minęły czasy zastraszenia i terroru.

W tej samej odpowiedzi na pytania, czy i jak wizyta papieska zmieniła postrzeganie przez Ukraińców ludzi innej narodowości, co zmieniło się na lepsze, a co na gorsze, jak pielgrzymka papieska wpłynęła na Polaków mieszkających na Ukrainie i co zmieniło się w ich postrzeganiu samych siebie, pada bardzo trafne stwierdzenie, że szanowane są konkretne osoby, a nie narodowości.

Ukraińcy bardzo dobrze przyjęli Jana Pawła II. Tego papieża uwielbiają różne narodowości. Po wizycie, Polaków stali więcej szanować. A jeżeliby nie przyjechał wówczas, to wielu Ukraińców by nie mieli możliwości dostać jego błogosławieństwa. Przecież za granicę nie każdy potrafi pojechać (…)*. Polacy zawsze potrafią szanować swoich bohaterów narodowościowych. Szczególnie ci, którzy mieszkają poza krajem.*

Tu, na Ukrainie, działalność Jana Pawła II była wielkim wsparciem dla Polonii. Był wzorcem dla milionów ludzi pochodzenia polskiego (…).

Otoczenie szanuje ludzi, a nie narodowości. Na moją narodowość nikt nie zwraca uwagi. Na mnie patrzą jako na człowieka, który postępuje w pewny sposób (…)

[1] Autor ma tu na myśli bardzo negatywne stanowisko Cerkwi prawosławnej wobec wizyty papieża.

Wizyta papieża jeszcze raz udowodniła, że Polacy to wielka nacja. Otoczenie zawsze bardziej szanuje te narodowości, które wykazują wysoki poziom kultury. Proszę wziąć pod uwagę, że otoczenie może być różne i Polacy też (…) Jestem jeszcze bardziej dumna ze swojej narodowości.

Bardzo charakterystyczna odpowiedź na pytanie, czy wizyta papieska spowodowała jakąś zmianę w stosunkach z sąsiadami innej narodowości, zawarta jest w opinii mężczyzny z Ukrainy.

Nie nic się zmieniło, żyjemy z sąsiadami jak dawniej, każdy w swojej wierzy. U nas tu nie ma „nawiedzonych fanatów" jest spokojnie. Może dla kogoś to jest bardzo ważne, są ludzie, którzy nawracają się do Kościoła, ale Kościół nie dzieli na Ukraińców czy Polaków, modlimy się wspólnie - jak rozmawiamy tak się modlimy.

Tylko w dwóch odpowiedziach są wzmianki o pewnego rodzaju negatywnych skutkach wizyty papieża na Ukrainie. Chodzi o reakcję na nią wiernych Cerkwi prawosławnej. Kobieta lat 64 z diecezji kamieniecko-podolskiej pisze, że pojawił się większy rozbrat z Ukraińcami wyznania prawosławnego, którzy, w wyniku opinii swojego duchowieństwa, uważali wizytę papieża za zagrażającą im i niepotrzebną. Mężczyzna lat 41 z tej samej diecezji, w odpowiedzi na pytanie o wpływ przyjazdu papieża na relacje między międzywyznaniowe pisze:

Zmiany mogą być różne i „ na plus", że bardziej są przyjaźni wobec katolików, i też „na minus" – wszyscy widzieli stosunek moskiewskiego Głowy kościoła do Papieża, ci którzy byli przeciw mogli bardziej upewnić się w swojej niechęci do katolików i mieć na to przyzwolenie swojej wspólnoty, popa.

Tylko pośrednio w wypowiedziach z Ukrainy została wyrażona myśl, że wynikiem wizyty papieża było ukazanie ogółowi mieszkańców tego kraju obecności i roli Kościoła katolickiego, a tym samym wzmocnienie jego pozycji.

Częściowym podsumowaniem wypowiedzi na temat wpływu wizyt papieża na stosunki międzyetniczne na Ukrainie może być opinia wspomnianego już duszpasterza z Wołynia:

Niewątpliwie wizyta Papieża Jana Pawła II dobrze wpłynęła na Polaków. W trakcie i po jej zakończeniu Polacy czuli się dowartościowani. Polacy są uważani za członków miejscowej społeczności, spotykają się z szacunkiem i respektowana jest ich godność, chociaż nadal istnieją stereotypy „Lacha", „białego Polaka" czy „jezuity". Po wizycie Papieża te stereotypy nieco straciły na swojej sile. Szacunek do Polaków – spotykałem się z tym osobiście – był wyrażany także po śmierci Papieża Jana Pawła II i po tragedii smoleńskiej.

Opinie respondentów ankiety na temat wpływu wizyt papieża z Polski na interesujące nas tu relacje między ludźmi różnych narodowości i wyznań są realistyczne i trafnie oceniają rzeczywistość. Dostrzegają oni chwilowe zmiany pozytywne, czasem przewidują je w przyszłości, choć ma to charakter hipotetyczny, albo nie dostrzegają żadnych zmian.

Wizyty papieża Jana Pawła II w krajach b. ZSRS, a tożsamość kulturowa Polaków

Powyższe wypowiedzi wskazują raczej pośrednio na znaczenie wizyt Jana Pawła II dla tożsamości kulturowej Polaków na Wschodzie. Końcowa część ankiety zawierała pytania dotyczące bezpośrednio tego znaczenia. Odpowiedzi na nie mają charakter ogólny, a tylko wyjątkowo wskazują na rezultat bardziej konkretny. Pochodzą one od przedstawicieli inteligencji polskiej z Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Redaktor Romuald Mieczkowski z Wilna ocenia, że *Dla polskości Papież zrobił najwięcej ze wszystkich współczesnych Polaków. Jako Wybitny nasz Rodak dał poczucie dumy i dodał siły, by zmierzać się z problemami, jakie w późniejszych latach nabrały dramatycznej ostrości. Przypomnijmy: był to rok 1993, mieliśmy wtedy znacznie więcej oczekiwań, niektóre procesy, jak np. zwrot ziemi prawowitym właścicielom, dopiero się zaczynały, dzisiaj już są de facto zakończone. Wtedy była wiele nadziei. Pielgrzymka była „kamieniem milowym" w sprawie umocnienia tożsamości Polaków na Litwie.*

Znaczenie spotkań z papieżem dla Polaków z Białorusi tak z kolei charakteryzuje nauczycielka polska z Brześcia.

Dla moich znajomych Polaków na Białorusi spotkania z Papieżem stały się największym wydarzeniem w życiu, było to wielkie dla nich dowartościowanie, pokrzepienie – że są równoprawną częścią Narodu Polskiego, Narodem Jana Pawła II. Te spotkania podniosły poczucie godności narodowej i ludzkiej, dodały odwagi – przecież mieli w Watykanie tak potężnego obrońcę.

Na uwagę zasługują zawarte w tej wypowiedzi słowa o uświadomieniu sobie przez Polaków na Białorusi, że są częścią narodu polskiego. Jej osobiste świadectwo wyraża ogólny problem Polaków w tym kraju, którym jest łączenie w sobie takiego samego stosunku miłości do Polski i do Białorusi, a także świadomość moralnych zobowiązań wobec Polski.

Zrozumiałam, że każdy z nas jest na swoim, mniejszym lub większym, posterunku naszej Ojczyzny. Powinnością naszą jest chronić Jej dobre imię, służyć Jej jak tylko może, zachować swoją tożsamość, język i tradycje, szerzyć kult naszych świętych i błogosławionych, opiekować się miejscami pamięci (…) dzięki spotkaniom z Papieżem, dzięki mocy Jego słowa staliśmy się bardziej dojrzali, odważniejsi, pokrzepieni w wierze, w duchu. Wbrew wszystkiemu będziemy robić swoje i nie damy zniewolić naszych serc i umysłów. Modlimy się za naszą Polskę i naszą Białoruś (Alina Jaroszewicz).

Wypowiedź innego respondenta dotyczącą wpływu pontyfikatu Jana Pawła II i jego wizyt w Polsce i na Litwie na Polaków na Białorusi, można niewątpliwie uogólnić. Pisze on: *mój śp. Ojciec już „na całego" zaangażował się w sprawy odrodzenia polskości i odbudowy kościołów w naszej miejscowości* (Eugeniusz Lickiewicz). Wszystkie publikacje na temat odrodzenia Kościoła katolickiego w tym kraju i gdzie indziej wskazują, że była to w środowiskach katolickich powszechna postawa.

Znaczenie wizyty papieża na Ukrainie dla Polaków, bardzo trafnie ocenia mężczyzna z Ukrainy (lat 43), określający się jako „tylko trochę prawdziwy Polak".

Polacy zauważyli, że też są częścią polskiej kultury, pewnie mają wschodnie naleciałości, ale to jest tylko mała część wielkiego narodu rozrzuconego po całym świecie. Tak to było ważne, dla nas odczuwać jedność z całym narodem polskim. Bo autokarów i ludzi z Polski było mnóstwa, nie tylko z Polski i z całej Ukrainy tutejsi Polacy przyjechali, i z Rumunii, Mołdawii, Litwy, Łotwy, i innych krajów sąsiednich mówili w telewizji, że przyjechały wspólnoty polskie, wtedy my byliśmy bardzo lojalni jak jeden naród, niezależnie gdzie mieszkamy.

Na znak bardziej trwałego wpływu wizyty Jana Pawła II na postawy Polaków na Ukrainie, dotyczący ich tożsamości, wskazał jeden z redaktorów gazety polskiej z Kijowa: *Gdyby ta wizyta w ogóle nie odbyła się, rezultaty spisu ludności w końcu 2001 roku na Ukrainie dla Polaków byłyby gorsze* (Borys Dragin). Zwrócił jednak uwagę, że jeśli wizyta papieża umocniła w polskości starsze, patriotycznie nastawione, lecz odchodzące już pokolenie Polaków, to, jak napisał: *z młodzieżą jest różnie.* Jest to nawiązanie do rzadko podnoszonego, coraz bardziej widocznego problemu wynarodowienia młodego pokolenia.

Wspomniany wyżej zróżnicowany poziom polskiej świadomości narodowej znalazł symptomatyczne odbicie w odpowiedziach tej kategorii słuchaczy, która nie uważa się już za w pełnym znaczeniu Polaków, lecz ma świadomość swojego polskiego pochodzenia. Kobieta lat 38 z Ukrainy, która tylko w niewielkim stopniu uważała się za Polkę, na pytanie czy wizyta papieża zmieniła jej postrzeganie siebie odpowiada, że *było to również powodem, aby szukać swoich korzeni* i dodaje: *Zależało mi na tym, aby pytać dziadków i szukać wszelkich dowodów polskości w mojej rodzinie, znalazłam zeszyt mojego dziadka od pierwszej komunii, przepisane wszystkie modlitwy na język polski.* Na pytanie jakie znaczenie wizyta papieska miała dla innych Polaków odpowiada: *Myślę, że niektórzy sięgnęli do swoich korzeni i ich szukają.*

Charakterystyczne są opinie respondentów z Ukrainy zawarte w odpowiedziach na pytanie o samookreślenie się narodowe i o wpływ spotkań z papieżem na postrzeganie siebie, gdy chodzi o przynależność narodową. Wskazują one na złożoność tożsamości kulturowej części respondentów, stopniowalność ich polskości i jej głęboki związek z katolicyzmem, cechy charakterystyczne obecnie dla ludności polskiej i polskiego pochodzenia na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

Na pytania: „Czy uważał się Pan za Polaka; czy wizyta papieża coś zmieniła; czy dodała coś innym Polakom; czy dostrzega jakąś zmianę w stosunku do nich otoczenia"? mężczyzna lat 43 z Ukrainy, za przedwojenną granicą wschodnią odpowiada:

Myślę, że tak, ja wyrosłem w tej religii, w tej narodowości, to są moje korzenie, chociaż może jestem tylko trochę „prawdziwym Polakiem" (…). *Bardzo misie podoba polska, byłem tam jeden raz, naprawdę miło patrzeć, ze Polacy to są tacy porządni, pracowici i bardzo kulturalni ludzie. My tutaj nie tacy… ludzie są dobrzy, ale inni* (…). *Jakim Polakiem byłem, takim i zostałem, nic mi nie zabrano, ani nic nie dodano (nie poczułem się gorszym). Cieszyłem się tylko, że urodziłem się właśnie w takiej rodzinie.*

Dalsze uwagi tego samego respondenta wskazują na zmieniający się charakter dawnych społeczności polskich:

Jest tak samo, bardziej u nas to się mówi katolicy może teraz niż Polacy, ludzie zrozumieli, ze katolikami mogą być różni nie tylko Polacy. U nas tu nie ma prawdziwych Polaków, teraz to już dużo mieszanek

Na podobne zmiany wskazuje inny respondent (mężczyzna lat 41):

A tak to myślałem jaki ja Polak, nawet Polski nie widziałem. Bardziej wiara przodków – polska (...). *Mam dokumenty, dostałem kartę polską. Skoro wszyscy uważają mnie za Polaka. Byłem dwa razy w Polsce, na kilometr widać, ze jestem Ukraińcem. Coś nie wiem pomiędzy Ukraińcem i Polakiem.*

Uwagę zwracają dwie wypowiedzi, kobiety (lat 50) i mężczyzny (lat 41) z Ukrainy. Podkreślają oni wielkie zainteresowanie wizytą papieża w tym kraju (w zachodniej jego części), ale nie dostrzegają jej specjalnego znaczenia dla Polaków. Są to odosobnione opinie.

Odpowiadając na pytania czy po jego wizycie papieża na Ukrainie Polacy czują się bardziej Polakami i jakie ma ona dla nich znaczenie kobieta z zachodniej części tego kraju odpowiada:

Trudno mi powiedzieć, czy Polacy bardziej czują się Polakami. Bardzo dużo Kresowych Polaków jeździło na spotkanie z papieżem do Kijowa, a tam liturgia była sprawowana w jęz. ukr. i akcent był raczej położony na patriotyzm ukraiński, a nie polski. Natomiast, na pewno katolicy bardziej poczuli się katolikami, poczuli się Kościołem powszechnym, poczuli się potrzebni, niewyobcowani.

Wspomniany mężczyzna pisze: *Ja myślę, że nic nie się zmieniło, gdy chodzi o narodowość polską, na spotkanie jechali wszyscy, niezależnie od narodowości i nawet wyznania. To było ogromne zainteresowanie, ogólnie, takim wydarzeniem religijnym, możliwym do zrealizowania na Ukrainie. Po powrocie ze spotkania, sąsiedzi pytali jak było, widzieli w telewizji i trudno było im uwierzyć, że wszyscy i dzieci, starzy, wytrwali po kostki w błocie pod deszczem, i nikt nie chciał odejść. Był to bardziej sprawdzian wiary przez Boga ludzi mieszkających na Ukrainie. Cieszyłem się, że też tam byłem.*

Powyższe wypowiedzi ukazują zróżnicowanie sądów na temat znaczenia spotkań Polaków z papieżem. Zdecydowanie przeważają jednak opinie mówiące o wielkim znaczeniu tych spotkań. Jest to niewątpliwie odbiciem ogólnego stanu opinii w tej kwestii.

Zakończenie

Pielgrzymki Jana Pawła II do krajów byłego ZSRS miały charakter duszpasterski. Ich celem była ewangelizacja. Ponieważ dokonuje się ona zawsze w konkretnej historycznej, politycznej, religijnej i narodowościowej, dlatego zwracał się on także do żyjących tam Polaków. Nie miało to na celu budzenia i umacniania ich tożsamości narodowej, lecz ze zrozumiałych względów jak najbardziej jej służyło. Papież cieszący się na całym świecie ogromnym uznaniem był ich rodakiem, widzieli w nim uosobienie Polski i jej kultury, a przede wszystkim był dla nich w najwyższym autorytetem religijnym. Ich reakcje na spotkanie z nim, z racji ich trwającej długo, ciężkiej sytuacji religijnej i narodowościowej, były niezwykle głębokie pod względem emocjonalnym, religijnym i narodowym. Cytowane wypowiedzi wskazują, że udział w spotkaniach z papieżem umacniał ich postawy religijne, budził świadomość więzi z kulturą polską i wzmacniał ich polską tożsamość narodową.

Ze względu na ograniczony zasięg ankiety, z której wypowiedzi te zostały zaczerpnięte, nie mogą być one podstawą do uogólnień. Można je jednak potraktować, jako sondaż, który daje godną uwagi orientację o charakterze i kierunku wpływu wizyt papieża Jana Pawła II na Polaków w krajach byłego Związku Sowieckiego, które odwiedził on w 1993, 1999 i 2001 roku.



OD REDAKCJI:

Z radością informujemy PT Czytelników „Ech Polesia", że przygotowywana jest do druku książka autorstwa Ks. Prof. Romana Dzwonkowskiego SAC pt. „Jan Paweł II. Spotkania z Polakami na Wschodzie"

Polska i Polacy

POLSKA

Na warszawskim Bemowie odsłonięto pierwszy w stolicy pomnik Żołnierzy Wyklętych. Znajduje się on przy ulicy imienia bohaterów, dla których wojna nie skończyła się w 1945 roku. Pomnik ku czci „leśnych chłopców" stanął na rogu ulic Żołnierzy Wyklętych i Pirenejskiej. Uroczystość poprzedziła Msza święta, podczas której zostało wygłoszone piękne kazanie poświęcone Żołnierzom Wyklętym. Wspominano „Inkę", generała „Nila", rotmistrza Pileckiego, żołnierzy Armii Krajowej, Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Powstańców Warszawskich i wielu innych.



Warszawa znajduje się w ścisłej europejskiej czołówce, jeśli chodzi o wykorzystanie mobilnych technologii w komunikacji miejskiej i sprzedaż biletów przez komórkę, wyprzedzając takie metropolie, jak Barcelona, Madryt, Amsterdam, Paryż czy Berlin. Bilety za pośrednictwem telefonu komórkowego można kupować w stolicy już od 2008 roku, kiedy wprowadzono pierwszą tego typu usługę „Płać komórką za bilet". Oferta jest systematycznie poszerzana a liczba użytkowników stale wzrasta. Miesięcznie za pomocą tego mobilnego kanału sprzedaje się prawie 30 tys. biletów.



Widzowie w Polsce obejrzali film Jerzego Hoffmana „1920 Bitwa Warszawska". Ten film wypełnił największą chyba białą plamę w polskiej kinematografii. Jest to film o jednej z najważniejszych bitew w historii świata, kiedy bohaterskie Wojskie Polskie rozgromiło nawałę bolszewicką pod Warszawą. Tym samym została uratowana Europa od sowieckiej dziczy. Okazało się, że polskie kino stać na produkcję, która pod względem technicznym śmiało może rywalizować z zagranicznymi kinematografiami, a nawet je wyprzedzać, bo niewiele filmów na świecie powstaje w technice 3 D już na etapie realizacji. Widziałem ten film na dużym ekranie. Jak każdy film ma swoje wady, ale generalnie wykonał swoje przeznaczenie i pokazał przede wszystkim polskiej młodzieży, najpiękniejszą kartę polskiej historii. Taki film na DVD powinien być w każdym polskim domu na Kresach.



110 lat temu w Lachowiczach przyszedł na świat nasz wielki ziomek pisarz Sergiusz Piasecki. Niestety mało kto z dzisiejszych Polaków na Kresach słyszał o tym naszym słynnym ziomku. Do 20-ego roku życia nie znał języka polskiego, był wychowany w kulturze rosyjskiej. Stał się Polakiem i katolikiem z wyboru. Widział z bliska na własne oczy narodziny sowieckiego komunizmu, walczył z bolszewizmem przez cale swoje dorosłe życie, najpierw pistoletem, potem piórem. Jego książki były znane w przedwojennej Polsce, a po 1989 r. zaczęły ponownie ukazywać się w Polsce. Większość z nich opisywała nasze kresowe ziemie, życie tutejszych ludzi w sąsiedztwie bolszewickiego imperium. A jego książka „Wspomnienia oficera armii czerwonej" jest fantastyczna. Bez znajomości jego twórczości trudno zrozumieć, czym tak naprawdę był komunizm i jakie spustoszenia on zrobił nie tylko na Kresach, ale w całej Wschodniej Europie. Pamiętajmy o tym naszym ziomku i czytajmy jego książki, są warte tego.



Dużo mówi się w Polsce o złej stronie oglądania telewizora. Jest to pochłaniacz wolnego czasu, który zabiera w rodzinie ogromny kawal czasu, na czym cierpi rodzina. Już w 700 tysiącach polskich domów… nie ogląda się telewizji!!! Młode rodziny już w większości korzystają w domu z Internetu i świadomie wyrzucili z domu telewizory, bo zauważyli, że ich rodziny tracą, a nie zyskują mając w domu telewizor. Niestety takiej mody jeszcze nie ma na Białorusi i w większości naszych rodzin telewizor stoi na centralnym mieście jak ołtarz.



Chociaż i w Polsce są też liczni biedni, ale poziom życia jest nie do porównania wyższy niż na Białorusi. Świadczą o tym dane Federacji Polskich Banków Żywności mówiące o tym, że Polacy marnują około 9 miliona ton żywności rocznie, wyrzucając ją na śmietnik. Ciekawe ile milionów ton wyrzucają na śmieci Białorusini?



W Płocku staraniem ks. Kanieckiego został założony park z 96 dębami, które będą wiecznym dowodem pamięci o tych, którzy polegli w Smoleńsku w 2010 r. Pod każdym dębem postawiony kamień, a na nim imię, nazwisko i zdjęcie ofiary katastrofy. Środki na założeni parku dały władze miasta i pod tym względem nie było różnicy miedzy sympatykami różnych partii i pokazuje to, że pamięć jest możliwa i ponad politycznymi podziałami.



W Polsce w rękach prywatnych znajduje się około 277.000 sztuk broni palnej -bojowej, myśliwskiej i sportowej. Jeżeli kto pomyśli, że to dużo, to ten się myli. Pod tym względem Polska pozostaje jednym z najbardziej rozbrojonych społeczeństw w Europie. W przeliczeniu na ilość mieszkańców wskaźnik dostępności broni w Niemczech jest pięciokrotnie wyższy niż w Polsce, a u niesłyną-

cych przecież z wojowniczości Czechów nawet dziesięciokrotnie wyższy. A przecież trzeba dodać, że te dwa kraje pod względem dostępności broni stoją daleko w tyle za Szwajcarami czy Finami. Te państwa rozumieją, że tylko silne wojsko i obyte z bronią społeczeństwo skutecznie gwarantują niepodległość.



W Warszawie z okazji 100. rocznicy urodzin odsłonięto pomnik 40. Prezydenta USA Ronalda Reagana. Ten prezydent wspólnie z Margaret Thatcher i naszym Janem Pawłem II mają ogromny wkład w upadek radzieckiego imperium – „Imperium zła", jak mówił publicznie na ZSRR amerykański prezydent. W 2007 r. został pośmiertnie uhonorowany najwyższym polskim odznaczeniem - Orderem Orla Białego. A w Częstochowie, niedaleko od Jasnej Góry, przed gmachem Akademii Polonijnej odsłonięto pomnik ostatniego prezydenta Polski na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego, który zginął w katastrofie smoleńskiej.



Stan wojenny w grudniu 1981 r. nielegalnie wprowadziła tajna grupa przestępcza pod wodzą Wojciecha Jaruzelskiego w celu likwidacji «Solidarności», zachowania ówczesnego ustroju oraz osobistych pozycji we władzach - uznał Sąd Okręgowy w Warszawie. Uwzględniając wniosek IPN (Instytut Pamięci Narodowej), sąd wymierzył karę 2 lat w zawieszeniu b. szefowi MSW gen. Czesławowi Kiszczakowi za udział w tej grupie przestępczej. Po ponad trzech latach procesu sąd potwierdził - co wynika już z zeszłorocznego wyroku Trybunału Konstytucyjnego - że dekrety o wprowadzeniu stanu wojennego Rady Państwa z 12 grudnia 1981 r. były nielegalne. Sąd zgodził się z aktem oskarżenia pionu śledczego IPN, że dokonała tego «grupa przestępcza o charakterze zbrojnym» złożona z ludzi na najwyższych stanowiskach.



W tym roku mija 70-lecie powstania AK (1942). Historycy liczą, że w AK służyło około 400.000 Polaków i Polek, w tym około 10.000 oficerów. W wyniku jałtańskiej zdrady powojenna Polska oddana została pod sowiecką okupację. Armia Krajowa poddana została okrutnym represjom sowieckiego i polskiego aparatu bezpieczeństwa. Ocenia się, że około 100.000 akowców poległo w boju. 50.000 akowców przeszło przez sowieckie i polskie komunistyczne więzienia. Tysiące z nich zostało zamordowanych. Pod względem liczby, stanu wyszkolenia, uzbrojenia, i zasięgu działalności AK nie miała sobie równych wśród organizacji wojskowych innych okupowanych krajów podczas II wojny światowej. Formalnie została rozwiązana 19.01.1945 r. Ale akowcy walczyli jeszcze z sowietami i z polskimi komunistami do końca lat 40-tych. A pojedynczy akowcy i małe grupy walczyli jeszcze i na początku lat 50-tych.Cześć i chwała naszym bohaterom!



Oczywiście musimy pamiętać to zło, które naród Polski otrzymał od Niemców. Ale… naród Polski pamięta i to dobro, co otrzymał od narodu niemieckiego. Sprawa w tym, że 30 lat temu przed i po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, gdy sytuacja ekonomiczna w Polsce stała fatalna, to zwykli ludzie z Zachodu otworzyli swoje serca i ruszyli z pomocą dla Polaków. Paczki do Polski słali ludzie z całej Europy, Kanady, Australii itd. Na ogromną skalę pomagali też Amerykanie. Z Ameryki przypływały całe statki z darami. Ale na czele tej akcji byli Niemcy. Wszystkie paczki do Polski przechodziły przez Urząd Pocztowy w Hanowerze. Niemcy musieli otworzyć nową halę wysyłkową i zatrudnić 10 razy więcej pracowników. Po 13 grudnia 1981 r. liczba paczek od Niemców dla Polaków wzrosła do 40-50 tysięcy przesyłek dziennie, a rekord dochodził do 70.000 paczek dziennie. Wyobrażacie sobie taką ilość? Dzień w dzień przez niemiecko-polską granicę jechało do Polski 12-15 wagonów towarowych, a w każdym z nich było około 1.500 paczek z żywnością i ubraniami. Cala ta ogromna pomoc ratowała przed niedożywieniem ogromną ilość polskich rodzin. Cały ciężar przyjęcia i rozdzielenia tej ogromnej pomocy spadł na Kościół katolicki i „Caritas". Jak brakło wolontariuszy do rozładowania tirów, to wstawali w łańcuch klerycy. Zachodni organizatorzy tej pomocy byli w szoku, że Kościołowi tak sprawnie udawało się rozdzielać tę ogromną pomoc. Trzeba o tym pamiętać.

LITWA

Ponad 7 tysięcy osób – głównie Polaków, a także Litwinów, Rosjan, Białorusinów i przedstawicieli innych narodowości – w pokojowym pochodzie przemaszerowało w Wilnie, protestując przeciwko przyjętej przed rokiem dyskryminacyjnej Ustawie o oświacie. Rzeka ludzi z plakatami w języku polskim, litewskim, rosyjskim i angielskim, z flagami litewskimi, polskimi i Unii Europejskiej w podniosłym nastroju, z pieśniami i uśmiechami na twarzy ruszyła w kierunku gmachu rządu, by jeszcze raz zademonstrować swoją dezaprobatę wobec pseudo reformy, która rujnuje działający dotychczas pomyślnie i będący na wysokim poziomie system oświaty na Litwie i szczególnie boleśnie uderza i zagraża istnieniu modelu oświaty mniejszości narodowych. Skala, determinacja i solidarna jedność przeciwników pseudoreformy bez wątpienia zaskoczyła stronę rządową. Takiej wielotysięcznej manifestacji gród Giedymina już dawno nie widział. Był to protest w obronie godności ludzkiej i honoru narodowego, gdyż zignorowanie 60 tys. podpisów było plunięciem w twarz narodowym mniejszościom na Litwie. A przede wszystkim Polakom. Ten przemarsz centralną ulicą stolicy i wiec na placu był największą akcją protestacyjną zorganizowaną przez społeczeństwo polskie od uzyskania przez Litwę niepodległości. W marszu wzięli udział uczniowie, nauczyciele i rodzice nie tylko polskich szkół, ale i ruskich i białoruskich. Niewątpliwie jest to ogromny sukces organi-

zatorów: komitetów strajkowych szkół polskich na Litwie, którzy skrzyknęli rodziców, nauczycieli i uczniów do udziału w manifestacji, ale największy ciężar organizacyjny spadł na barki Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna" i Akcję Wyborczą Polaków na Litwie. Obrona przez mniejszości narodowe na Litwie swych praw, czemu zdecydowany ton nadają zamieszkali na Litwie Polacy zaczyna przypominać obronę twierdzy. Tylko jedno jest pewne: tylko taka stanowcza postawa może być gwarancją powodzenia. No cóż musimy od naszych braci Polaków na Litwie się uczyć walczyć o swoje.



Na Litwie został poświęcony już czwarty pomnik błogosławionego Jana Pawła II. Jest to pierwszy pomnik Jana Pawła II w Wilnie. Stanął on przed kościołem pw. Matki Bożej Królowej Pokoju. Poświęcenia dokonali – metropolita wileński kardynał Bačkis oraz gość z Watykanu – przewodniczący Papieskiej Rady ds. Duszpasterstwa Służby Zdrowia, członek Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych – abp Zygmunt Zimowski. Burzą oklasków zgromadzeni wierni przyjęli informację, że na uroczystość poświęcenia pomnika, abp Zygmunt Zimowski przywiózł dla parafii relikwie Jana Pawła II. Podczas Mszy św. wręczył je na ręce proboszcza – ks. Górlickiego. Są to pierwsze na Litwie relikwie błogosławionego papieża Polaka. W relikwiarzu znajduje się kawałeczek sutanny z krwią, włosy oraz kamyk spod grobu bł. Jana Pawła II.



Wydział konsularny ambasady RP w Wilnie wypłacił pomoc finansową w wysokości 230 tys. euro (2 mln rubli) dla rodziców pierwszoklasistów, którzy w tym roku rozpoczęli naukę w szkołach polskich na Litwie. Zostało wydanych 972 wyprawek. Tyle wniosków otrzymano od rodziców. Zostały one zgłoszone przy pomocy Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie i kierownictwa szkół polskich. Ta pomoc finansowa polskiego MSZ i MEN dla pierwszoklasistów ze szkół polskich została negatywnie odebrana na Litwie. Zostało to m.in. zinterpretowane jako „zwabianie" dzieci ze szkół litewskich do polskich. Tak samo nauczyciele polskich szkół, którzy wzięli udział w niedawnych szkoleniach w podwarszawskim Sulejówku odebrali w darze laptopy i rzutniki najnowszej generacji.

UKRAINA

No i jeszcze o Janie Pawle II. W Żytomierzu obok kościoła katedralnego pw. św. Zofii odsłonięto pomnik bł. Jana Pawła II! Pomnik wykonano w Polsce, a ideę jego postawienia zaproponowali polscy motocykliści uczestnicy „Rajdu Katyńskiego", którzy odwiedzili Żytomierz. Arcybiskup-metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki przez biskupa Jana Purwińskiego przekazał w darze relikwie bł. Jana Pawła II, które będą przechowywane w kościele katedralnym pw. św. Zofii w Żytomierzu. Honorowymi gośćmi uroczystości byli m.in.: Konsul Generalny RP w Winnicy, prezydent m. Żytomierza, prezes Żytomierskiego Obwodowego Związku Polaków Ukrainy .



Odbyła się nietypowa pielgrzymka polskich biskupów na Ukrainie. Po raz pierwszy po wojnie 43 polskich biskupów udało się z wizytą do jednego z najgłówniejszych miast I i II Rzeczypospolitej - Lwowa. Główna uroczysta Msza św. odbyła się w katedrze Wniebowzięcia NMP. W tej świątyni król polski Jan Kazimierz w 1656 r. oddał naszą ojczyznę pod opiekę Najświętszej Marii Panny. Oczywiście była wycieczka po tym pięknym mieście. Na Cmentarzu Orląt pomodlili się za obrońców Lwowa.

ROSJA

W Moskwie odsłonięto pierwszy w Rosji pomnik Jana Pawła II. Pierwszy w Rosji z brązu pomnik błogosławionego Jana Pawła II został odsłonięty w centrum Moskwy, zaledwie 1,5 km od Kremla. Przedstawia naturalnych rozmiarów postać siedzącego Jana Pawła II z otwartą książką na kolanach. Ma ponad 1,8 metra wysokości i waży dwie tony. Stanął na granitowym postumencie. Ustawiono go wśród pomników i popiersi najwybitniejszych umysłów świata, m.in. Leonarda da Vinci, Niccolo Machiavellego, Heinricha Heinego, Charlesa Dickensa, Abrahama Lincolna, Mahatmy Gandhiego. Panteon ten tworzony jest od 1994 roku. Inicjatorami postawienia pomnika Jana Pawła II była ruska inteligencja, która zawsze pamiętała o niespełnionym marzeniu naszego Papieża, aby przyjechać do Rosji.

KANADA

Wybory do Parlamentu 41. kadencji w Kanadzie przyniosły dobre wieści dla nas Polaków. W tych wyborach mandaty uzyskali dwaj polscy kandydaci Partii Konserwatywnej - Władysław Lizoń, imigrant - pierwszy w historii Kanady poseł urodzony w Polsce oraz Ted Opitz. Polonia kanadyjska ma teraz dwóch swoich posłów w kanadyjskim parlamencie.

GRUZJA

Benedykt XVI mianował kolejnego Polaka, księdza Marka Solczyńskiego nuncjuszem apostolskim. Tym razem jest to Gruzja. Papież podniósł księdza Solczyńskiego do godności arcybiskupa - podało watykańskie biuro prasowe. Rozmawia oprócz polskiego po włosku, francusku, angielsku, hiszpańsku i rosyjsku. 50-letni nowy nuncjusz w Tbilisi pracował wcześniej w przedstawicielstwach dyplomatycznych Watykanu w Paragwaju, Rosji, przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, w USA, Turcji, Czechach i w Hiszpanii. Polacy w Gruzji teraz będą mieć nie tylko polskiego ambasadora, ale i polskiego nuncjusza.

Przygotował - ***Aleksander Siemionow***

Lida

ZAPOMNIANE LUDOBÓJSTWO

„24 listopada 1937 r. zostałem aresztowany przez emilczyński oddział NKWD. […] Po przesłuchaniu, podczas którego byłem bity lufą karabinową, butelkami, nie licząc uderzeń pięściami i kopniaków, zostałem doprowadzony do tego, że […] »przyznałem się«, że jestem szpiegiem i dywersantem […]. Proszę spowodować moje uwolnienie […]. Nie tylko ze mną tak się postępuje, ale z wieloma innymi. Jednemu napisali na czole słowo „szpieg", pluli mu w twarz, bili go, żeby otrzymać fałszywe zeznania. Drugiemu narysowali na brzuchu diabła-faszystę i zaczęli go bić. Innych biją po prostu, czym popadnie i gdzie popadnie. Wczoraj pewna kobieta próbowała skończyć z sobą. Kilka dni temu wskutek pobicia poroniły 3 kobiety. W spec. korytarzu lub w celach leżą dziesiątki pobitych ludzi. Nie otrzymują najmniejszej pomocy lekarskiej. Potwornościom nie ma końca. Pomóżcie mnie i innym" – Gustaw Dalmer.

Autorem tego przejmującego listu do władz Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej (USRS) jest jeden z tysięcy ówczesnych polskich „kontrrewolucjonistów". Skąd nagle w 1937 r. kontrrewolucja na Ukrainie? Skąd aż tyle „szpiegów"?

Ideologiczne aspekty polityki narodowościowej

Koncepcje ideologiczne na kwestię mniejszości narodowych kształtował wśród zwolenników Lenina duch czasów. Przebywając kilka lat w polskim zaborze austro-węgierskim, Lenin począł sprzyjać narodowo-kulturalnej opcji „austromarksistów". Opcja zrodziła się jako wynik obserwacji wielonarodowościowej monarchii Franciszka Józefa I. Głosiła więc potrzebę autonomii kulturalnej niezależnie od miejsca pobytu i skupienia mniejszości narodowej.

Stalin w swoim dziełku z 1912 r. „Marksizm a kwestia narodowa" odrzucał tę koncepcję, argumentując, że jest ona „sprzeczna z całym kursem walki klas" i zaproponował autonomię okręgów, czyli prawo do bytu narodowo-państwowego jedynie dla już ukształtowanych narodów. Wymieniał Polskę, Litwę, Ukrainę, Kaukaz, etc. Jednakże do chwili śmierci Lenina oraz uzyskania pozycji „pana i władcy" w ZSRS w drugiej połowie lat 30. XX w., nie ośmielił się wyjść ze swym poglądem poza krąg znaków i liter.

Geneza rejonów

Klęska bolszewików z Rzeczypospolitą w 1920 r. pozostawiła po sobie niezagospodarowany projekt polskiego organizmu państwowego pod sowiecką kuratelą. W trakcie działań wojennych, latem 1920 r., w Białymstoku Julian Marchlewski, Edward Próchniak, Józef Unszlicht, Feliks Kon i Feliks Dzierżyński ogłosili odezwę w imieniu powstałego w Smoleńsku Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polskiego. Zapowiedzieli powstanie Polskiej Republiki Rad. Niemal z marszu przystąpili do budowania Polskiej Armii Czerwonej, zakładania wzorowanych na sowieckich instytucji administracyjnych oraz nacjonalizacji wszelkiej własności prywatnej.

Projekt nowej Polski Sowieckiej nie ziścił się. W tej formie odrodził się ćwierć wieku później pod nazwą PKWN i PRL. Na razie ekipa Dzierżyńskiego ratowała się ucieczką przed armią Józefa Piłsudskiego. Ale aż do swojej śmierci Marchlewski i Dzierżyński pozostali głównymi orędownikami wykorzystania „legendy" Polrewkomu do budowy namiastki Polski Sowieckiej na terenach państwa bolszewików.

Już jesienią 1922 r. Kon i Marchlewski na posiedzeniu jednej z komisji trwającego naówczas w Moskwie IV kongresu Międzynarodówki zgłosili wniosek o utworzenie w pasie przygranicznym z Rzeczypospolitą polskich autonomicznych jednostek terytorialno-administracyjnych. Na obszarach zamieszkałych przez skupiska ludności przewyższające liczbę 500 Polaków rychło zaczęły wyrastać Polskie Narodowościowe Rady Wiejskie, tzw. sielsowiety.

Zamysł tzw. polskich komunistów, wspierany przez Biuro Polskie przy KC Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), doczekał się realizacji w 1926 r. Powstawał niejako pod osłoną dominującej

w Związku Sowieckim ideologii leninowskiej oraz w atmosferze rozkręcającego się w ZSRS NEP, dlatego też politykę wobec mniejszości często nazywa się „NEP-em narodowościowym”. W latach 20. i 30., w czeluściach „ojczyzny komunistów”, powstawały autonomiczne jednostki administracyjne: Niemców, Żydów, Bułgarów, Greków, Mołdawian, Białorusinów, a nawet Czechów, Szwedów i Rosjan – tam, gdzie stanowili mniejszość. Jeśli w zwartym skupisku mieszkało ok. 100 tys. i więcej reprezentantów danej narodowości, mogła nawet powstać republika. W ten sposób doszło do utworzenia Autonomicznej Republiki Niemców Nadwołżańskich.

Marchlewszczyzna

27 marca 1926 r. formalnie powstał pierwszy autonomiczny rejon polski. Wyznaczono go na obszarze mało urodzajnym, wśród bagien, piasków i lasów ukraińskiej żytomierszczyzny. Odznaczał się on za to dużym skupiskiem polskiej ludności. Polaków prawie wyłącznie pochodzenia chłopskiego, z polską kulturą związaną polską mową oraz w przewadze przynależnością do Kościoła rzymsko-katolickiego.

Centrum administracyjnym obrano około trzytysięczne miasteczko Dołbysz, przemianowane na Marchlewsk. Na inauguracji rejonu pojawił się Dzierżyński. Członkostwem honorowy Komitetu Wykonawczego tego tzw. polrejonu wyróżniono Adolfa Warskiego i Stanisława Łańcuckiego, komunistycznych posłów na sejm II RP i przywódców sowieckiej ekspozytury w Polsce - KPP.

Początkowo na Marchlewszczyznę składało się 25 rad wiejskich, obejmujących 96 wsi i miasteczek. Rejon komuniści dofinansowali w kierunku rozwoju kulejącej tutaj infrastruktury oraz budowy i modernizacji istniejących od dziesiątek lat hut szkła. Sfinansowali także rozwój polskiego szkolnictwa, polskich czytelń, domów kultury, prasy, audycji radiowych, przychodni i szpitala, etc. Rozpoczęła się repolonizacja ludności w częstych wypadkach nie znającej języka polskiego.

Oczywiście priorytety pozostały te same. Wszystkie wymienione działania służyły wykreowaniu mówiącego po polsku obywatela ZSRS, przesiąkniętego wrogością do swojej historycznej Ojczyzny. „Homo sovieticus” w treści, a Polaka z wyglądu. Jednakże nawet w fazie początkowej te ambitne założenia nie przyniosły pożądanych owoców. Do bezcennych należą opinie Jerzego Niezbrzyckiego, pracownika Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, na temat rejonów Podola, na których zakładano powstanie kolejnego rejonu:

„Mazury [lokalna ludność chłopska – P.Z.] i szlachta zaściankowa ustosunkowują się do bolszewików bardzo podobnie, jak ustosunkowywali się do rządu carskiego przed wojną. Największą ich troską jest ocalenie Kościoła. Z pojęciem »kościół« łączy się u nich coś więcej, aniżeli my to pojmujemy [...] Nacisk władz na Polaków, zamieszkałych w pasie pogranicznym, jest specjalnie wytężony. Do wsi polskiej wprowadzany jest bardzo umiejętnie coraz liczniejszy element komunistyczny. [...] Chłopi starają się zachować pewną odrębność przy wyborach do rad wiejskich i bywały wypadki wysuwania nawet specjalnie przygotowanych kandydatów, tzw. fałszywych komunistów”.

Brak wyborczego entuzjazmu wynikał ze strachu przed afiszowania się polskością i słusznej nieufności do Sowietów. Pamiętano rzezie Armii Czerwonej z okresu konfliktu polsko-bolszewickiego. Ponadto rejon rodził się w czasie, gdy za zachodnią granicą władzę po zamachu majowym odzyskał Józef Piłsudski. GPU, do 1934 r. działające oddzielnie od NKWD, rejestrowało przekonanie licznych „elementów kontrrewolucyjnych” o niechybnym nadejściu Piłsudskiego z Ententą i anektowaniu Ukrainy aż po Dniepr.

„[...] Na komunistów [chłopi] patrzą jak na produkt czysto rosyjski – żalił się aparatczyk z Żytomierza – mnie osobiście udało się to zaobserwować, kiedy występowałem na zebraniu w pewnej polskiej wsi. Jeden z chłopów zadał mi pytanie: »Czy wśród komunistów zdarzają się Polacy?«, i kiedy odpowiedziałem mu twierdząco i dodałem, że sam jestem komunistą, on jakoś ze zdziwieniem pokiwał głową i dodał: »Ja nie myślałem, że Polak może być komunistą«”.

Dzierżyńszczyzna

Na Białorusi w odróżnieniu od Wołynia i okolic Żytomierza mieszkali przede wszystkim potomkowie szlachty zaściankowej. Poczucie przynależności do narodu polskiego było zatem dużo większe. Interesujące, że w odróżnieniu od Ukrainy tempo i zakres kolektywizacji polskich gospodarstw na Białorusi były iście pionierskie. Także w stosunku do całej BSRS,

przewyższając wskaźnik republiki o 10 proc. Polacy tutejsi uznali, że najskuteczniejszą odpowiedzią na terror bolszewicki będzie zakładanie rad i kołchozów z własnej inicjatyw, i przejmowanie nad nimi pełnej kontroli.

W 1932 r. w końcu Polacy z BSRS zostali „wynagrodzeni" własnym rejonem narodowym. Rozlokowano go pomiędzy Mińskiem i granicą z RP. Włączono doń 17 rad wiejskich: dziewięć polskich, sześć białoruskich i jedną żydowsko-polską. Kojdanów, nazwę stolicy rejonu, przemieniono w kwietniu na Dzierżyńsk. Decyzji „ludności pracującej nowego rejonu" patronowała na VII Nadzwyczajnym Zjeździe Delegatów Rejonu Kojdanowskiego żona nieżyjącego twórcy komunistycznej policji politycznej, Zofia Dzierżyńska. W odróżnieniu od położonej na bagnach Marchlewszczyzny, Kojdanów posiadał dobrą infrastrukturę. Jej podstawą była przebiegająca przez miejscowość linia kolejowa. Ludność tutejsza była jednak bardziej rozproszona, co ułatwiało komunistom terror indywidualny, a więc i postępy kolektywizacji.

Leningrad

Był jeszcze jeden ośrodek polskości w ZSRS ważny w kontekście ludobójstwa z lat 1937-1938 r.: stolica carskiej Rosji – Leningrad. Największe miejskie skupisko Polaków na Wschodzie. Przed rewolucją wspaniały ośrodek polityczno-kulturalny, znacząco podupadł w wyniku emigracji do niepodległej od 1918 r. Ojczyzny. Zamknięcie przez bolszewików w 1923 r. i tej możliwości, spowodowało, że duża część Polaków dosłownie utkwiła w ZSRS.

Ze względu na wrażliwe, strategiczne położenie przy granicy z Finlandią oraz na kult miejsca – w Leningradzie rozpoczęła się droga bolszewików do władzy połączony z wieczną obawą kontrrewolucji, odwrotnie niż w „polrejonach" – od zarania likwidowano polską edukację i życie kulturalne. W Leningradzie o żadnych eksperymentach nie mogło być mowy.

W 1926 r. w obwodzie leningradzkim wciąż mieszkało prawie 45 tys. Polaków. Życie stawało się coraz trudniejsze. W 1930 r. rozpoczęło się tzw. zagęszczanie mieszkań, polegające na konfiskowaniu powierzchni mieszkań wykraczającej poza ustaloną normę. Na zarekwirowanej powierzchni zaczęto osiedlać ludzi z marginesu społecznego, komunistycznych urzędników i konfidentów. Kolejny akt represji nastąpił rychło po zabójstwie szefa partii w Leningradzie Siergieja Kirowa.

Przyczynek do ludobójstwa

Przymusowa kolektywizacja, która przyniosła efekt w postaci strasznego głodu na Ukrainie w latach 1932-1933 i szacunkowo od 3 do 10 mln ofiar śmiertelnych, odzwierciedlała wzmocnioną pozycję Stalina w partii. Pozycję, która po wspomnianych eksperymentach doznała jednak pewnego uszczerbku. W 1934 r. Stalin, w chwili swej słabości i zaktywizowania się milczącej opozycji, nie czekał, aż ważyć się będą jego losy w kierownictwie. Bezzwłocznie zarysował konkretne plany wobec swoich przeciwników politycznych i ich „zaplecza społecznego".

Sprzyjający Stalinowi rozwój sytuacji na arenie międzynarodowej został skorelowany z wydarzeniami w kraju. Zabójstwo Kirowa w grudniu 1934 r. poprzedziły: dojście w 1933 r. w Niemczech Hitlera do władzy, a wraz z nim kompromitująca klęska Komunistycznej Partii Niemiec oraz polsko-niemiecki pakt o nieagresji z 1934 r. Zorganizowana przez Stalina leningradzka prowokacja stanowiła preludium do „wielkiego terroru". Budowana na kanwie procesów politycznych Riutina, Zinowiewa, Kamieniewa, Tuchaczewskiego, Bucharina, Radka psychoza strachu przed szykującymi się do wojny z ZSRS polskimi i niemieckimi „faszystami", przed spiskującymi z nimi najwyższymi funkcjonariuszami partyjnymi, przed „polskim wywiadem" i fikcyjną „Polską Organizacją Wojskową" na Ukrainie i Białorusi, zdeterminowały losy setek tysięcy Polaków.

Stalinowi udało się wreszcie obalić leninowską koncepcję „nacjonalizacji" i „korienizacji" – powrotu do korzeni. Podłoże dla swojego planu narodowościowego przygotował dosłownie za jednym zamachem i po trupach partyjnych oponentów. Lont zapalił na polskiej Ukrainie…

…w 1933 roku

W 1932 r. Stanisław Kosior, sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Ukrainy – [KP(b)U] raportował w Moskwie o wykonaniu w USRS planu kolektywizacji.

Na Marchlewszczyźnie jednak proces ten na dobrą sprawę jeszcze się nie zaczął. Średnią 72 proc. dla całej Ukrainy zaniżała Marchlewszczyzna, wykazująca jedynie 17-proc. wynik. Opór wobec kolektywizacji

w warunkach głodu stopniowo wygasał, a zdesperowani Polacy poszukiwali ratunku w polskim konsulacie w Kijowie i ucieczce do Polski. W pobliże granicy sowieckiej nad rzeką Zbrucz sunęły tłumy zdesperowanej ludności. Zrozpaczeni zbierali się w formie procesji, wznosili kościelne chorągwie i obrazy i ruszali w stronę granicy. Nagminne stawały się nielegalne ucieczki do Polski. Mnożyły się dewastacje, grabienie kołchozów oraz podpalenia domów należących do aktywistów.

Winnych niepowodzenia kolektywizacji znaleziono wśród polskich komunistów, na razie niższego szczebla. W 1933 r. aresztowano kierownictwo polskiego rejonu, „wykrywając" przy okazji, dzięki zeznaniom byłego kierownika wydziału propagandy kijowskiego Obwodowego Komitetu KP(b)U, Bronisława Skarbka, demoniczną i fikcyjną Polską Organizację Wojskową. Był to zaczątek generalnej rozprawy z całą polską ludnością i grupą komunistów polskiego pochodzenia.

Likwidacja „polrejonów"

W październiku 1935 r. Marchlewszczyznę rozwiązano, a miastu Marchlewsk nadano nową nazwę: Szczorsk. „Polrejon" i sielsowiety przemieniono na jednostki ukraińskie. Likwidowano polskie tytuły prasowe, szkoły, instytuty naukowe i placówki kulturalne. Aresztowano wszystkich nauczycieli i pracowników naukowych. Zamykano ostatnie czynne kościoły i wykrywano ostatnie kryjące się w nich spiski. „W Kijowie kobieta-szpieg Majewska pod maską religijnego stowarzyszenia »Serce Marii« usiłowała werbować kobiety, organizując je w kółka szycia. Jak się okazało, ośrodek tego kółka znajdował się w Warszawie, a Majewska pozostawała w związku z polskim wywiadem" – raportował konsulat RP.

W 1935 i 1936 r. rozpoczęły się wysiedlenia Polaków na skalę masową. Represjonowanych kierowano na pustkowia Kazachstanu. Hurtem z zachodnich obwodów Ukrainy: żytomierskiego, kamieniecko-podolskiego i winnickiego, wywieziono w 1936 r. 60 tys. osób.

Dzierżyńszczyznę, jako jednostkę administracyjną, rozwiązano w czerwcu 1937 r. Na nowo, już jako „normalny" rejon, powołano ją w styczniu 1938 r. W międzyczasie nasiliło się tępienie wszelkiego „szpiegostwa" drogą likwidacji polskich instytucji i ludzi. Do białorutenizacji, tak jak i do ukrainizacji w USRS, bolszewicy nie powrócili. Rozpoczęła się rozpostarta na długie dekady rusyfikacja tutejszej ludności.

Założenia ludobójstwa

Zielone światło dla masakry dał rozkaz operacyjny Nr 00485 szefa NKWD Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. Pod pretekstem walki z „POW" wszczęto zasadniczą dla „wielkiego terroru" tzw. operację polską. W praktyce - „ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej". Rozkaz dzielił „podejrzanych" na dwie kategorie: „pierwsza kategoria, podlegająca rozstrzelaniu, do której należą szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry polskiego wywiadu, druga kategoria, do której należą mniej aktywni z nich, podlegająca karze zamknięcia w więzieniach i łagrach z wyrokami 5 do 10 lat".

Bazując na założeniu, że likwidując głowę rodziny – mężczyznę, rodzina rozpada się, w praktyce niemal każdego polskiego mężczyznę przepuszczano przez łańcuch: więzienie – tortury - przyznanie się do winy - kara śmierci. Kobiety wysiedlono do Kazachstanu. Dzieci trafiały do krewnych lub najczęściej do sowieckich domów dziecka tzw. dietdomów – fabryki janczarów komunizmu.

Rozkaz Nr 00485 był tylko jednym z całej serii wydawanych w latach 1937-1938 r. rozkazów stanowiący podstawę do eksterminacji mniejszości narodowych w ZSRS. Podobne wydawano w stosunku do Finów, Estończyków, Rumunów, Bułgarów, Chińczyków, Greków, Niemców, Koreańczyków, Irańczyków czy Afgańczyków. Często zdarzały się wypadki, że w ramach „operacji niemieckiej" mordowano Polaków, a w ramach „operacji polskiej" Niemców, kierując się na przykład formą nazwiska. Drogą wyjątku Polacy, jak żaden inny naród, zostali włączeni do kategorii „narod wrag" i przeznaczeni do generalnej eksterminacji.

Tajemnica Dzierżyńszczyzny

Wywózki na Dzierżyńszyźnie owiane są tajemnicą. Z całą pewnością nastąpiły, ale do dziś historycy nie potrafią wskazać kierunku „morderczej drogi". „Pamiętam, zimą 1938 r. przechodziłem ulicą tuż obok siedziby NKWD. Mróz był tak siarczysty, że aż zatykało oddech. A tutaj, z otwartych okien piwnic, jakby spod ziemi wali para z zakratowanych

otworów. Bucha jakby kłęby dymu z parowozu – tyle tam nasadzili ludzi” – wspomina jeden ze starszych mińszczan. Kierunkiem nie był na pewno Kazachstan. W domysłach pojawia się była sowiecka republika Komi, w 85 proc. pokryta lasami i bagnami, ale znalezienie dziś w tej głuszy potomków ówczesnych Polaków graniczy z cudem.

Wywózki rozpoczęły się wiosną 1938 r. i odejmując horrendalną liczbę wymordowanych mężczyzn, została w nich wysiedlona prawie cała ludność. W 1999 r. mieszkało tam mniej niż 2 tys. naszych rodaków. W skali całej BSRS doszło do aktu niebywałego. Jeśli spis ludności z 1937 r. naliczył 120 tys. Polaków, to spis z 1939 r. tylko 58 tys. I to przy niezmiennie dodatnim przyroście naturalnym!

Eksterminacja Polonii Leningradzkiej

Wysiedlenia nie ominęły trzeciego co do wielkości skupiska polskości w ZSRS, znajdującego się na terenie rosyjskiej SRS – Leningradu. Czystka w Leningradzie dorównywała swą brutalnością tej na Dzieżyńszczyźnie. Leningradzcy Polacy również en masse przeznaczeni zostali do eksterminacji. 79 proc. spośród wszystkich aresztowanych ze wspomnianej 50-tysięcznej diaspory zostało rozstrzelanych. Właśnie na podstawie badań m.in. składu narodowościowego Leningradu historyk Terry Martin w swej książce „The Affirmative Action Empire” wyliczył, że Polacy w latach „wielkiego terroru” byli rozstrzeliwani 31 razy częściej niż przedstawiciele innych nacji. W podleningradzkich mogiłach odkryto na przełomie lat 80. i 90. ponad 46 tys. ciał wszystkich kategorii mieszkańców Leningradu.

Gehenna Polaków, którzy przeżyli w Leningradzie „wielki terror”, trwała dalej. Między 1941 a 1944 r. wielu z nich dołączyło do około miliona ofiar niemieckiej blokady Leningradu. Polacy ginęli wówczas w wyniku śmierci głodowej i bombardowań.

Technologia ludobójstwa – „procesy”

Masowe aresztowania odbywały się w atmosferze strachu i wzajemnych podejrzeń. „Podejrzanych” wskazywali wedle własnego gustu funkcjonariusze, przedstawiciele lokalnego aktywu, a nawet krewni i rodzina. Prawie wszyscy gnębieni byli dosłownie „za nic”. „Wyszli kosić – opowiada Ludmiła Sobolewska – to Franek, wujko, rzucił kosę i powiedział: »Niech Stalin kosi…« I za to zginął”. „Kulczycki był wtedy komunistą i zabrali go w 1937. To jego przyjaciel, razem pracowali jako maszyniści na parowozie, zameldował, że on gazetą z portretem Kaganowicza [Łazara] wytarł… I od razu dali mu 10 lat” – wspomina Nadia Wyszkowska.

Początkowo ofiary „operacji polskiej” mordowano na podstawie tzw. wyroków albumowych, czyli zszytych dla wygody za krótsze boki kart z listami nazwisk. Komisja złożona z prokuratora i przedstawiciela NKWD, popularnie zwana „dwójką”, wydawała wyrok, wysyłany następnie w „albumach” do Moskwy, gdzie ostatecznie akceptował go szef NKWD Jeżow i prokurator generalny Andriej Wyszynskij. Od drugiej połowy 1938 r., by skrócić bieg postępowania, wyroki skazujące wydawały tzw. trojki złożone z naczelnika lokalnego NKWD, sekretarza obwodowego komitetu partii i obwodowego prokuratora.

Egzekucje

Zabijano i grzebano w pobliżu miejsca aresztowania. Masowe groby wypełnione setkami ciał Polaków zostały odkryte (przez Niemców w 1943 r.) m.in. w samym centrum Winnicy. Rozstrzeliwań dokonywano w starym sadzie, na cmentarzu miejskim i w „parku kultury”. Mieszkańcy Winnicy wspominali później, że NKWD zwoziło ludzi co noc. Nieszczęśników rozstrzeliwano na podwórzu miejscowego obwodowego zarządu NKWD w rejonie garaży. Przed przystąpieniem do egzekucji załączano silniki samochodów ciężarowych, opromienionych złowrogą sławą czornych woronów z charakterystycznymi czarnymi budami. Zabijano strzałem z małokalibrowego pistoletu. Z 9432 ciał ekshumowanych w Winnicy 6360 wymagało drugiego strzału; 78 – trzeciego, a 2 – czwartego. Poza tym wielu pozostałych dobijano, uderzając w głowę tępym narzędziem.

W zeznaniach świadków pojawiają się makabryczne opisy wydarzeń. Otóż twierdzą oni, że NKWD-ziści dokonywali sadystycznych mordów, nawlekając ludzi przez uszy na gruby, ostry drut. Wiele osób zagrzebano żywcem.. Niektóre kobiety były nagie z oznakami dokonanych nań gwałtów. W wielu wypadkach ludzie poznawali swoich bliskich, gdyż proces rozkładu nie był jeszcze w stanie zaawansowanym.

W Żytomierzu mordowano niemal wszędzie. Najwięcej szkieletów odkopano w pobliżu siedziby

NKWD i na tzw. Cmentarzu Ruskim. W Kamieńcu Podolskim na miejscu późniejszej fabryki konserw. W Płoskirowie, niedoszłej stolicy polskiego rejonu autonomicznego, w latach 60. spychacze przygotowujące teren pod budowę domu towarowego obnażyły piwnice wypełnione setkami ludzkich szkieletów. Piwnice należące niegdyś do płoskirowskiego więzienia NKWD.

Część aresztowanych ginęła w położonym niedaleko obozie koncentracyjnym w Połonnem na Wołyniu. W Połonnem i Latyczowie na Podolu ludzi mordowano w kościołach. Ludność mieszkająca w pobliżu, która słyszała dochodzące stamtąd rozdzierające krzyki i płacze, zginęła bez śladu.

W miejscu niepojętej zbrodni

Mieszkańców Dzierżyńszczyzny i okolic zabijano i chowano w masowych rowach w rejonie lesistej podmińskiej wioski Zielony Ług. Nazwa leśnego uroczyska, dziś gigantycznej mogiły, w 1937 r. brzmiała Korupaty. Droga, przez którą sunęły wyładowane ludźmi i strzeżone przez uzbrojonych w „nagany" NKWD-zistów czornyje worony szybko zyskała sobie miano „drogi śmierci". Okoliczni świadkowie wspominają, że od 1937 aż do 1941 r. dzień w dzień odbywały się tam egzekucje narodów zamieszkujących BSRS. Był to czas, który jeszcze dziś starsi mieszkańcy wschodnich obwodów kraju nazywają harpun – ludzkie łowy… Liczbę ofiar w rozłożonym na przestrzeni 15 ha terenie szacuje się nawet na ok. 250 tys.

Na miejscu dwóch strażników wyprowadzało od czterech do sześciu więźniów z „budy" „worona", pozostali dwaj pilnowali reszty w samochodzie. Nad jamą rozwiązywano im ręce i kneblowano usta. Rozlegał się huk strzału. NKWD-zista celował w skroń tak, aby kula zabiła też stojącego obok więźnia. Proceder trwał dotąd, aż zostały dwie ofiary, które następnie zasypywały trupy. Chwilę potem leżały już wśród towarzyszy niedoli. Mordercy zasypywali ostatnich dwóch zastrzelonych i odjeżdżali po następny „ładunek". Piasek, którym zasypywano każdą kolejną partię rozstrzelanych, ruszał się jeszcze przez jakiś czas…

W trakcie „operacji narodowych" organa NKWD aresztowały 350 tys. ludzi, z tego ok. 150 tys. w ramach „operacji polskiej". Większość z nich, bo ok. 250 tys., rozstrzelano. Ponad 111 tys. ofiar to Polacy. Szacunki historyków pozwalają przypuszczać, iż do II wojny światowej z Ukrainy wysiedlono co najmniej 250 tys. Polaków, przy czym 100 tys. zginęło pierwszej zimy.

Do końca istnienia II RP konsulat polski w Kijowie nawet w przybliżeniu nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów represji wobec Polaków.

Kaci

Sprawcy eksterminacji ludności polskiej zostali co do jednego wymordowani po zamknięciu „operacji polskiej". „Odeszli" wraz z Jeżowem. Sam Jeżow „odszedł" rozstrzelany w lutym 1940 r. Zastąpił go I zastępca Beria. To dobitnie świadczy o farsowości „odwilży". Ale mniej niż ten oto fragment wewnętrznego śledztwa NKWD ze stycznia 1939 r. wobec jednego z naczelników komisariatu w Żytomierzu: „Ustalał niezgodnie z prawem normy dla śledczych – uzyskać 5-8 przypadków przyznania się do winy w ciągu dnia - przez co popychał ich do popełnienia wołających o pomstę do nieba nadużyć"…

W okresie „wielkiego terroru" wypracowano model postępowania, którym objęto później ludność terenów II RP, zajętych na mocy paktu z Hitlerem oraz wobec jeńców wojennych zabitych w Katyniu, Miednoje, Piatichatkach i innych nieznanych dotąd miejscach mordu.

Paweł Zyzak „Nowe Państwo" 04.03.2012



Sowiecki obóz koncentracyjny

ZAPOMNIANE OFIARY

Epoka masowego terroru w ZSRS lat 30. zaczęła się od stalinowskiej ofensywy przeciwko chłopom. Atak ten przeprowadzono w niezwykle brutalny i nieludzki sposób, nie gardząc nawet takimi metodami jak sztuczne wywoływanie głodu. Rozpętany pod koniec 1929 r. masowy terror stopniowo ogarnął i inne kategorie ludności. Nie uderzano w poszczególnych ludzi winnych konkretnych wykroczeń, lecz w całe grupy społeczne. Celem było totalne zastraszenie i sterroryzowanie społeczeństwa. Represjom poddano praktycznie wszystkie kategorie ludności, ale w pierwszej kolejności ich ofiarami stawali się najbardziej wykształcone warstwy, uważane za potencjalnych przeciwników reżimu. Aresztowano i karano „polskich szpiegów i peowiaków", „białoruskich narodowych faszystów", „trockistów", za udział w nieistniejących „kontrrewolucyjnych", „antysowieckich", „szkodniczo-dywersyjnych" i „szpiegowsko-terrorystycznych" organizacjach. Karano również za niepowiadomienie władz o „działalności kontrrewolucyjnej" członków własnej rodziny, za kontakty z krewnymi mieszkającymi za granicą. W użycie i praktykę sądową wprowadzono pojęcie „społecznie szkodliwy element". Rozniecano totalną podejrzliwość i wzajemny brak zaufania. Donosy, oszczerstwa, obmowy i oskarżenia o wypowiedzi antysowieckie, czynione nieraz ze względów czysto merkantylnych, stały się codziennością. W ślad za zwalczaniem tak zwanego. narodowego demokratyzmu w środowisku białoruskiej inteligencji, represje skierowano przeciwko mniejszościom narodowym.

9 sierpnia 1937 r. Politbiuro KC WKP(b) zatwierdziło rozkaz operacyjny NKWD dotyczący likwidacji „lokalnych organizacji POW" i polskich grup „dywersyjno-szpiegowskich ". Był to słynny rozkaz nr 00485 z dn. 11 sierpnia 1937 r., podpisany przez szefa NKWD Nikołaja Jeżowa. Jak zauważa współczesny historyk: „Nie było wcześniej pojedynczego dokumentu, który pociągnąłby za sobą świadomą likwidację tak wielkiej liczby ludzi na podstawie kryterium etnicznego". W rozkazie nie mówiło się wprost, że chodzi o naród polski, lecz z jego treści wynikało, że podejrzenie rzucano na całą polską populację ZSRS. Początkowo zakładano, że to rozporządzenie ma być wykonane w ciągu trzech miesięcy, jednak terminy niejednokrotnie ulegały zmianom i ostatecznie operacja trwała przez prawie rok. Wyjątek zrobiono dla Białorusi, której zezwolono przedłużyć tę akcję do 1 września 1938 roku. Była to jedna z pierwszych i największa, jeżeli chodzi o liczbę ofiar, ze wszystkich operacji „narodowościowych" przeprowadzonych w ZSRR. W sumie w trakcie tej akcji skazano prawie 140 tysięcy osób, z których ponad 111 tys. rozstrzelano. Większość z nich stanowili Polacy. Liczbę ofiar wśród osób narodowości polskiej szacuje się w granicach 85–95 tysięcy. Jak zaznacza amerykański historyk Timothy Synder, stanowiło to jedną ósmą ogólnej liczby straconych podczas „wielkiego terroru", czyli bardzo wysoki odsetek, gdyż Polacy w ZSRS byli znikomą mniejszością narodową, stanowiąc zaledwie 0,4% populacji całego kraju. Z tego wynika, że Polacy w Związku Sowieckim ginęli w tamtym okresie prawie czterdziestokrotnie częściej niż inni obywatele sowieccy. Łącznie z ofiarami przymusowej kolektywizacji straty społeczności polskiej w Związku Sowieckim sięgnęły 30% jej stanu z lat 20. Przypomnijmy, iż według spisu ludności z 1926 r. w tamtym czasie w ZSRS mieszkało 782 tysięcy obywateli sowieckich pochodzenia polskiego, w tym na Białorusi około 97 tysięcy.

Polską mniejszość narodową uznawano za nieprzyjaciela państwa sowieckiego z założenia, bo kojarzono ją z „wrogą burżuazyjno-obszarniczą" Polską. Tym się zapewne tłumaczą próby „uregulowania" kwestii polskiej w Związku Sowieckim na początku lat 30. Chodzi o autonomię narodową przyznaną Polakom na Białorusi w 1932 r., która zgodnie z planami kierownictwa stalinowskiego miała się stać czynnikiem destabilizującym politykę wewnętrzną ówczesnego państwa polskiego w kwestii narodowościowej. Demonstrować bowiem miała wyższość rozwiązań sowieckich w tej dziedzinie. Bezpośrednio po uchwale Centralnego Komitetu Wykonawczego BSRR o reorganizacji rejonu kojdanowskiego w Kojdanowski Narodowościowy Rejon Polski, lokalny dziennik „Orka" pisał: „Organizacja Polskiego Rejonu Kojdanowskiego wskazuje jeszcze raz polskim masom pracującym ZSRS, a także masom pra-

cującym Polski faszystowskiej, Białorusi Zachodniej i Ukrainy Zachodniej, że tylko ZSRS jest ojczyzną wszystkich narodów, a Polska faszystowska jest więzieniem narodów".

Ważnym elementem tej polityki był zamiar przeprowadzenia szybkiej sowietyzacji ludności polskiej, co ze względu na specyfikę jej historycznego rozwoju, nie było rzeczą łatwą. W tym sensie narodowa autonomia polska o sowieckim podłożu ideologicznym miała zlikwidować duchową łączność z Polską i polskim rodowodem przez całkowitą izolację od narodowych i społeczno-kulturalnych procesów zachodzących w II Rzeczypospolitej. Miała też zniszczyć autentyczne tradycje narodowe i kulturalne. Jednak w połowie lat 30. strona sowiecka ostatecznie zaprzestała prób wykorzystania kwestii polskiej do poszerzenia wpływów międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Pod pretekstem walki ze szpiegami polskimi i „burżuazyjnymi" mniejszościami narodowymi w sierpniu 1937 r. rozpoczęto akcję skierowaną na izolację i częściowe zniszczenie ludności polskiej na Białorusi. Czystka etniczna dotknęła w pierwszej kolejności osób mających krewnych w Polsce lub przybyłych stamtąd na Białoruś. Aresztowaniu podlegały także „ujawnieni" członkowie wymyślonej przez NKWD „Polskiej Organizacji Wojskowej", pozostający w ZSRS polscy jeńcy, zbiegowie z Polski, emigranci polityczni, byli członkowie PPS i innych partii politycznych, aktywiści polskich rejonów narodowościowych. Masowe wywózki Polaków z Kojdanowszczyzny rozpoczęły się wiosną 1938 roku. Większość była kierowana do obozów koncentracyjnych w Komi, na północy europejskiej Rosji. Ludność polska poniosła wówczas ogromne straty. Wśród represjonowanych na Białorusi, jak i w całym Związku Sowieckim, liczba Polaków była większa w stosunku do liczebności innych narodowości. Przykładowo, od 1 października 1936 r. NKWD aresztowało w Związku Sowieckim ponad 105 tysięcy Polaków, co stanowiło 7,4% ogółu aresztowanych i około 59 tysięcy Białorusinów, czyli odpowiednio 4,1%. Wówczas jednak populacja białoruska w ZSRR była ośmiokrotnie liczniejsza niż polska. Tylko w ciągu trzech letnich miesięcy 1938 r., jako agentów wywiadu polskiego, w BSRR aresztowano 2663 Polaków i 2717 Białorusinów, wtenczas jak Polacy stanowili szacunkowo 6–10 procent ludności BSRR. Towarzyszyła temu kampania antypolska tworząca w oczach obywateli sowieckich obraz Polaka – „szpiega faszystowskiej Polski", „wroga władzy ludowej i ludu pracującego" itp. Na tle pokutujących jeszcze z czasów carskich stereotypów o Polakach – „wrogach Wschodu", „zdrajcach Słowiańszczyzny" propaganda wytwarzała w społeczeństwie sowieckim atmosferę wrogości wobec Polaków, zaliczając ich do tak zwanego elementu niepewnego. Zresztą za „pewnych" Polacy nigdy nie byli przez Sowietów uważani. Jednemu z więźniów politycznych śledczy NKWD tłumaczył, że wszyscy Polacy to faszyści . W toku „polskiej operacji" na Białorusi, od 25 sierpnia 1937 do 15 listopada 1938 roku, skazano prawie 20 tysięcy osób i rozstrzelano ponad 17 tysięcy. Jeszcze 20 tysięcy Polaków deportowano z Białorusi w roku 1938. Ogółem w rezultacie prześladowań, deportacji i wyroków śmierci liczebność Polaków na sowieckiej Białorusi spadła w latach „wielkiego terroru" o ponad sześćdziesiąt tysięcy, czyli zmniejszyła się prawie dwukrotnie w stosunku do stanu sprzed sierpnia 1937 roku (według spisu ludności z 1937 r. liczba obywateli narodowości polskiej w BSRR wynosiła 119.881 osób).

Konsekwencją takiej polityki było powszechne ukrywanie przez większość sowieckich Polaków swojej przynależności narodowej. O nauczaniu języka ojczystego, kultywowaniu narodowej oświaty i kultury nie było mowy. Społeczność polska w ZSRS skazana została na wynarodowienie.

Dziś nie ma niestety możliwości ustalenia dokładnej liczby wszystkich ofiar terroru komunistycznego. Archiwa bezpieki dotyczące tamtych wydarzeń nadal są niedostępne dla historyków. Nie możemy zatem wymienić nazwisk, ale trzeba o tych męczennikach pamiętać. „Musimy pamiętać o ofiarach zbrodni tym mocniej" – pisze współczesny historyk – „im bardziej wydają się one zapomniane, bezimienne, bezsilne – tego właśnie wymaga od nas ludzkość. Tak się złożyło, że polskie ofiary ludobójstwa sowieckiego należą do najbardziej zapomnianych i bezsilnych, czego świadectwem jest poziom niewiedzy o ich losie. Mordowano ich dlatego, że byli Polakami. I dlatego, że powstał system, który usankcjonował masowe ludobójstwo". Niech spoczywają w spokoju, niezapomniani.

Jerzy Waszkiewicz
Mińsk

RZEŹ PRAGI

W dniu 4 listopada 1794 r. cywilna ludność prawobrzeżnej Warszawy, czyli Pragi została wymordowana przez wojsko rosyjskie dowodzone przez gen. Aleksandra Suworowa, który przyzwolił także na gwałty i grabież. Dlaczego doszło do tak okrutnego wydarzenia dokonanego na niewinnych dzieciach, kobietach, starcach, których potem pochowano w liczbie ponad 20,0 tys. w niewiadomym miejscu?

Przez dziesiątki lat systemy totalitarne wymazywały z pamięci narodowej wiele wydarzeń historycznych, spośród których opisywana tragedia Pragi jest takim przykładem.

Klęska Tadeusza Kościuszki pod Maciejowicami z 10.X.1794 r. nie zakończyła powstania przeciw Rosjanom. Przed agresorami bronili się jeszcze m.in. generałowie: Jakub Jasiński, Henryk Dąbrowski, Stanisław Mokronowski, Karol Sierakowski, Tomasz Wawrzecki i inni. W obronie Warszawy utworzono linię obronną na skraju Pragi, której broniło 13,6 tys. żołnierzy posiadających 104 działa pod dowództwem gen. Józefa Zajączka. Wyszkolenie i morale żołnierzy było słabe na skutek ciągłego odwrotu z Litwy. Natomiast doborowe oddziały polskich żołnierzy w tym czasie znajdowały się nad Bzurą w obronie przeciw Prusakom. Dowódcą obrony Pragi został mianowany generał Józef Zajączek, dowódcą prawego skrzydła był gen. W. Jabłonowski, zaś lewego – gen. J. Jasiński. Fortyfikacje obronne były zbytnio rozciągnięte, usypane z piasku, co ułatwiało ich opanowanie przez Rosjan. Przeciwko polskiej obronie Suworow dysponował 23,0 tys. żołnierzami, którzy przed bitwą otrzymali szczegółowe instrukcje atakowania polskich pozycji. W obronie Pragi padło 9,0 tys. żołnierzy. Suworow zezwolił swym żołnierzom odebrać nagrody. Orgia w wykonaniu pijanego żołdactwa trwała długo. Nawet sami dowódcy rosyjscy w swych relacjach dawali przerażający obraz gwałtów, grabieży, tortur i morderstw ludności cywilnej. Ludność w liczbie 20,0 tys. osób została w bestialski sposób zmasakrowana. Rzeź niewinnych osób miała wytworzyć psychozę strachu na mieszkańcach Warszawy. Świadczyło o tym wpuszczanie na Pragę krewnych z Warszawy, aby obejrzeli „żniwo" Rosjan i nakłonili dowództwo obrony Warszawy do natychmiastowego poddania, co też się stało.

Jeden ze świadków pisze:

„(…) zaczęli rąbać wszystko co żywe. Kolbami karabinów rozbijali główki dzieci, na ostrzach bagnetów roznosili ludzkie szczątki. (…) bez pardonu dobijali rannych i wzywających pomocy, noworodki na oczach rodziców wrzucano do płonących domów, by później po zgwałceniu matek i poderżnięciu gardeł ojcom i z nimi zrobić to samo. Po ulicach wśród dymu, kałuż krwi i krzyków mordowanych biegali sołdaci obnosząc na pikach głowy księży. Na ulicach rosły sterty trupów".

A oto kilka relacji samych dowódców rosyjskich:

„(…) do samej Wisły na każdym kroku spotkać się dawali zabici i umierający różnego stanu ludzi; na brzegu rzeki piętrzyły się stosy żołnierzy, cywilnych, Żydów, Księży, zakonników, kobiet i dzieci. Na widok tego wszystkiego serce zamierało w człowieku, a obmierzłość obrazu duszę jego oburzała…" (gen. Lew Nikołajewicz Engelhard, dowódca pułku grenadierów syberyjskich).

Pułkownik Christofor Andrejewicz Liven po natarciu spotkał grenadiera, który bagnetem przebijał każdego Polaka, zaś siekierą dobijał rannych. Na protest Liwena grenadier odpowiedział, że „oni wszyscy są psami, walczyli przeciw nam i muszą zginąć". Mordowano nawet wszystkie zwierzęta. Podczas tego piekła krwawy pajac Suworow przebrany na błazna biegał po ulicach z dwoma żywymi indykami, wrzeszcząc, że „musi je pilnować, aby chociaż one przeżyły tę rzeź".

Suworow w raporcie do carycy Katarzyny II chełpił się:

„Po przełamaniu zaciekłej obrony nieprzyjaciela nasze wojska wdarły się na Pragę. Straszny był przelew krwi, place zasłane były trupami, ostatnia i najstraszniejsza rzeź dokonała się na brzegu Wisły na oczach ludu warszawskiego. (…) Na Pradze ulice i place zasłane były ciałami zabitych, krew lała się strumieniem, zaczerwienione wody Wisły niosły ciała tych, którzy szukając ratunku utonęli w jej nurtach.(…)". Caryca za te „czyny" awansowała Suworowa na feldmarszałka. W podobny sposób ten „wybitny dowódca i strateg" znany m.in. z „bohaterskich czynów" wymordował w 1790 r. ludność cywilną twierdzy Izmail w delcie rzeki Dunaj.

Po poddaniu się miasta Warszawy tenże Suworow przebrany za szeregowca witał parlamentarzystów pocałunkiem w usta i wódką.

O Suworowie opowiadano, że „Najżyczliwsi mu Anglicy przyznawali pochlebnie, że jest tylko w czterech piątych obłąkany", a wielki poeta i dramaturg George Byron opisał go jako „klowna i Spartanina, bohatera, bufona, półdemona i półplugawca, w jednym ciele, okrutnego potwora mieszczącego w skórze rzeźnickiego psa, duszę małpy".

Jak żył, tak i umarł – w 1800 r. w Petersburgu na syfilis.

Józef Adamski

(1794) 4 listopada.

Rzeź Pragi.

Zaszło słońce w krwawe morze —
Błysnął bagnet, błysły noże,
Suworowa pałasz nagi —
Błysnął hasłem na rzeź Pragi!

Rzuci się zajadła tłuszcza,
Siwym starcom nie przepuszcza,
Przed oczyma ojca, matki
Rozrywają żywcem dziatki.

W każdym domu trupy leżą,
Pluszczą progi krwią ich świeżą,
Po ulicach krwi się fala,
Aż ku Wiśle gdzieś przewala.

Jeszcze nie syt Moskal srogi
Wydał hasło do pożogi —
Staje Praga w ogniach cała,
Pożar na jej dachach pała —

Po ulicach wichr przegania
Kłęby dymów, jęk konania,
Okrzyk zgrozy w niebo leci,
Skwierczą w ogniu ciała dzieci!

W żadnej ludzkiej świata mowie
Mąk tych słowo nie wypowie
I nikt nie ma dość odwagi,
By opisać tę rzeź Pragi!

Dymią zgliszcza i krew dymi,
W jeden mordu stos olbrzymi,
A przez trupy do Warszawy
Sam Suworow wchodzi krwawy!

Suworowie! Póki żyjesz
Krwi tej z rąk twych nie obmyjesz!
Imię będziesz miał u świata,
Nie żołnierza — ale kata!

Рэзь Прагі

Марыя Канапніцкая,
Пераклад Ганна Панішава

Сонца ў мора з крыві села,
Зброя рускіх зазвінела,
Суворава палаш узняўся,
Рэзаць Прагу ён сабраўся.

Забіваюць усіх жывых:
Як бацькоў, так і малых.
На кавалкі перад маткай
Рве дзяцей прыслужнік царскі!

У кожным доме ляжаць трупы,
Кроў іх свежая паўсюдна,
Цераз Прагу цячэ хваляй
І да Віслы ракой валіць.

Не наесца маскаль здзекам
Над нявінным чалавекам,
Загадаў спаліць ён Прагу
За байцоў яе адвагу.

Уздоўж вуліц вецер гоніць
Енкі,крыкі, матак стогны,
Там праклёны ў неба ляцяць,
А цельцы дзетак у агні сквірчаць.

Яшчэ мова не паўстала,
Каб дакладна апісала
Мукі, боль і сум смяротны
У Празе знішчанай, гаротнай.

Дым над папялішчам чадзіць,
Палачоў ужо цар адзначыць,
А па трупах да Варшавы
Сам Су056аў йдзе крывавы.

Сувораў! Пакуль будзеш жыць,
Табе людскую кроў не змыць,
І будзеш мець імя ў вяках ты
Не жаўнера, але ката!

Serce każe

Z Białorusi nic nie wziąłem
Nie zabrałem żadnej rzeczy
(Każda żaba to wyskrzeczy)
Tam gdzie stopą jej dotknąłem

Owszem wziąłem jej pejzaże
Prypeć Niemen Świteź łany
W mej pamięci pozostaną
Bo tak serce moje każe

Z tamtym ludem się związałem
Co w Mozyrzu trwa z Michałem
(I pod Krzyżem z Baranowicz)
Serce podzięk niech wypowie

Tak pośpiesznie się żegnałem
Z sufraganem „czaj" wypiłem
Za zło moje przeprosiłem
Biorę Was na wieczność całą

Ks. Józef Dziekoński

Prezentacja książki „Saga Polesia"

W dniu 14 marca 2012 r. w Muzeum Niepodległości w Warszawie odbyła się prezentacja najnowszej książki wspomnień o Polesiu –„Saga Polesia". Książka zawiera wspomnienia mieszkańców Polesia o własnych przeżyciach, ludziach, kulturze oraz wydarzeniach na ziemiach poleskich od czasów najdawniejszych do czasów dzisiejszych. W prezentacji uczestniczyli przedstawiciele oddziału brzeskiego ZPB. Gości powitał dr Tadeusz Samborski. Pan Bohdan Miłaczewski, jeden z autorów oraz członek zespołu redakcyjnego zaznaczył, że głównym walorem „Sagi Polesia" jest autentyczność jej treści, gdyż została ona napisana przez ludzi, którzy właśnie byli bohaterami oraz świadkami opisywanych wydarzeń. Jest to dzieło wielogatunkowe: elementy biograficzne na szerokim tle wydarzeń historycznych z odrobiną etnograficznych refleksji. Promocja książki przybrała postać wieczoru poetycko-literackiego, podczas którego goście mogli posłuchać recytacji wybranych fragmentów książki przez prof. Stanisława Górkę oraz studentów II roku Wydziału Aktorskiego Akademii Teatralnej.

Marina Paniszewa



Piosenka o Brześciu



Tam, gdzie płyną dwie rzeki,
Bug z Muchawcem witają,
Miasto z losem człowieka
Przed oczyma powstaje.
　　Wstaje ptakiem z popiołu
　　Po historii pożarze,
　　Gdzie wskrzeszone kościoły,
　　Oświetlone ołtarze.
Zmyte dawno już ślady
Butów srogich najeźdźców.
Gdzie krew lała się, sady
Kwitną wiosną w mym Brześciu.
　　Mury Twierdzy o wojnie
　　Niech już zapominają,
　　Słońce świeci spokojnie,
　　Ptaki pieśni śpiewają.
Miasto mojej młodości,
Miasto szczęścia i marzeń,
Wita wszystkich z radością,
Wszystkich pięknem swym darzy.

Alina Ostrowska

Pieśnia o Brześciu (dzieci młodzież)

g-moll

Tam, gdzie płyną dwie rze-ki
Bóg z Muchawcem wita-ją,
Miasto z losem człowie- ka
Przed oczyma powsta-je.
Refr.
Miasto naszej młodo-ści,
Miasto szczęścia i ma-rzeń,
Wita wszystkich z rado-ścią,
Wszystkich pięknem swym da-rzy
da-rzy



TROPAMI WSPOMNIEŃ KRESOWYCH

Czy warto pisać o mojej rodzinie, którą jak wiele innych wyrzuciły losy – wyrugowały z dawnych ziem polskich, z Polesia i rzuciły na Podlasie? Myślę, że warto, bo przeżycia z tamtych lat szybko ulatują z pamięci. Gdy w 1940 roku usunięto całą moją rodzinę z Brześcia, nigdy nie przypuszczałem, że tam już nie powrócę. Nowi właściciele Kresów zabrali nam cały majątek – duży dom wraz z licznymi sklepami, usytuowany na rogu ulicy Batorego i Mickiewicza oraz zakład rymarski, funkcjonujący z dużym powodzeniem przy ulicy Steckiewicza 25.

Pracujący w nim Bruś zaproponował nam zamieszkanie na Podlasiu w Bielsku Podlaskim u swoich krewnych – Kiryluków, posiadających własny dom na ulicy Ogrodowej. Tata załadował trochę mebli, niezbędną ilość ubrań i pościeli na furgon, którym brzeski Żyd przewiózł „cały" nasz majątek na miejsce. Ja, 9-letni chłopiec, wraz ze swoim 5-letnim braciszkiem Wojtkiem i mamą przyjechaliśmy pociągiem do tego małego miasteczka, które raczej przypominało większą wioskę. W jednej dużej izbie gnieździliśmy się aż do połowy 1941 roku.

To niewielkie miasteczko, jedno z wielu na Podlasiu, zabudowane małymi drewnianymi chałupkami posiadało dwa kościoły, 3 cerkwie i bożnicę, a w środku na rynku duży ratusz, jeden z najokazalszych zabytków miasta. Miasteczko liczyło około 9000 mieszkańców i było jednym z największych miast powiatowych na Białostocczyźnie. Miało imponującą przeszłość, która została zapisana w architekturze, obyczajach i życiu kulturalnym podobnym do ziem Polesia.

24 czerwca 1941 roku wkraczają do miasta wojska Wermachtu. Sowieci dosłownie w kalesonach uciekali na Wschód, zostawiając cały majątek zrabowany Polakom. Zarówno jedni jak i drudzy okupanci zastosowali straszny terror. Sowieci kilkoma etapami wywozili całe rodziny na Sybir (których część po kilkuletniej tułaczce w Kazachstanie w 1946 roku wróciła w strony rodzinne). Drudzy mordowali w bielskim więzieniu gestapowskim ludność polską, wywozili do obozów lub rozstrzeliwali w Lesie Pilickim. Tutaj zginęło wielu światłych obywateli miasta. Do dzisiaj na parafialnym cmentarzu stoi Pomnik – Ofiarom Barbarzyństwa, upamiętniający śmierć 49 osób rozstrzelanych 15 lipca 1943 roku, gdzie zaraz po wojnie przeniesiono szczątki pomordowanych.

Zostaliśmy kolejny raz wysiedleni, gdyż w tej dzielnicy miasta, gdzie mieszkaliśmy okupant utworzył getto i na mały skrawek kilku ulic spędził z całego powiatu około 5000 Żydów. Wkrótce partiami byli wywożeni do Treblinki, gdzie zginęli w komorach gazowych. 30 lipca 1944 roku wojska radzieckie wyzwoliły Bielsk, w którym ja i moi rodzice pozostali na zawsze. Brat zaś wyjechał na Ziemie Odzyskane.

Moje Kresy

Jako mały chłopiec nie miałem pojęcia co znaczy słowo – Kresy. Dopiero później moi rodzice zaczęli mnie uświadamiać, że przed wojną mieszkaliśmy właśnie na Kresach. O zabranych nam terenach polskich opowiadali mi znajomi, których na Podlasie też wielu wysiedlono. W Polsce Ludowej pojęcie „Kresowy" starannie było wymazywane ze słownika pojęć narodowych. Swoją wiedzę o moich stronach rodzinnych zacząłem czerpać z różnych pisemek i książek, które zachowały się w naszej bibliotece rodzinnej i u znajomych.

Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że polskie Kresy były najprawdziwszą rzeczywistością zwyczajnego, codziennego życia – życia państwa i narodu. Ludzie żyli tu swoistą niepowtarzalną kresowością, zarówno gospodarką, mową i ubiorem (bardzo zbliżonym do Podlasia).

Kresy, które tak mało były mi znane podczas II wojny światowej uległy ogromnej narodowej tragedii, która rozpoczęła się 17 września 1939 r. i w zastraszającym tempie zwiększyła swe rozmiary obejmując dawne tereny Polski na Wschód od Wisły. Kresy Kresów dokonały się właśnie wtedy, gdy wojska radzieckie uderzyły na nasz kraj, a może w dniu następnym, gdy w Jeziorach na Polesiu samobójstwo popełnił Stanisław Ignacy Witkiewicz. Słowo – Kresy w nowej rzeczywistości zostało wykreślone z języka, wszelkich publikacji i żyło jedynie w języku mówionym. Zaś dla młodego pokolenia było tylko mitem.

Najpierw fala zniszczeń spadła na Kresy w czasie I wojny światowej. W 1915 roku wojska rosyjskie cofające się przed niemieckimi zostawiły za sobą miasta i wsie spalone. Część Kresów, które pozostały po stronie rosyjskiej były perfidnie niszczone. Jeszcze Polska nie zdążyła się odrodzić a już przyszło stoczyć dramatyczny bój w obronie Lwowa. Do rangi symbolu narodowego wyrósł czyn żołnierzy Orląt Polskich – grupy prawie 1,5 tysiąca dzieci i młodzieży w wieku od 9 do 18 lat, biorących udział w walkach o Lwów w latach 1918-1920. W latach 50-tych władza radziecka postanowiła z historii wymazać Orlęta. Rozbijano nagrobki, pomniki i rzeźby. Część cmentarza zamieniono na asfaltową jezdnię, pod którą pozostały szczątki poległych żołnierzy, harcerzy i studentów. Długo zmagali się z konnicą Budionnego. Zginęli niemal do ostatniego. Ale pamięć o bohaterach – lwowskich Termopil na zawsze wpisała się w historię Polski. Po okresie zniszczeń cmentarz Orląt Lwowskich powoli odzyskuje charakter prawdziwego cmentarza, choć daleko mu do pierwotnej urody.

Od września 1939 r. wszystko co polskie było na Kresach systematycznie likwidowane. Tamte stare XIX-wieczne i z początku XX w. dworskie Kresy po prostu przestały istnieć.



Typowy dwór poleski

Niegdyś dwór szlachecki był trwałym elementem kresowego pejzażu. Stanowił on ostoję patriotyzmu w okresie poprzednich zaborów, przetrwał pogromy po powstaniach narodowo-wyzwoleńczych i odrodził się ze zgliszcz po I wojnie światowej. Po II wojnie dwory zaczęły znikać z poleskiego krajobrazu. Nowi „posesorzy" tej ziemi wywłaszczali prawowitych właścicieli zabierając im grunty i wydziedziczając z dworów, folwarków, pamiątek rodzinnych, stanowiące już trudne do odtworzenia dobra kultury polskiej.

Najpierw żołdacy ze Wschodu niszczyli bezmyślnie zabytkowe obiekty, również świątynie zamieniając je na inne cele. Likwidowali ziemskich właścicieli, mordując ich na miejscu lub wywożąc na Sybir. W mordowaniu i niszczeniu bezcennych obiektów polskich niejednokrotnie uczestniczyła miejscowa ludność podburzana przez nowych władców. Wśród lasów i pól istniało wiele majątków z dworkami, których właścicieli trudno było by teraz wyliczyć. Tutaj swoje majątki miały rodziny Ursyn-Niemcewicza, Romualda Traugutta, Marii Rodziewiczówny, Elizy Orzeszkowej, Kraszewskich i Krasickich czy Tadeusza Kościuszki i wiele, wiele innych.

Dzisiaj turysta udając się z Polski na niegdysiejsze ziemie Polski wędruje po byłych Kresach. Jadąc, przekracza granice obcych państw. Witają go często szorstko, czasami uprzejmie białoruscy, litewscy czy ukraińscy urzędnicy. Wędrując po wioseczkach i miasteczkach dawnych terenach naszego kraju na każdym kroku spotyka „pomniki" polskości. Kościoły, które przed laty odebrano wiernym i przeznaczono na domy kultury a dotrwały do dzisiaj dzięki Polakom, których nawała bolszewicka nie zdołała zrusyfikować. Cmentarze często dewastowane przez wandali przetrwały do dzisiaj. A napisy na pomnikach świadczą o tym, że na tych ziemiach żyli i złożyli swe kości najlepsi synowie naszej ojczyzny.

Jednym z najciekawszych regionów Kresów zarówno pod względem krajobrazowym i kulturalnym jest

Polesie

Stąd pochodzą moje korzenie. Od pradziadów do najnowszych czasów Polesie przedstawiało się jako niezmierzone puszcze, kresy wolności człowieka, mateczniki dla wszelkiej zwierzyny. Wszędzie bagna i bagna albo piaski i piaski, które z latami ginęły z krajobrazu Polski. Mieszkający tu lud prosty, żyjący z tego co upolował, złowił lub uzyskał z kawałków nieurodzajnej ziemi mówił w swoim, specyficznym języku mieszaninie wyrazów litewskich, białoruskich i polskich.

Kto zna Polesia, ten kraj ubogi,
słomiane strzechy, błotniste drogi,
cieniste lasy, wąskie zagony,
chude krowiny, ubogie plony?

Ludzie tam noszą łapcie łykowe,
główki dzieciaków jak len są płowe,
mieszkanie na wsi – to jedna izba
a w koło domu jest zawsze przyzba.

Tak pisał jeden z miejscowych poetów.

W latach trzydziestych XX wieku na Polesiu mieszkało około 1 miliom 300 tysięcy ludności. Rdzenni Poleszucy, żyli w ubogich chatach, w których „gnieździły" się bardzo liczne ubogie rodziny. Nic więc dziwnego, że chłopcy i ich ojcowie chętnie uczestniczyli w polowaniach na ptactwo i zwierzynę, wzbogacając swój biedny budżet kilkoma złotymi.

Olbrzymie bogactwo wszelkiej zwierzyny. Na „nieprzeniknione trzęsawisk obszary" ciągnęły rzesze myśliwych z całej Polski. Mieli tu do dyspozycji tysiące hektarów lasów, błot i bagien. Mój ojciec w latach 30-tych ubiegłego wieku należąc do Związku Łowieckiego wraz z kilkoma kolegami dzierżawił tereny łowieckie koło wsi Zbirogi skąd jak pamiętam przywiózł pewnego dnia z polowania dwa piękne rude lisy, które potem długo nosiła moja mama na ramionach.



Rok 1938.
W. Falkowski ze swym nierozłącznym towarzyszem łowów Bałtykiem i zdobytymi lisami.

Z nostalgią wspominał kresowe łowiska, tradycyjne polowania wigilijne, na które myśliwi dość wcześnie wyruszali, by wieczorem elegancko ubrani wraz ze swymi paniami uczestniczyć w rozdawaniu prezentów, a następnie zasiąść do wigilijnego stołu. Tata na polowania wyjeżdżał własnym „Polskim Fiatem" 508-III, zakupionym w 1938 r. i skonfiskowanym przez Sowietów w 1939 r.

Ja po ojcu odziedziczyłem jego pasje – łowiectwo i wędkarstwo, częstego kontaktu z przyrodą, poświęcając każdą wolną chwilę na wyjazdy nad rzeki – niegdyś Muchawca, a potem Narwi i Bugu. W swych zbiorach mam olbrzymią ilość egzemplarzy „Łowca Polskiego", wiele wydawnictw piszących nemrodów – Janusza Jędrzejewicza, Michała Kryspina Pawlikowskiego, Stefana Badeniego i Józefa Weyssenhoffa. Wszyscy, prezentujący polskie ziemie kresowe z czasów II Rzeczypospolitej posiadali wysoką kulturę łowiecką. Choć w różnych profesjach należeli do wybitnych osobistości. Mamy tu ziemianina, polityka, premiera RP, powieściopisarza, krytyka i dziennikarza. Wszyscy mieli wspólne pasje – umiłowanie przyrody, żyłkę myśliwską i miłość, dla której walczyli – Polskę.

Niewątpliwie ważną rolę w życiu Polesia odgrywały takie miasta jak Pińsk, Kobryń, Prużana i Dawidgródek. W zasadzie nie funkcjonowały tu jakieś znaczące dla tego regionu Polski zakłady przemysłowe. Rozwijało się natomiast rękodzielnictwo ludowe.

Brześć

Brześć nad Bugiem, zwany niegdyś Brześciem Litewskim – moje miasto rodzinne – stolica województwa poleskiego odgrywał najważniejszą rolę. Tu mieściła się diecezja pińska (powołana na mocy bulli papieża Piusa XI 28 października 1925 r.). Potem Kuria Biskupia Pińska funkcjonowała w Bielsku Podlaskim (1945-1950), która obejmowała również tereny pozostałe poza granicami Polski. Kurię przeniesiono następnie do Drohiczyna n/Bugiem. Dopiero w 1992 roku na mocy bulli Jana Pawła II powołana została diecezja drohiczyńska.

Niewątpliwie Brześć, jako centrum Polesia miał największy wpływ na codzienne życie rodowitych Poleszuków i ludności napływowej. Tu obok siedziby władz wojewódzkich funkcjonowało Kuratorium Okręgu Szkolnego Poleskiego i wiele innych urzędów. Miasto, liczące niewiele ponad 50 tys. mieszkańców było przede wszystkim miastem handlowym, czemu sprzyjał dobrze rozbudowany w tym regionie Polski system linii kolejowej.



Rok 1932. Od lewej J. Pietraszek i W. Falkowski przed swoimi warsztatami rymarskimi

Największym zakładem były warsztaty rymarskie, mieszczące się przy ulicy Steckiewicza. Właścicielami ich byli – Jan Pietraszek i mój ojciec Władysław Falkowski. Początkowo w parterowym, a potem jednopiętrowym budynku w końcu lat trzydziestych pracowało tu około 100 rymarzy, wyrabiających wszelkiego rodzaju wyroby skórzane dla potrzeb miejscowej ludności oraz uprząż dla wojska polskiego.

Ogromna skarbnica wiedzy o funkcjonowaniu zakładu i ciekawe życiorysy ich właścicieli, spisane przez nich na kilkudziesięciu kartkach służą mi teraz do odtworzenia tamtych czasów, kiedy wspólnie kierowali dużym przedsiębiorstwem, prowadzili ciekawe życie towarzyskie, uczestniczyli w działalności miejscowego rzemiosła. We wspomnieniach nie zabrakło lat okupacji sowieckiej, niemieckiej i zaraz po wyzwoleniu.

Jan Pietraszek, współzałożyciel Zakładu Rymarskiego urodził się 13 lipca 1898 r. w Sulejowie, powiat Radzymin. Niedługo był przy rodzicach. Rodzice – Jan i Katarzyna – zaraz po ukończeniu szkoły powszechnej kilkunastoletniego Jasia wysłali do Warszawy, aby zdobył zawód rymarza. Tu terminował w zakładzie rymarskim, ucząc się jednocześnie w Wieczorowej Szkole Rzemiosł przy ulicy Okopowej 55a na Woli. W Brześciu znalazł się po raz pierwszy w czasie służby w 22 Pułku Piechoty. Po ślubie z Eugenią Miłkowską, córką Franciszka i Marianny, który odbył się 12 lutego 1922 roku w kościele św. Anny w Lubartowie powraca do Brześcia, gdzie do roku 1924 pracuje w zbrojowni, produkującej uprząż dla wojska.

Mój ojciec, Władysław Falkowski pochodził z powiatu gostynieńskiego. Urodził się we wsi Krakówka 20 maja 1896 r. w rodzinie bardzo ubogiej.

- Bieda aż piszczała – pisze w swych wspomnieniach. Matka osierociła nas wcześnie. Byliśmy jeszcze niepełnoletni. Ojciec żeni się po raz drugi. Teraz rodzina liczyła 12 osób. Po roku macocha umiera. Dzieci na własną rękę szukają jakiejkolwiek pracy. Mały, 13-letni Władek zaczyna uczyć się sztuki rymarskiej, pracując niejednokrotnie po 16 godzin na dobę. A że jest chłopcem bardzo pojętnym, szybko poznaje arkana rymarstwa. Nauczył się robić szpicury i pejcze. Często wyjeżdża do majątków ziemskich, gdzie reperuje i konserwuje uprząż.

- Chodziłem w wytartych portkach, przez które wyglądały czasem brudne kolana. Przez cały czas terminowania dostałem od majstra 20 kopiejek na odpust. Dużo później porządne ubranie kupiłem sobie z napiwków. Ukończył zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej. Umiał już dobrze pisać i czytać. Chętnie więc korzysta z biblioteki swojego wujka. Mając 18 lat został czeladnikiem, o czym świadczy świadectwo czeladnicze, przechowywane w moich zbiorach rodzinnych, wydane i napisane w języku polskim i rosyjskim 20 maja 1914 roku. Rozpoczyna pracę na własny rachunek.

Już w wieku 19 lat wstępuje do tajnej organizacji POW (Polska Organizacja Wojskowa). Bierze udział w rozbrajaniu Niemców w 1918 r. Wstępuje do Legionów Polskich. Pierwszy chrzest bojowy w walce z bolszewikami przeszedł pod Baranowiczami. Potem walczy pod Berezyną. Chłód, wszy, czerwonka i świerzb nękają wszystkich. Dociera do Smoleńska. Z 600-osobowego batalionu cofającego się przed nawałą bolszewicką dotarło do Warszawy zaledwie 36 żołnierzy. Bierze również udział w bitwie warszawskiej (Cud nad Wisłą).



Rok 1919. Grupa legionistów podczas spotkania wielkanocnego po zwycięskiej bitwie z bolszewikami pod Baranowiczami. Pierwszy z lewej z organkami przy ustach Władysław Falkowski

- Jeszcze sporo przedeptaliśmy kraju i stoczyliśmy wiele potyczek, aż w końcu wylądowaliśmy w Brześciu. Tutaj osiedliłem się na stałe i pracuję w kilku majątkach. Dostawałem 1000 marek dziennie. Ładne ubranie kosztowało wówczas 40000 marek. Kupiłem sobie dwa ubrania, jesionkę, kamasze i bieliznę. Wy-

glądałem przynajmniej na prawdziwego człowieka. Był rok 1922. Zostaje zatrudniony w brzeskiej zbrojowni, gdzie już jak majster zarządzał 120 rzemieślnikami. „Za majstra został uznany i w księgę Zgromadzenia Cechu Rymarskiego w Gąbinie pod tytułem majstrów zapisany został”.

W Polsce szaleje inflacja. Dopiero w 1924 r. złoty się ustabilizował. Zarabiał miesięcznie 600 zł. Wówczas ubranie kosztowało 240 zł. Ciuła grosz do grosza, aby w przyszłości założyć własny warsztat rymarski. W międzyczasie poznaje Jana Pietraszka, z którym razem pracuje w zbrojowni, a z którym w 1924 r. organizuje Zakład Rymarski w budynku przy ulicy Steckiewicza 25, gdzie wówczas Pietraszkowie wynajmowali mieszkanie. W 1933 r. diametralnie zmieniły się warunki pracy brzeskich rymarzy, gdy Pietraszek wykupił od Towarzystwa Kredytowego miasta Siedlce całą nieruchomość, na której mieszkał (z dwoma budynkami mieszkalnymi i gospodarczymi oraz dużą piwnicą o powierzchni 2450 metrów kwadratowych) po uzyskaniu pożyczki na kwotę 72.750 zł.

- Wspólnik wniósł do spółki 600 zł, ja tylko 120 – pisze tata. W tym czasie był ogromny brak galanterii skórzanej m.in. różnych futeralików, skórzanych akcesoriów myśliwskich, walizek i neseserów, plecaków, teczek i portfeli oraz „psiarni” jak kagańce, obroże, smycze i szorki.



Rok 1927. Zdjęcie ślubne Eugenii Owczarek i Władysława Falkowskiego

2 października 1927 r. Władysław zawiera związek małżeński z Eugenią Owczarek, która wówczas była ekspedientką w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Łasku, a w latach 1927-1933 pracowała jako kasjerka w Wojskowej Składnicy Sanitarnej w Brześciu. Ślub odbył się w Brześciu w kościele Podwyższenia Świętego Krzyża. Świadkami ślubu byli: A. Jackowski i P. Maksymowicz.

- Zakład zaczął zyskiwać sobie uznanie wśród społeczeństwa. Z dnia na dzień przybywało nowych pracowników – doświadczonych i odpowiedzialnych rymarzy. W związku z tym musieliśmy powiększyć naszą pracownię, dobudowując jedno piętro. Zaczęliśmy ubiegać się o wojskowe roboty rymarskie. Przystąpiliśmy do produkcji uprzęży artyleryjskiej i siodeł kawaleryjskich. Pierwszą partię robót, wartości 100 tys. zł przyjęto bez większych zastrzeżeń. Posypały się nowe umowy. Każdy rok przynosił nam coraz większe sukcesy.



Rok 1937. Od lewej J. Pietraszek i W. Falkowski przed sklepem z akcesoriami rymarskimi

- Poza dostawą dla wojska prowadziliśmy handel skórami podeszwowymi, dodatkami szewskimi i krawieckimi. Z powodzeniem funkcjonował sklep z wyrobami skórzanymi. Miejscowy rynek całkowicie opanowaliśmy. Zakład nasz zatrudniając czeladników i przyuczając do zawodu rymarskiego wielu uczniów stworzył doskonałe warunki do pracy (jakże inne podczas mego terminowania przed laty). Nowoczesne maszyny do szycia marki Singera i wiele nowego sprzętu coraz bardziej usprawniały produkcję. Ostatnie zamówienie dla wojska przed samą wojną w 1939 roku przekraczało 500 tys. zł.

Pracownicy zakładu wśród akcesoriów wojskowych
– w środku od lewej siedzi W. Falkowski, a obok J. Pietraszek z synem Heńkiem

Pietraszków i Falkowskich poza pracą zawodową łączyły ścisłe stosunki towarzyskie, można powiedzieć że rodzinne. Jan Pietraszek był ojcem chrzestnym mego brata Wojtka. Zaś mój tata Władysław Falkowski podawał do chrztu Danutę, córkę Pietraszków. Niejednokrotnie obie rodziny wspólnie spędzały święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy czy rocznicę kolejnych imienin. Odpoczywali w miejscowości Dubica, oddalonej od Brześcia 25 km, która służyła dla inteligencji brzeskiej za letnisko, a dla młodzieży do organizowania obozów wakacyjnych.

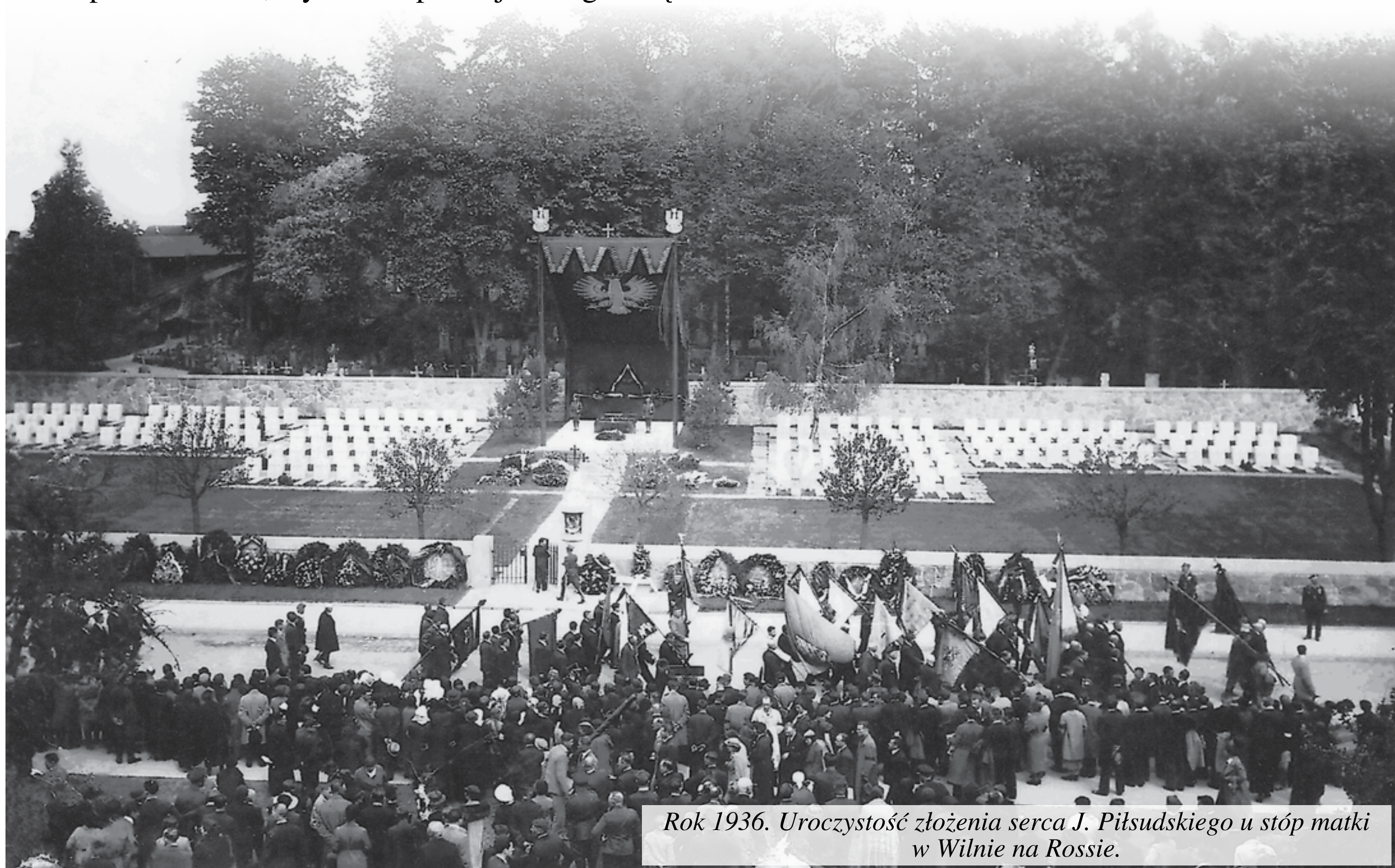


Rok 1936. Na wakacjach w Dubicy
– od lewej Eugenia Pietraszek, za nią stoi córka Danusia,
po prawej stronie stoi Eugenia Falkowska,
a na górze na snopkach zżętego żyta mały Wiesiek Falkowski


Choinka dla dzieci rzemieślników brzeskich

Jan Pietraszek był prezesem brzeskiej Izby Rzemieślniczej, która organizowała dla swych rzemieślników spotkania z okazji świąt państwowych i kościelnych (opłatek bożonarodzeniowy), choinki dla dzieci pracowników, wycieczki po kraju i za granicę.

W roku 1936 moi rodzice z Pietraszkami uczestniczyli w uroczystościach w Wilnie na cmentarzu na Rossie, gdzie obok matki Józefa Piłsudskiego spoczęło serce Marszałka.


Rok 1936. Uroczystość złożenia serca J. Piłsudskiego u stóp matki w Wilnie na Rossie.



Rok 1937. Uczestnicy wystawy rzemiosła Polesia zorganizowanej w Pińsku



Wycieczka statkiem po Prypeci z przedstawicielami rzemiosła biorącego udział w wystawie w Pińsku. E. Falkowska z lisem na ramionach.

W 1937 roku w Pińsku była zorganizowana wystawa produktów rzemiosła poleskiego, gdzie obok wyrobów garncarskich, kowalskich i włókienniczych znalazły się wyroby rymarskie z Brześcia. W otwarciu wystawy i imprezach, zorganizowanych z tej okazji uczestniczyli właściciele zakładów rymarskich z Brześcia – J. Pietraszek i W. Falkowski z żonami. Wówczas to brali udział w wycieczce statkiem po Prypeci. Zaś rok później w 1938 roku wspólnik taty wraz z małżonką przebywał w Rzymie, gdzie podczas uroczystości na Placu Świętego Piotra wzięli udział w spotkaniu z ówczesnym papieżem Piusem XI.



Grupa rymarzy wraz z kapitanem Wojska Polskiego, odbierającego zamówioną uprząż

Wspaniały rozwój zakładów rymarskich przerwała II wojna światowa.

Czas wojny

- Z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku jako komendant bloku OPL pełniłem nocny dyżur – pisze mój ojciec. Wówczas to z radia dowiedziałem się o napaści Niemców na Polskę. Już z samego rana samoloty wroga obrzuciły bombami i ostrzelały lotnisko w Małaszewiczach. Są zabici i ranni. W naszym zakładzie pracujemy gorączkowo, przygotowując duże kolejne zamówienie dla wojska, które miało być odebrane przez kierownictwo Wojskowego Zaopatrzenia, mieszczącego się na Solcu w Warszawie. Chociaż takich firm jak nasza funkcjonowało w Polsce 21, to my zawsze mieliśmy ciągłe zamówienia. Jeszcze w czerwcu 1939 r. sprowadziliśmy dużą partię drogocennych skór i szereg różnych półfabrykatów wartości 1 000 000 zł. Pracujemy, pomimo ciągłych nalotów na Brześć. 9 września mamy ładować do wagonu gotową uprząż dla Warszawy. Wzmagają się naloty. Niemcy skutecznie bombardują miasto. W niedzielę – 10 września ulice Brześcia jak wymarłe – leżą zabici, szereg budynków zburzonych. Z Solca przyjeżdża major S. i rotmistrz L. aby odebrać całą partię uprzęży. W poniedziałek – 11 września uciekali już w kierunku Zaleszczyk. Z rozlewni wódek wypuszczono spirytus, który płynie rynsztokami jak po ulewnym deszczu. Ludzie napełniają nim całe wiadra.

12 września ucichły naloty. Ale już pracownicy naszego zakładu nie przyszli do pracy.

Wspólnik ojca pozamykał je na klucz i wyjechał z jakimś oddziałem wojskowym. Zaś ojciec mój przyjeżdża swym fiatem na letnisko do Dubicy, gdzie ja z mamą i bratem przebywaliśmy na wakacjach. Przywiózł nam trochę ubrań. Wracając do Brześcia zostaje zatrzymany przez jakiegoś kapitana, który rekwiruje auto i kierowcę – tatę.

- Jedziemy do Kowna. Z kapitanem, z małą walizką jedzie również jego pani. Z wielkim trudem omijamy na szosie głębokie leje po bombach, okropne zatory ludzi uciekających na Wschód. 14 września zostałem zwolniony i wracam z powrotem swym samochodem do domu. Całe kolumny wojska, policji i cywilów jadą w przeciwnym kierunku. Po drodze zabieram 2 lekarzy i znajomego inżyniera z Brześcia.


URZĄD WOJEWÓDZKI POLESKI

DOWÓD REJESTRACYJNY

ważny tylko z kartą kontroli opłat P.F.D.

Samochód osobowy

marka fabryczna Polski-Fiat

model (typ) 508/III.

ciężar własny 830 kg

nośność 4 osób: - kg

ciężar całkowity 1150 kg

wojskowa

Zarejestrował p. Falkowski

(nazwisko i imię)

Pojazd dopuszczony jest do ruchu na drogach publicznych R. P. za znakiem rejestracyjnym

(adres i zmiany) ul. Batorego 13

(miejsce garażowania i zmiany)

M. K. Nr 75 – Kol.

Dowód rejestracyjny Polskiego Fiata W. Falkowskiego

17 września już spotykają pierwsze oddziały sowieckie. Wyglądają jak oberwańcy. Karabiny na sznurkach, a na plecach prowizoryczne woreczki przypominające plecaki. Idą wyzwalać naród polski „od panów i burżujów".

- W Dubnie zostajemy zatrzymani przez oficera sowieckiego, prowadzącego długą kolumnę kawalerii. „Maszynę" zabrali, a nas na kilka dni zatrzymali w obozie przejściowym w Ostrogu.

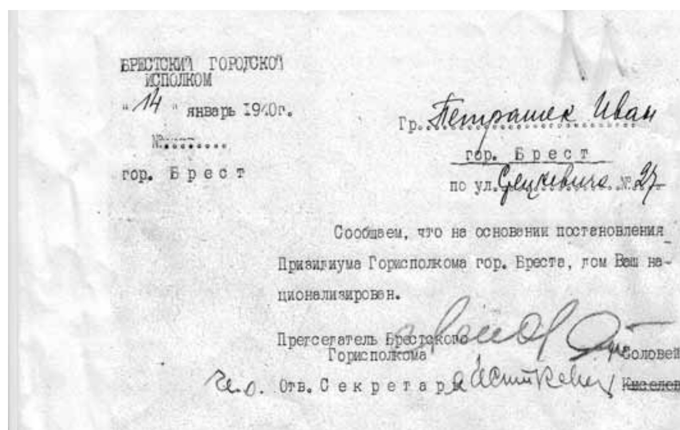
Po zwolnieniu wracają do Brześcia. Powrotna droga jest bardzo niebezpieczna. Jakimś cudem udaje im się wyrwać z rąk grasujących różnych bandziorów. Na dwa tygodnie zatrzymują się u czeskich gospodarzy, u których za pracę w sadzie i na polu otrzymują wikt i dach nad głową.

- W końcu traktorem z dużą przyczepą krytą brezentem, opłaciwszy przedtem po 50 zł od łebka wracamy do Brześcia. Po drodze co kilka kilometrów jakaś zorganizowana już policja z czerwonymi opaskami na rękawach zatrzymuje nas i rewiduje walizki, które są coraz lżejsze.

Do domu tata wraca na początku października. W Brześciu od 23 września rządzą już Sowieci. Myśmy z letniska przyjechali furmanką, wynajętą od jakiegoś Poleszuka.

Okupacja

- W lutym 1940 roku otrzymałem od władz radzieckich zakaz zamieszkiwania na terenie Brześcia – pisze Jan Pietraszek. Nasz dom został upaństwowiony. Dostajemy schronienie w ciasnym mieszkaniu u sąsiadów, dozorowanym przez sowieckiego żołnierza. 13 lutego 1940 r. urodził się nam drugi syn – Andrzej. Zmuszeni do opuszczenia miasta w maju 1940 r. wyjechaliśmy do Kobrynia. Początkowo zamieszkaliśmy w stodole, a gdy przyszła zima przenieśliśmy się do warsztatu ślusarskiego. Warunki bytowe, w których przyszło nam żyć wówczas są dziś trudne do wyobrażenia. 22 czerwca 1941 r. hitlerowskie Niemcy atakują Związek Sowiecki. Cała nasza rodzina wraca do Brześcia.


БРЕСТСКИЙ ГОРОДСКОЙ ИСПОЛКОМ

«14» январь 1940г.

№........

гор. Брест

Гр. Петрашек Иван

гор. Брест

по ул. Сенкевича № 27

Сообщаем, что на основании постановления Президиума Горисполкома гор. Бреста, дом Ваш национализирован.

Председатель Брестского Горисполкома Соловей

Отв. Секретарь Киселев

Pismo Rady Miejskiej miasta Brześć skierowane do Jana Pietraszka o znacjonalizowaniu jego domu

Tutaj za zezwoleniem władz niemieckich otwiera były zakład rymarski. I chociaż „był zmuszony do współpracy" z Niemcami, produkując im uprząż dla wojska, to zakład wykorzystuje do przechowywania sprzętu, należącego do podziemnej organizacji ZWZ – AK (Związek Walki Zbrojnej – Armii Krajowej), której jest członkiem.

- Zatrudniałem dawnych pracowników, dużo młodzieży, której zagrażało wywiezienie na roboty do Rzeszy, jak również wielu członków organizacji, aby mogli otrzymać ausweis.

Od lutego 1942 r. Jan Pietraszek był Komendantem Bazy Łączności w Brześciu nad Bugiem. W końcu kwietnia 1942 r. poznał kpt. „Wanię" (dr Alfred Paczkowski), z którym ściśle współpracował, przechowując na terenie zakładu dolary USA, broń i amunicję.

- Przyjmowałem łączników z Komendy Głównej. Funkcję komendanta pełniłem do czasu aresztowania „Wani". Po aresztowaniu komendanta OD „Wachlarz" p.s. „Wania" na prośbę księdza proboszcza parafii w Brześciu pomagałem w przesłaniu pewnych dokumentów do Warszawy, które były przetransportowane w jednej z butli, kiedy to wieziono ich kilkanaście do naładowania kwasem węglowym (wówczas kierowałem również Wytwórnią Wód Gazowych). Butla z odkręconym dnem szczęśliwie dotarła na miejsce. Obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

W dniu 3 kwietnia 1944 roku został powiadomiony przez łączniczkę z Warszawy, że natychmiast opuścić musi Brześć, gdyż grozi mu aresztowanie. Tegoż samego dnia żona wraz z trojgiem dzieci – Danką, Andrzejem i Zosią wyjechała do Warszawy. Pietraszek z najstarszym synem Henrykiem następnego dnia dociera do rodziny. Najpierw zamieszkują u znajomych,

a podczas Powstania Warszawskiego w piwnicy na plebani parafii Świętego Franciszka z Asyżu na Okęciu. Danusia bierze czynny udział w powstaniu na Czerniakowie jako łączniczka i sanitariuszka w plutonie „Słowaków” pod dowództwem por. Iringa.

Do 1940 roku ja wraz z rodzicami mieszkałem w Brześciu jeszcze w naszym domu, zakupionym na początku lat trzydziestych. Obok dwóch budynków mieszkalnych będących własnością rodziców były też sklepy – spożywczy, pieczywa, warsztat ślusarski, fryzjerski i szklarski. Zaś zakład rymarski został przejęty przez Sowietów wraz ze zgromadzonymi do produkcji dla wojska polskiego różnymi materiałami. Wówczas zaczęła się nasza gehenna – ciągłe rewizje w domu, dokonywane przez NKWD, grożenie i rekwirowanie nam majątku. W końcu zostaliśmy usunięci z własnego domu i osiedliliśmy się na Podlasiu w Bielsku Podlaskim. Podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej ojciec prowadził mały warsztat rymarski i wyrabiał drewniaki (letnie sandały) na które był wówczas duży popyt.

Gdy przyszło wyzwolenie

Wraz z powstaniem Polski Ludowej, mieszkańcy Bielska przystąpili do jego odbudowy. Miasto przedstawiało tragiczny wygląd. W gruzach legło wiele ciekawych zabytków miasta. Prawie całe centrum zostało zniszczone w 60 %. Mieszkańcy z ochotą przystąpili do jego odbudowy, ciesząc się, że wreszcie zakończyła się kilkuletnia niewola dwóch okupantów. Mój ojciec dalej prowadził warsztat rymarski, włączając się również bardzo aktywnie w życie społeczne miasta. Był jednym z pierwszych wiceburmistrzów Bielska, radnym Miejskiej Rady Narodowej, przewodniczącym Miejskiej Komisji Oświatowej, która zajęła się odbudową szkolnictwa miejskiego. Pracował w Spółdzielni Spożywców „Społem”. W 1965 roku zorganizował Powiatowy Oddział „PAX” oraz był organizatorem i kierownikiem Kasy Spółdzielczej Rolników, przemianowanej później na Bank Spółdzielczy.

Zaś Jan Pietraszek po wojnie pracuje jako kierownik składu gazu węglowego, firmy Gazy Techniczne w Warszawie. W roku 1950 jest współzałożycielem Spółdzielni Pracy Garbarsko-Kuśnierskiej mieszczącej się na Pradze, w której zajmuje stanowisko kierownika produkcji. Wówczas to moja mama w ramach współpracy ze spółdzielnią warszawską prowadzi na Podlasiu skup skór owczych. Następnie w GS „Samopomoc Chłopska” i bielskim Banku Spółdzielczym jest kasjerką. W roku 1970 Pietraszek przechodzi na emeryturę, ale z zawodem się nie rozstaje. Pracuje nad wzorem guzika wykonywanego z odpadków skóry naturalnej i wkładki blaszanej. W dniu 10 czerwca 1970 r. Urząd Patentowy PRL wydał mu świadectwo autorskie i ochronne. Wkrótce ruszyła produkcja skórzanych guzików i trwała do stycznia 1986 roku, kiedy to w wieku 88 lat zakończył pracę zawodową. Od kilkunastu lat Pietraszkowie – Jan (zmarł w 1988 r. w wieku 90 lat) i Eugenia (zmarła w 1994 r. mając 93 lata) spoczywają snem wiecznym na cmentarzu Wilanowskim w Warszawie. Zaś Falkowscy – moi rodzice Władysław i Eugenia na cmentarzu parafialnym w Bielsku Podlaskim. Dzieci Pietraszków – Henryk (ur. w 1923 r. już nie żyje), Danuta Michałowska (ur. w 1928 r.) – lekarz pulmonolog Szpitala Chorób Płuc, Zofia Baldwin-Ramult (ur. w 1937 r.) – inżynier Instytutu Żywienia i Żywności i Andrzej (ur. w 1940 r.) – lekarz chirurg Centrum Onkologii w Warszawie, mieszkają od lat w stolicy.

Ja – pedagog po UMCS w Lublinie, historyk mieszkam w Bielsku Podlaskim, brat Wojciech po ukończeniu Politechniki Szczecińskiej osiedlił się w Wałbrzychu. Wszyscy już są na emeryturze.

W roku 1990 pierwszy raz odwiedziłem moje rodzinne miasto – Brześć nad Bugiem. Szukałem śladów polskości, miejsc, w których przebywałem w dzieciństwie. Niewiele ich tu zostało. To nie to miasto, w którym spędziłem najmłodszy okres swego życia i ukończyłem do 1939 r. pierwszą klasę szkoły powszechnej. Z nadzieją wypatrywałem domu, w którym przed laty mieszkałem i bawiłem się z rówieśnikami w niewielkim sadzie. Stał on niegdyś niedaleko rynku i wysokiej, zbudowanej z czerwonej cegły wieży ciśnień u zbiegu ulicy Mickiewicza i Batorego. Ta druga została zamieniona na Karbyszewa. Dzięki informacjom i małej cerkiewce, do której zapraszał mnie przed laty Waśka na święcenie jajek w prawosławną Wielkanoc, odnajduję swój poszukiwany dom, a raczej jego resztki. Poznaje go po żaluzjach, jakie pozostały przy futrynach okiennych rogowego sklepu spożywczego, prowadzonego niegdyś przez Goduna. Na rynku stoją budynki przedwojennego Gimnazjum, gdzie uczyła się znana do dzisiaj aktorka – Nina Andrycz. Spotkałem niewiele ulic o polskich nazwach. Na Kijówce odwiedziłem katolicki cmentarz, gdzie powoli odnawiano stare, zabytkowe, mocno zdewastowane pomniki.

Wiesław Falkowski

Z listów czytelników

Pierwszy dzień wojny

Drodzy Nasi Przyjaciele,

Proponujemy dziś list z Brześcia naszej Czytelniczki Lidii Parafeniuk, która opisuje pierwsze godziny i dnie wojny – od 22 czerwca 1941 roku. Rodzina mieszkała we wsi Kocielnia Bojarska nad Muchawcem, przy samej granicy. Moi koledzy powiedzieli: „Może nie warto do tego wiosennego numeru dawać tak smutnych listów".

Ten skromny list, pozbawiony emocji, ocen i refleksji o przeżytym, moim zdaniem, jest dziś bardzo aktualny i ważny. Gdyż wyrosło pokolenie, któremu jest ciężko uwierzyć i zrozumieć wydarzenia tamtych lat, czym jest wojna, a to było przecież tak niedawno, za życia ich dziadków. Naszą powinnością jest przekazywanie naszych rodzinnych historii młodym, by stały się częścią pamięci serc i umysłów. To pomoże młodym zrozumieć naszą przeszłość i nauczy myśleć i robić wnioski, niezależne i prawidłowe. Nauczy kochać przodków, szanować ich, podziwiać, a może kiedyś i naśladować.

Ten skromny list odbieram także jak przestrogę nam wszystkim – w niektórych krajach dziś jest amoralna, bezwzględna władza, dla której życie człowieka nic nie jest warte, dla walki o strefy wpływów gotowi rzucić na stos najlepszych synów i całe narody, chcą decydować o losach świata. Obecnie wojny mają różne oblicza… Nie możemy i dziś być bezpieczni i lekkomyślni, położenie geopolityczne i doświadczenia wielowiekowe nie pozwalają. Politycy grają swoje gry, a płacą za to zawsze zwykli ludzie - jak w historii Lidii Parafeniuk, jak w życiu każdej polskiej i białoruskiej rodziny.

Wojny trwają i dziś na różnych płaszczyznach, w różnych sferach. Wyznawcy religii chrześcijańskiej giną obecnie w wielu krajach. Katoliczka Asia BIbi, matka czworga dzieci, czeka na śmierć w pakistańskim więzieniu. Od dwóch lat w celi bez okien jest gwałcona przez strażników – i to nie interesuje prasę ani światowych feministek. Pastor Yocef Nadkarkhani czeka na egzekucję w irańskim więzieniu. Już około 40 000 chrześcijan Korei Północnej w tej chwili przeżywają w obozach koncentracyjnych gehennę równą Kołymy czy Auschwitz. W Rosji nie ma obecnie wojny jawnej, ale jest ponad 1 mln dzieci sierot. Dzieci sierot i „sierot socjalnych" (gdy rodzice są, ale pozbawieni praw rodzicielskich) jest więcej z każdym rokiem w Polsce i na Białorusi. A ile jest dzieci osamotnionych, niekochanych, nierozumianych! Chore społeczeństwo jest w wojnie z samym sobą. Kto wie, czy nie jest to najgroźniejsza z wojen?

Jak być człowiekowi dzisiaj, w naszych czasach, jak zostać sobą i nie poddać się? Lidia Parfeniuk pisze że Jej rodzice, którzy przeżyli tę straszną wojnę i śmierci bliźnich, nauczyli swoje dzieci uczciwie pracować, kochać bliźnich, wierzyć i umieć przebaczać. Powiedziała nam – „Gdyby nie wiara i nadzieja, nie wytrzymali by". Miłość, nadzieja i wiara – jak za czasów Chrystusa tak i dziś to sposób na godne życie, to lekarstwo w cierpieniach.

„Dobra nowina o zmartwychwstaniu Chrystusa oświeca swoim blaskiem także życie doczesne. Mówi nam, że zawsze, nawet w najbardziej beznadziejnej sytuacji, jest możliwy nowy początek. Nigdy nie można mówić, że wszystko jest stracone, nigdy nie wolno potępić człowieka, bo zawsze, dopóki żyje, może się jeszcze zmienić. Nigdy nie wolno zwątpić w trudnościach, chociaż byłyby wielkie i ciężkie jak ten kamień grobowy Chrystusa. Bo Bóg, który daje krzyż, jest Bogiem, który sprawia zmartwychwstanie, bo krzyż, grób i zmartwychwstanie to nierozłączne elementy tej samej tajemnicy" głosi abp Stanisław Budzik.

Alina Jaroszewicz

Szanowna Redakcjo,

Każdy człowiek ma swój ulubiony zakątek na ziemi. Dla mnie jest to wieś Kotielnia Bojarska w obwodzie brzeskim. W tym miejscu urodziłam się, dorastałam, wyszłam za mąż, a potem przeniosłam się do Brześcia. Lecz najmilsze sercu wspomnienia sięgają okresu, gdy żyłam na wsi. Ludzie tam byli uczciwi i pracowici. Wiosną, gdy rozlewał się Bug, mieszkańcy wsi czuli się bezpiecznie. Zawdzięczali to swoim przodkom, którzy ulokowali wieś na wyżynie. Za to gdy woda wracała z powrotem do nurtu, w każdym zagłębieniu zalanej przedtem równiny, między wsią a rzeką, zostawało dużo ryb i mułu rzecznego. Właśnie dlatego mieszkańców wsi nazywano „pszenicznikami".

W czasie pierwszej wojny światowej wieś została zrujnowana i odbudowano ją dopiero po powrocie jej mieszkańców z uchodźstwa. Nikt wtedy nawet nie przypuszczał, że najgorsze próby dla mieszkańców Kotielnej Bojarskiej rozpoczną się dopiero na początku drugiej wojny światowej. 22 czerwca 1941 roku o godzinie 4 nad ranem straszny huk obudził wszystkich mieszkańców w domu rodziców. Mama na początku pomyślała, że to silna burza. Lecz gdy potężne uderzenie w ścianę wstrząsnęło całym domem, tata powiedział: „Zaczęła się wojna". Gdy zakładał buty, z drewnianej ściany do pokoju poleciały drzazgi. Dwie moje siostry, ośmioletnia Maria i sześcioletnia Ninoczka, obudziły się i leżały w łóżku. Mama, klęcząc przy łóżku, przytuliła dziewczynki do siebie. Poprosiła tatę, by schował się wraz z dziewczynkami do niewielkiej piwnicy, gdzie przechowywano warzywa. Ojciec nie zgodził się. Powiedział, że w piwnicy nawet nie znajdą, by pochować. Gdy po raz kolejny odłamki pocisków uderzyły w ścianę naszego domku, młodsza siostra i tata zostali ranni, ponieważ byli bliżej ściany. Rodzice podjęli decyzję, by wydostać się ze swojego domu do sąsiedniego, ceglanego.

Mieli nadzieję, że tam się uratują. Tata, już ranny, wziął na ręce ranną Ninoczkę i wyszedł z domu. W tej chwili tuż obok nich spadł pocisk i jego odłamki trafiły w nich. Wtedy ranną podwójnie córkę bierze na ręce mama, a tata próbuje pełznąć za nimi po ziemi w kierunku sąsiedniego domu. Na początku bombardowania rodzice myśleli, że być może inni mieszkańcy wsi zdążyli ukryć się. Gdy trafili do sąsiedniego domu, okazało się, że tam już byli inni ranni mieszkańcy wsi.

Nad ranem do wsi weszli Niemcy. Okazało się, że hitlerowcy bombardowali tą część wsi, gdzie znajdowały się sowieckie oddziały pograniczne. Byli czasowo zakwaterowani na okres ćwiczeń. W tej części wsi znajdował się i nasz dom (zachował się do dnia dzisiejszego).

Z kolei dom mojej babci znajdował się w innej części wsi. Ten odcinek był ostrzeliwany z mniejszą intensywnością i mieszkańcy mieli możliwość ucieczki do pobliskiego fortu. Lecz Babcia, widząc, że płonie nasza część wsi, gdzie mieszkała moja rodzina, pobiegła do nas na pomoc. Lecz w drodze do naszego domu kula trafiła ją i Babcia zmarła na miejscu.

Rano, gdy wyjrzało słońce, wieś była nie do poznania. Kilka domów spłonęło, inne były zrujnowane, słychać było jęki i płacz. Syn naszego sąsiada też zginął. Jego ciało wynieśli do ogrodu i przykryli prześcieradłem. Miejscowego cieślę Gerasima poprosili o zrobienie trumny. Gdy Gerasim schylił się nad deskami, zobaczył to stojący na pagórku za szopą żołnierz niemiecki. Bez namysłu wystrzelił do niego. Gerasim zmarł na miejscu.

Hitlerowcy nie spodziewali się, że aż tylu mieszkańców wsi przeżyje bombardowanie. Za pomocą tłumacza kazano wywiesić białe flagi w domach, gdzie są ranni. Flaga była wywieszona i w naszym domu. Niemiecki lekarz nie mógł zrozumieć, jak ciężko ranne sześcioletnie dziecko, będąc przytomne, patrzy na niego w milczeniu i nie płacze. Tatę z Ninoczką zabrali do szpitala w Brześciu. Szpital znajdował się w budynku, gdzie obecnie jest oddział onkologiczny. Lekarzy i personelu medycznego praktycznie nie było. Dlatego gdy Ninoczka prosiła o wodę, słyszała tylko ciszę. Mamę tam nie wpuszczano. Szóstego dnia zmarła, a tatę przenieśli do szpitala kolejowego. Mama, mobilizując resztki sił po pogrzebie Babci, pochowała własną córkę. Niemiec, stojąc u wejścia na cmentarz, nie chciał jej wpuścić, bo głośno płakała. Lecz jednak go ubłagała i robiąc wielką usługę jednak wpuścił ją, by mogła pożegnać się z córką.

Ojciec ciągle był w szpitalu. Mama codziennie nosiła tam jedzenie karmiąc nie tylko tatę, lecz i całą resztę głodnych i wycieńczonych ludzi. Po trzech miesiącach, mama, zobaczywszy puste łóżko szpitalne straciła przytomność. Jednak okazało się, że tata pierwszy raz wyszedł na spacer. Wkrótce wyszedł ze szpitala, chociaż rany jeszcze się nie zagoiły.

Zapasy jedzenia, które mieliśmy w domu, kończyły się. Rodzina zaczęła głodować. Ojciec, zawsze taki silny, mężny, zdecydowany, nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Chodził w pole za wsią i do nocy nie wracał do domu. Mama zaczęła teraz i o niego poważnie się niepokoić.

Niemcy, gdy się dowiedzieli, że ojciec jest rybakiem i ma łódkę oraz sieci, wzięli go do pracy nad Bugiem. Łowił ryby, choć był jeszcze zbyt słaby. Jednak były w tej pracy i dobre strony. Dzięki niej nasza rodzina więcej nie głodowała. Tę pracę ojciec wykonywał aż do wyzwolenia.

Skończyła się wojna. Goiły się rany duchowe i cielesne. Po wojnie w naszej rodzinie urodziły się jeszcze dwie dziewczynki. Minęły lata. Rodzice już nie żyją. Każda córka ma swoją rodzinę, dzieci, wnuki. Ale gdy nie mogę spać, myślami wracam do tego niewielkiego, poszarpanego wojną domu w mojej wsi, gdzie żyli moi rodzice, którzy nauczyli nas uczciwie pracować, kochać bliźnich, zawsze wierzyć w lepsze i umieć przebaczać.

Lidia Parafeniuk
Brześć

Kochani Przyjaciele,

Stokrotne dzięki za następny wspaniały kwartalnik zawierający jak zwykle całą masę interesujących materiałów. Bardzo wzruszający był dział „Światło Alaksieja Dubrouskiego". Widać jak wielką stratę ponosi nasz kwartalnik „Echa Polesia", ale ufajmy, że nowe wspaniałe osoby dołączą do pracy. Cieszę się, że coraz więcej jest wieści o pracy drużyn harcerskich i ich zaangażowaniu w życiu polskich organizacji.

Jeszcze raz dziękuję za portrety Ojca Świętego. Jak już poprzednio wspomniałam, część z nich zawiozłam do Polskiej Szkoły w Melbourne. Na ostatnim obozie harcerskim w styczniu rozdaliśmy parę obrazów z podpisem za wyróżnienie w konkursie pn. „Polski Papież Błogosławiony Jan Paweł II". Dzięki za to, trudno sobie wymyślić lepsze nagrody.

Artykuły o Polesiu czyta się zawsze z zapartym tchem – tyle miłości i uczucia wyczuwa się prawie z każdego zdania. Myślę, że wielu ludzi zazdrości mieszkańcom Polesia, że jest to tak piękna kraina, i że jej mieszkańcy w jakimkolwiek wieku i okresie potrafią to docenić. (…).

Serdecznie Was pozdrawia -

Halina Prociuk
Sydney, Australia



DOM

mała stacja przed Wielką Podróżą
Dom – to takie własne miejsce
wszystko jedno
czy to jest pałac
czy chata
– to takie własne miejsce
osłonięte od Wiatrów Świata

x

Do którego słońce
Zagląda własne
W którym czuwa Anioł
Stróż gdy zasnę
w którym kwitną Róże
Świętej Tereski
Dokąd wracają
Ci którzy odeszli

x

To takie miejsce
Gdzie się modli żaba
I łąka na którą
czasem
manna spada

x

I okna
w które
księżyc
wieczorem
zagląda
i gwiazdy
które spadają i
wróżą
To taka mała Stacja
Przed Wielką Podróżą

Wanda Antonina Klott de Heydenfeldt
(1926–2006)



* * *

Autorka wiersza Dom Wanda Klott de Heidenfeldt pochodzi z zasłużonej dla Polski rodziny.

Imiona jej przodków są pięknie wpisane w historię Powstania Listopadowego. W 1831 roku w Mińszczyźnie w powstaniu dźiśnieńskim wzięło udział 9-ciu braci Klottów: Benedykt, Henryk, Ignacy, Jan, Leopold, Michał, Mikołaj, Rudolf i Stanisław, a pięciu z nich zginęło w walce o niepodległość Polski. Po klęsce powstania większość majątków Rosjanie skonfiskowali tej licznej familii, poświęcającej się całkowicie dobru Ojczyzny, pozostawiono im tylko majątek Nawłok. W Nawłoku urodził się Marian Klott de Heidenfeldt (1892-1967), który był za działalność niepodległościową więziony przez Niemców w 1917 r., a później uczestniczył we wrześniu 1939 r. w obronie Warszawy oraz w konspiracji. Po upadku Powstania Warszawskiego był uwięziony przez hitlerowców w obozie, a następnie dwukrotnie (w latach 1950 i 1951) więziony przez Urząd Bezpieczeństwa. W 1920 roku Naczelnik Państwa Józef Piłsudski mianował go na stanowisko Głównego Inspektora Pracy. Podczas długoletniej działalności Państwowej Inspekcji Pracy nie znaleziono postaci, która odcisnęłaby tak znaczące piętno na działalności inspektorów pracy w okresie II Rzeczypospolitej, ale także w czasach nam współczesnych. Marian Klott odznaczony jest Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta, po wojnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Zasługi.

Wanda Kłott urodziła się również w majątku Nawłok w 1926 roku. Początek wojny przerwał jej zajęcia w Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej w Wilnie. Ojciec i matka byli wywiezieni do łagrów. Matka stamtąd już nigdy nie wróciła. Umarła w tundrze. Wanda została żołnierzem Armii Krajowej. Służyła w biurze Informacji i Propagandy – BJP Nowogródek. W 1944 roku zostaje aresztowana i więziona w Wilnie przez NKWD. Po repatriacji pracowała w Polsce w Związku Sybiraków, Związku Łagierników. Zmarła w 2006 roku.

Najpiękniejsze słowa o Domu może wypowiedzieć tylko ten, kto o niego walczył, kto go stracił i kto go znów odbudowywał. Słowami Wandy Klott przemawiają do nas wszyscy Klottowie, którzy budowali swój Dom i swoją Ojczyznę – wolną Polskę.

Teresa Puńko
Brześć

Dziękujemy Narodowi irańskiemu

W dniu 9 lutego 2012 r. w Hotelu Sofitel Victoria w Warszawie odbyło się przyjęcie wydane przez Ambasadora Islamskiej Republiki Iranu w Polsce J.E. Pana Samada Ali Lakizadeha. Okazją do uroczystości była 33. rocznica irańskiej Rewolucji Islamskiej, a także 70. rocznica przyjęcia przez Persję podczas II wojny światowej ponad 116 tys. polskich uchodźców, w tym ok. 20 tys. dzieci. W recepcji wzięli udział m.in. sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr hab. Andrzej Krzysztof Kunert, który wygłosił okolicznościowe przemówienie, p.o. Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski oraz ok. dwudziestu „Isfahańczyków", przedstawicieli środowiska dzieci, które w 1942 r. znalazły schronienie w Iranie z Panem Władysławem Czapskim z Wrocławia na czele. W swoim wystąpieniu Pan Czapski powiedział m.in. „Jestem świadkiem naszej tułaczej drogi w latach 1940–1947. Takich, jak ja dzieci uratowanych w Iranie, jest ponad 20 tysięcy. Chciałbym to potwierdzić w obecności Państwa i moich kolegów i koleżanek. Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności za ocalenie nas przed zagładą".

Warszawa 2012.02.09

Witam Państwa.

Nazywam się Władysław Czapski, urodziłem się w Polsce, w Drohiczynie Poleskim, w drugiej RP w 29 stycznia 1938 r. Chciałem przedstawić fragment mojej historii, którą w dużej mierze dzielę z obecnymi tu koleżankami i kolegami.

We wrześniu 1939 r., gdy byłem niespełna dwuletnim chłopcem, Polska została zaatakowana przez swoich sąsiadów, którzy podzielili się terytorium mojej Ojczyzny dzieląc ją na pół pomiędzy siebie. W 1940 r. Sowieci zabrali Ojca z domu i wtrącili do więzienia, a Matkę z dwojgiem małych dzieci (siostra i ja) deportowali na „Sybir". Najeźdźcy ustanowili granicę dzielącą ich strefy wpływu na rzece Bug - granica ta wciąż istnieje, oddzielając moje rodzinne strony od Polski w obecnych granicach.

Wracając do lat wojennych. W dniu 30.07.1941 r. Rząd Polski w Londynie podpisał umowę z ZSSR, która stanowiła punkt zwrotny w naszych losach. Postanowienia umowy dały szansę na wolność dla takich jak ja i moja rodzina, na wydostanie się z Sowieckiej Rosji. Wiadomość o niespodziewanej wolności jaką wtedy uzyskali Polscy zesłańcy dodała im siły i determinacji by wydostać sie z tej „Nieludzkiej Ziemi". Był to w zasadzie w ostatni moment na uratowanie zesłańców, w wielu przypadkach byli to ludzie w stanie skrajnego wyniszczenia życiem obozowym, nędzą egzystencji, chorobami, beznadzieją życia wypędzonych z własnych domów, z Ojczyzny.

Zapis międzynarodowej umowy mówił: Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 roku, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce, utraciły swą moc.

W 1942 r. wobec trudności ZSSR w zaopatrzeniu w dostawy żywności oraz uzbrojenia, Alianci postanowili ewakuować nas z ZSSR do Iranu. Iran nigdy nie stawiał żadnych warunków przyjmując nas w 1942 roku. Pragnę to bardzo wyraźnie podkreślić.

Iran przyjął 116.131 polskich obywateli, w tym około 20.000 dzieci. Z Iranu polskie dzieci ulokowano sukcesywnie w Indiach (około 5000 polskich dzieci), w Nowej Zelandii (732 dzieci), w koloniach angielskich w Afryce (około 10 000 dzieci), w Meksyku (około 1400 dzieci) oraz Palestynie (około 871 dzieci) nazywając je do dziś dnia: „Teherańskie dzieci". Ja wraz z siostrą znaleźliśmy opiekę w gościnnym Libanie wraz z około 3500 dziećmi.

Członkowie mojej rodziny uwolnieni z więzień radzieckich, nie mając z sobą żadnego kontaktu w czasie zsyłki, spotkali się ponownie na gościnnej ziemi Iranu w 1942 roku. Mogliśmy uściskać się również z siostrą mojej matki: Marią Cwalino oraz jej trojgiem dzieci.

Mąż Marii – Mieczysław Cwalino wyprowadzony z domu przez „sąsiada" w 1939 roku do dziś jest poszukiwany przez nas. Dotąd nie odnaleźliśmy żadnego śladu, który pomógłby nam odtworzyć jego losy. Jak możemy się przekonać, historie wywózek w głąb Sowieckiej Rosji w czasie II wojny światowej wciąż pozostają niewyjaśnione. Matka moja, Janina Czapska, w 1942 roku umarła w Teheranie i jest pochowana na polskim cmentarzu (Dulab), grób nr. 1098. Ja (4 lata) z siostrą (6 lat) Wandą zostaliśmy umieszczeni w Isfahanie, zakład nr 8, gdzie przebywaliśmy do 1945 roku pod polską administracją.

Pomoc Iranu w 1942 r. była całkowicie bezinteresowna, kraj ten nie czerpał żadnych korzyści z wojennego dramatu Polski, jak to, niestety, uczynili Alianci składając powojenne losy naszego narodu na ręce Stalina. Podpisy pieczętujące granicę na Bugu, złożyli na początku Ribbentrop i Stalin, następnie uwiarygodnili je Churchill i Roosevelt. Niech to stanie się przestrogą: w polityce nie ma sentymentów... Dziś, w 70. rocznicę ewakuacji z Rosji Sowieckiej, pragnę podziękować Narodowi irańskiemu za pomoc udzieloną nam, Polakom w czasach, gdy na mapie świata chciano nas wymazać. Szlachetność, niesamowita otwartość i ludzka dobroć, jakiej doświadczyliśmy w tamtych wojennych czasach ze strony Iranu, zawsze pozostanie w naszej pamięci. Pielęgnuję te ciepłe wspomnienia i gdziekolwiek jestem, daję świadectwo historii w jakiej miałem udział. Cieszę się, że mino upływu lat pamięć o wspaniałej postawie Iranu wobec mnie i moich rodaków jest wciąż żywa.

Władysław Czapski

Studium przypadku

Historia polskiej rodziny zesłanej do Kazachstanu we wrześniu 1936 r.

Rodzina

Moi rodzice Bronisław i Maria Rakowscy zawarli ślub w 1922 roku. W 1923 roku urodził się mój starszy brat Tadeusz, a następnie 24 listopada 1925 roku urodziłam się ja. Miałam również młodsze rodzeństwo, siostrę Helenę (ur. 1927 roku) i brata Stanisława (ur. 1929 roku). Mieszkaliśmy w Gródku Podolskim na Ukrainie w domu babci i dziadka oraz rodziny stryja Józefa Rakowskiego (żona stryja – Maria Rakowska oraz jego dzieci – Bronisława, Janina, Wacław i Antoni). Wszyscy razem ciężko pracowali, we własnym gospodarstwie, mieliśmy konie, krowy, pasiekę. Prowadziliśmy sklep, a rodzina stryja Józefa posiadała własny młyn. Mój starszy brat Tadeusz zmarł w 1926 roku na krztusiec (pochowany na cmentarzu w Gródku Podolskim).



Moje dzieciństwo trwało do roku 1930, do akcji „rozkułaczania", czyli odbierania zamożnym rodzinom majątków. Celem władzy radzieckiej było przyłączenie każdego gospodarstwa w ramach tak zwanej kolektywizacji do kołchozu. Rodzina moja nie zgodziła się na takie warunki, wskutek czego zabrano nam wszystko i zostaliśmy bez środków do życia oraz żywności zesłani na Syberię. W roku 1930 miałam zaledwie pięć lat, nie pamiętam samej podróży. Jedynie to, że dotarliśmy do miejsca zsyłki i zamieszkaliśmy w barakach łagrowych niedaleko Kańska.

W tym samym czasie rodzina stryja została wywieziona w okolice Oleksińca (Ukraina), gdzie zamieszkiwała przez trzy lata. Przez osiem cieplejszych miesięcy moi krewni mieszkali we własnoręcznie wybudowanym szałasie, w którym cała rodzina mogła schronić się jedynie od deszczu i wiatru. Natomiast w okresie zimowym, czyli przez cztery miesięce, mieli możliwość zamieszkania w udostępnionym przez obcych ludzi malutkim pokoiku w Oleksińcu. Mój stryj również został wywieziony na Syberię, ale bez rodziny i na krótko. W tym okresie żona stryja wraz z dziećmi uczestniczyła w pracach kołchozu, pracując na polu buraczanym. Do pracy dzieci zabierały ze sobą garnuszki i łyżki, ponieważ na pole przywożono posiłki dla pracowników i w ten sposób miały możliwość zjedzenia jednego gorącego posiłku.

Syberia

W Kańsku tata pracując przy wyrębie lasu naderwał sobie zdrowie. Warunki pracy, do których był zmuszony, były nie do zniesienia. W zimie temperatura powietrza na Syberii dochodziła do -50 C°, -60 C°. Nie pamiętam, jak długo mieszkaliśmy w barakach. Wiem tylko, że pewnego dnia na tereny baraków łagrowych przyjechał kierownik fabryki m. Kańsk w celu poszukiwania specjalistów do swojego zakładu. W ten sposób znaleźliśmy się na „wolnym posieleniu". Rodzice wynajęli mieszkanie u Tatarów w dwupokojowym domku. Moja rodzina zajmowała jeden pokój, a w drugim zamieszkiwała rodzina właścicieli. Tata pracował w fabryce. Za zaoszczędzone pieniądze mogliśmy kupić maszynę do szycia. Dzięki temu mama mogła dorabiać – szyć odzież na zamówienie. Wydawało się, że nasza sytuacja rodzinna nieco się polepszyła, lecz w roku 1932 umarł mój drugi brat Stanisław. Rodzice bardzo przeżyli tę śmierć, w szczególności ojciec. Bolało go, że syn jego został pochowany „w lodzie". Wkrótce rozchorował się i tata, przez co został zwolniony z pracy.

Pewnego dnia tata zapytał mamę: „Ile mamy pieniędzy"? Mama nieco się zdziwiła, bo przecież żyli ze sobą 11 lat, a on nigdy nie zadawał takich pytań. Ojciec zaś powiedział stanowczo: „Sprzedamy wszystko i pojedziemy do domu, do Gródka Podolskiego". Mama była przestraszona, tłumaczyła, że to niemożliwe, że inne rodziny też próbowały powrócić na Ukrainę, lecz łapano je i umieszczano w łagrach. Ojciec jednak nie odpuszczał, powiedział, że będziemy jechali z przesiadkami, kupując bilety na stacjach. I tak się stało. Wkrótce rodzice kupili paszporty na targu. W tych czasach paszporty były bez zdjęć, należało jedynie dopasować paszport do wieku przyszłego właściciela. Oczywiście, dokumenty były na inne imiona i nazwiska. Mama przygotowując się do podróży, nasuszyła cały worek sucharków. Ruszyliśmy w podróż. Na stacjach bilety kupowała mama, ponieważ ojciec był chory i już nie mógł nawet stać w kolejce. Tym sposobem dojechaliśmy do stacji Wiktoria, oddalonej o trzy kilometry od Gródka Podolskiego. Rodzice wynajęli furmankę i pojechaliśmy pokazać się do stryja i dziadków ze strony ojca, do Oleksińca. Ojciec oznaj-

mił: „Przyjechałem, przywiozłem ze sobą rodzinę, aby w razie śmierci mogliśmy być pochowani na ziemi ojczystej, a nie w lodzie, jak mój synek Stanisław. Po tym spotkaniu wyruszyliśmy tą samą furmanką do Gródka. Po przyjeździe okazało się, że w naszym domu rodzinnym mieszczą się żłobek i przedszkole, więc zamieszkaliśmy u dziadków, rodziców mojej mamy, wraz z szóstką ich dzieci.

Śmierć taty

Z dnia na dzień stan zdrowia ojca pogarszał się. Mama mówiła, że ojciec widocznie przeczuwał własną śmierć jeszcze na Syberii, właśnie dlatego odważył się na tak daleką i niebezpieczną podróż. Może miał jakiś sen albo widzenie? Teraz jedynie Pan Bóg o tym wie. Po dwóch tygodniach od przyjazdu na Ukrainę ojciec zmarł. Jest pochowany na tym samym cmentarzu, co mój młodszy brat Tadeusz. Przed samą śmiercią mama siedziała przy łóżku ojca. Umierający tata wyciągnął do niej rękę i powiedział: „Marysiu, jesteś młoda i ładna, możesz wyjść za mąż, ale zawsze pamiętaj o naszych dziewczynkach, żeby twój przyszły wybranek ich nie krzywdził". Po tych słowach ojciec zmarł, mama zamknęła mu oczy i przyszła do nas. My z siostrą siedziałyśmy przy sucharkach przywiezionych z Syberii. Na ten widok mama wybuchła płaczem. Pamiętam, że każdego dnia wieczorem po ułożeniu nas spać mama chodziła na cmentarz, żeby się wypłakać przy grobie ojca.

W roku 1933 moja mama miała 32 lata, mnie ośmioletnią i moją młodszą sześcioletnią siostrę Helenę. Jak na swoje krótkie życie sporo przeżyła: pochowała dwóch synów i męża. Po śmierci ojca zostałyśmy z niczym, nie miałyśmy domu, ani co jeść. Mama zdecydowała się przenieść do swojej przyjaciółki Cecylii Siwiec, której mąż został zamordowany podczas akcji „waluta". W pokoiku udostępnionym przez przyjaciółkę mamy znajdował się stół i piec, na którym spałyśmy we trzy. Rok 1933 był rokiem „wielkiego głodu" na Ukrainie. Ludzie „puchli" z głodu, umierając padali jak muchy. Moją rodzinę to również dotknęło, zmarł ojciec mojej mamy, a następnie w roku 1934 dziadkowie - rodzice taty.

Akcja „Waluta"

Wracając do akcji „waluta", wspomnę, że przed tą akcją dziadziuś podzielił na pół wszystkie złote monety, które miał i schował w dwóch wazonach na kwiaty. Jedna część była dziadka, a druga babci. Pewnego dnia funkcjonariusze NKWD przyszli po dziadka i zabrali go na komendę. Funkcjonariusze stosowali tortury, robili wszystko, aby dziadek oddał im pieniądze. Dziadek tłumaczył, że wychował dziewięcioro dzieci i wybudował dom, nie ma zaoszczędzonych pieniędzy, tym bardziej waluty. W końcu dziadek nie wytrzymał przemocy fizycznej i powiedział, że odda wszystko, co ma. W domu została więc tylko jedna część pieniędzy. Lecz następnego dnia ludzie z NKWD przyszli po babcię, która bez wahania oddała im drugą część monet.

Bardzo często, nawet w godzinach nocnych, mama była wzywana na komendę. "Doprosy" dotyczyły ucieczki z Syberii. Mama się bała, żeby nikt nas nie rozłączył i zawsze zabierała nas ze sobą. Na komendzie NKWD płakałyśmy, krzyczałyśmy, aby nas nie rozdzielano. Bałyśmy się z siostrą, że będą mamę bić. Krzycząc i płacząc nie pozwalałyśmy, aby funkcjonariusze NKWD przesłuchiwali mamę bez nas. Mama pracowała w spiżarni, łatała worki. Później sprzątała budynki należące do kołchozu. Miała nadzieję, że dostanie jakieś mieszkanie i nie będziemy musiały przebywać u jej koleżanki. Ale nadal byłyśmy zmuszone koczować po znajomych. Od roku 1934 do roku 1936 mieszkałyśmy u przyjaciół rodziny – Swieżaków. Tutaj miałyśmy do dyspozycji większy pokój.

W latach 1930–1933 trwała budowa Kanału Białomorskiego. W roku 1934 na listach osób wysyłanych na tę budowę znaleźli się moi krewni, babcia i jej synowie (Józef, Władysław, Antoni i Bronisław). Babcia była poważnie chora, lecz nikt jej nie chciał wierzyć. Jednak decyzją miejscowego lekarza babcia i jej młodszy syn, mój wujek Bronisław (lat 12), zostali w Gródku, natomiast trzech jej synów wysłano na Biełmorkanał do Karelo-Fińskiej ASRR. Dwa dni po wyjeździe wujków babcię wyrzucono z domu. W ten sposób babcia i jej syn zamieszkali razem z nami. Na co dzień w poszukiwaniu suchych gałęzi i liści, aby móc rozpalić piec, chodziliśmy do lasu. Znajomi i przyjaciele współczuli nam i pomagali. Kopyciakowie, znajomi moich rodziców zamieszkali w Skale, trzy kilometry od Gródka, wydzielili nam malutki kawałek ziemi. Od tego czasu cieszyliśmy się z własnych ziemniaków i innych jarzyn.

Po powrocie z Syberii moja rodzina była zaliczana do biedniaków, natomiast osoby należące do warstwy średniaków miały prawo do posiadania gospodarstwa, lecz płaciły dość wysokie podatki. W roku 1935 doszło do kolejnych przesiedleń Polaków, tym razem do Donbasu. W opuszczonych przez Polaków domach umieszczano ludność ukraińską z okolicznych wiosek. W ten sposób po sąsiedzku z nami zamieszkała rodzina Kaczmaruków. Nowi znajomi mojej mamy mieli dwie córeczki, w moim wieku i wieku mojej siostry Helenki. Zaprzyjaźniłyśmy się z nimi. Razem biegałyśmy po podwórku, chodziłyśmy do kina. Dostawałyśmy od nich odzież i obuwie. Matka Boska przez znajomych mojej mamy czuwała nad nami, dzięki czemu miałyśmy jedzenie i ubrania. W naszym miasteczku było trzy szko-

ły: żydowska, polska i ukraińska. W Gródku zdążyłam ukończyć trzy klasy polskiej szkoły podstawowej, Helenka tylko jedną.

Rok 1936. Kazachstan

Naszego nazwiska miało nie być na listach ludności deportowanej do Kazachstanu, przecież nie byliśmy średniakami. Stało się inaczej. W tych czasach rozpowszechnionym zjawiskiem było łapówkarstwo. Ludzie na różne sposoby próbowali bronić własnych domów i gospodarstwa aby uniknąć deportacji. Oddawali swoje „majątki", a władza skreślała te osoby z listy. 2 września 1936 roku na miejsce jednej z takich skreślonych z listy rodzin wpisano nas - pięć osób. Powiedziano nam, że możemy zabrać wszystko, co mamy. A mieliśmy futro taty, cztery worki ziemniaków i sucharki. Dnia zsyłki nie pamiętam, prawdopodobnie to było już na początku września. Przywieziono nas do stacji Wiktoria. Czekając na pociąg, przez dłuższy czas płakałyśmy siedząc na bagażach. Sąsiedzi z Gródka przywieźli nam gorący posiłek. Już przed odjazdem zaśpiewaliśmy pieśń Serdeczna Matko opiekunko ludzi. W tak ciężkich czasach ludzie potrafili być dobrzy dla innych, choć żyło się w strachu, nie wiedząc co przyniesie następny dzień.

Nie znając miejsca zsyłki wyruszyliśmy pociągiem towarowym. Wraz z ludźmi jechało bydło. Na przystankach można było wysiąść z pociągu, by stojąc w długiej kolejce, nabrać wrzątku. Pewnego dnia mama, udając się po wrzątek, nie zdążyła na pociąg. Jadąc dalej płakałyśmy z siostrą, lecz na następnej stacji mama do nas dołączyła. Okazało się, że nasz pociąg nie był jedynym wiozącym przesiedleńców. Po 14 dniach podróży dojechaliśmy do stacji Akmolińsk – obecnej stolicy Kazachstanu Astany. Na tej stacji długo czekaliśmy na wozy z wołami. Dalej dzieci i osoby starsze jechały na wozach, natomiast osoby młode szły pieszo 120 km do 13 toczki (13 punkt, miejscowości nie miały nazw, określano je liczbami). 24 września dotarliśmy do miejscowości docelowej. Czekał na nas dom, jeżeli można tak nazwać ziemiankę z samanów, czyli lepiankę bez fundamentu wykonaną z ziemi i słomy z mnóstwem dziur. We wrześniu w Kazachstanie było już zimno, więc ocieplaliśmy to mieszkanie, łatając dziury. Ziemianki przygotowane dla nas budowali Polacy przesiedleni z Wołynia[1] w maju 1936 roku. Byliśmy więc w lepszej sytuacji, gdyż osoby deportowane w maju po przyjeździe do Kazachstanu zamiast domów zastawali jedynie kołek z kawałkiem materiału z liczbą 13 i deski. Dopóki nie wybudowali ziemianek, mieszkali pod gołym niebem. Ziemianek było mało, z tego powodu w jednej ziemiance mieszkało po kilka rodzin w zależności od liczby członków rodzin. Zazwyczaj każdy domek był przedzielony ścianą na dwie części, czyli był przeznaczony dla dwóch rodzin. Moja rodzina zajmowała domek wraz z inną sześcioosobową rodziną.

Kiedy przyszły mrozy i temperatura powietrza wynosiła -40, -50 zmagaliśmy się nie tylko z zimnem, lecz także z opadami śniegu. Opady były tak intensywne, że spod śniegu nie było widać domów, jedynie kominy wystawały spod śnieżnej pierzyny. Po raz kolejny mogłam spotkać się z życzliwością i współczuciem ludzi, którzy sami proponowali pomoc przy odśnieżaniu domów. W tym czasie nie było nawet zapałek, co stanowiło problem przy rozpalaniu pieca. Rano, wychodząc z domu, ludzie oglądali kominy sąsiadów i poszukiwali ognia. Ogień wydobywano przy pomocy kamienia, krzemienia, a także waty. Nie było także mydła. Ale ludność miała pomysły. Łącząc masło krowie z sodą kaustyczną uzyskiwano je, aby było czym się umyć i uprać odzież.

Aby nas wyżywić, mama chodziła do sąsiedniej wsi, odległej o trzy kilometry, gdzie zamieszkiwali Kazachowie. Sprzątała domy, szyła odzież. W podziękowaniu za wykonane prace Kazachowie dawali jej pszenicę i pyszki (rodzaj pieczywa). Jak wspominałam wcześniej, z Ukrainy przywieźliśmy futro, które zostało po moim ojcu. A więc często pytałyśmy mamę, dlaczego trzyma je w szafie. Mama odpowiadała, że na czarną godzinę. Czarna godzina nastała przez świętami Bożego Narodzenia 1936 roku. Ceną za futro był pud pszenicy, który miał nam starczyć na miesiąc.

Życie na obczyźnie

Mama rozpoczęła pracę u krawcowej Antoniny Zagórskiej, która tak jak my pochodziła z Gródka Podolskiego. Od tej pory cieszyliśmy się z kupionych od Kazachów chleba i ryb. A nazwę naszej miejscowości zmieniono na Łozowoje.

Dzieci chodziły do szkoły, na początku były to cztery klasy szkoły podstawowej, później *siemiletka* (siedem klas), oczywiście z rosyjskim językiem nauczania. Mnie natomiast ze względu na wiek nie objął siedmioletni system nauczania w mojej miejscowości, chodziłam więc do szkoły znajdującej się 6 km od mojej wioski, do Pierwomajki. Tam ukończyłam dziewiątą klasę szkoły podstawowej. Nie miałam możliwości kontynuowania nauki, ponieważ najbliższa szkoła, gdzie była dziesiąta klasa, znajdowała się w Astrachance (centrum rejonowe) 35 km od Łozowoje.

W roku 1937 do mieszkańców mojej wioski dołączono Niemców (z Powołża). Pracowaliśmy wszyscy razem. Mieliśmy ludzi różnych specjalności: kierow-

[1] Tak to określiła Krystyna Rakowska. Wołyń w latach 1919 – 1939 należał do Polski, więc zdaniem autorki rozprawy musieli to być przesiedleńcy z innych regionów.

nika kołchozu, lekarza, księgowego, budowlańców, młynarzy. Osoby, które nie chciały pracować na rzecz kołchozu, w dziwny sposób znikały. W nocy „chapuny" i zabierały te osoby. Do dnia dzisiejszego o ich losach nic nie wiadomo.

Byliśmy głodni i goli, lecz mogliśmy otrzymać wykształcenie i żyć z osobami z Gródka, z rodakami. 22 czerwca Niemcy zaatakowali Kijów[2]. Do nas natomiast dotarło hasło „wszystko na front". Przesiedleńcy, tacy jak my, nie trafiali na wojnę, byli zmuszeni do prac w kopalni. Ja byłam uczennicą, chodziłam do szkoły, więc po okazaniu odpowiedniego dokumentu byłam zwolniona z prac w kopalni. Podczas wojny wysyłaliśmy na front paczki ze skarpetami i rękawicami (dwupalcówki, dopasowane do strzelania z broni), zrobionymi na drutach. Robiliśmy także papierosy, skręty z liści tytoniu. Liście były najpierw cięte, następnie tłoczone w młynku nożnym. Własnoręcznie robione papierosy były pakowane wraz z innymi rzeczami w paczki i wysyłane na front. Do paczki dołączano kartkę z nazwiskiem osoby wysyłającej paczkę. Nieraz, w podziękowaniu za rzeczy podstawowe, dostawaliśmy listy od żołnierzy.

W roku 1946, tuż po wojnie, wyszłam za mąż za Mariana Murawskiego, Polaka z pochodzenia. Rodzina mojego męża została deportowana w 1936 r. z Tynny w obwodzie Kamieniec Podolski do punktu 14 (późniejsza nazwa miejscowości - Przyiszymka). W czasie wojny Marian walczył, niestety nigdy o tym nie opowiadał. Wiem tylko, że na początku wojny jako osoba deportowana pracował w kopalni węgla w Karagandzie. Po wojnie mieliśmy pieniądze, wydawało się, że możemy kupić wszystko, lecz w sklepach był tyko ocet. Żeby kupić rzeczy podstawowe, należało stać w kolejce albo zamawiać i czekać. Przez 38 lat pracowałam jako nauczycielka w szkole. Urodziłam trzech synów i córkę. Stanisław urodził się w 1947 r., Władysław w 1955 r., a bliźnięta Witalij i Ludmiła w 1960 r.

---

[2] Bitwa o Kijów trwała od 23 sierpnia do 26 września 1941 r.W radzieckiej historii wojskowości operacja ta znana jest jako „obronna operacja kijowska" (Киевскаяоборонительнаяоперация). Podane są w niej inne daty: 7 lipca – 26 września 1941 r.Data 22 czerwca 1941roku pochodzi z pierwszej zwrotki piosenki ludowej „*Двадцатьвторогоиюняровно в четыречаса*" („22 czerwca, dokładnie o czwartej rano"), która brzmi następująco:
„*Двадцатьвторогоиюня,*
Ровновчетыречаса,
Киевбомбили, намобъявили,
Чтоначаласявойна".
„22 czerwca, dokładnie o 4. 00 rano
Kijów został zaatakowany
Ogłoszono, że wybuchła wojna".
Jak widać, tekst piosenki utkwił w pamięci starszego pokolenia. Z biegiem czasu, pomimo tak poważnego błędu w tekście, piosenka ta stała się symbolem II wojny światowej.

Stąpać po ziemi ojczystej

Tuż przed rozpadem ZSRR otrzymaliśmy możliwość zorganizowania własnej wspólnoty Polaków. Do naszego miasta rząd polski zaczął wysyłać nauczycieli. Od tej pory mogliśmy bez obaw chodzić do kościoła, czytać, rozmawiać i pisać w języku ojczystym. W roku 1992 prezes stowarzyszenia „Polonia" dostał od ks. Żurawskiego zaproszenia do Polski dla ośmiu osób na obchody Wszystkich Świętych. Dzięki temu mogłam po raz pierwszy, od momentu deportacji mojej rodziny do Kazachstanu, stąpać po ziemi ojczystej. Ponadto być na Jasnej Górze w Częstochowie. Byliśmy rozmieszczeni u rodzin z parafii ks. Żurawskiego. Święta spędziłam niedaleko Kobylej Góry w Mostkach u Stanisława i Zofii. Codziennie jeździliśmy na wieczorne nabożeństwo. Mieliśmy zaszczyt spotkać się z osobami z Urzędu Gminy, ze studentami i dziennikarzami. W trakcie pobytu w klasztorze jasnogórskim dostaliśmy od ks. Żurawskiego modlitewniki.

Rodzina, u której mieszkałam, wysłała do mojej kuzynki Janiny Siwiec pilny telegram z informacją, że jestem w Polsce. Kuzynka wraz z siostrzeńcem Przemysławem Borgoszem od razu przyjechali do mnie. Wraz z rodziną byliśmy na obiedzie z udziałem burmistrza Ostrzeszowa oraz na spotkaniu ze studentami. Następnie kuzynka zabrała mnie na kilka dni do swojego miasteczka – Świdnicy. Było to spotkanie z rodziną po 56 latach rozłąki. 1 listopada byliśmy na nabożeństwie w Marcinowicach w kościele św. Wacława. Następnie udaliśmy się na cmentarz, gdzie byliśmy na grobach: Edwarda Siwca, Feliksa Troszczyńskiego, Józefa i Marii Rakowskich oraz mojego siostrzeńca Wacława Rakowskiego.

W roku 1995 miałam kolejną możliwość wyjazdu do Polski. Uczestniczyłam w pielgrzymce 75 Polaków z Kazachstanu. W tym celu rząd Polski udostępnił samolot Tu 154. Lądowaliśmy w Krakowie, gdzie mieszkaliśmy przez trzy dni w internacie szkolnym. W Krakowie zwiedziliśmy Wawel, uczestniczyliśmy w Mszy św. w Kościele Mariackim, odprawianej przez ówczesnego arcybiskupa Archidiecezji Krakowskiej ks. F. A. Macharskiego (obecnie seniora tej archidiecezji). Po nabożeństwie byliśmy zaproszeni przez kapłanów na kawę do plebanii. W trakcie poczęstunku wręczono nam upominki. 21 grudnia organizatorzy pielgrzymki zaprosili nas na kolację wigilijną. Na stole było 12 tradycyjnych, świątecznych potraw. Przygotowano również koncert. Mogliśmy wszyscy razem zaśpiewać kolędy. Tuż po kolacji podzielono pielgrzymów na trzy grupy. Pierwsza pojechała do Warszawy, druga została w Krakowie, ja natomiast znalazłam się w trzeciej 25-osobowej grupie i pojechałam do Częstochowy. Na-

stępnego dnia czekało na nas przyjęcie przygotowane przez pracowników banku (nazwy nie pamiętam). Po świętach Bożego Narodzenia odwieziono nas autokarami do Warszawy. W stolicy zwiedziliśmy Zamek Królewski. Jednak dla mnie najważniejszą częścią wizyty w Warszawie było spotkanie z prymasem Polski Józefem Glempem. Mieliśmy zaszczyt podzielić się opłatkiem z Prymasem. Podczas tej jednej z najważniejszych rozmów w moim życiu prosiłam Prymasa o środki finansowe na budowę kościoła rzymskokatolickiego w Astanie. Moja prośba została spełniona. Po kolacji we francuskiej restauracji wylecieliśmy do Kazachstanu.

Mój trzeci pobyt w Polsce był związany z Kongresem Eucharystycznym, jaki miał miejsce we Wrocławiu w 1997 roku. Podobnie jak w 1995 roku, było nas 75 osób (tylko 7 osób z Astany), wystartowaliśmy ze stolicy Kazachstanu samolotem prezydenckim Tu 154M. Kongres odbywał się w Hali Ludowej, a w siódmym dniu jego trwania zobaczyłam po raz pierwszy na żywo Jana Pawła II. Następnego dnia uczestniczyłam w nabożeństwie sprawowanej przez Papieża na stadionie wrocławskim. Jan Paweł II powitał pielgrzymów z całego świata, również nas. Zaznaczył, iż wkrótce się zobaczymy, gdyż planuje wizytę do Kazachstanu (22–25 września 2001).

Mieszkałam wraz z Leną Bałobiną z Astany u państwa Ejsmundów (Irmina i Mieczysław). Któregoś dnia pojechaliśmy do Świdnicy. Odwiedziłam dwie moje kuzynki Janinę i Bronisławę. Od państwa Ejsmundów otrzymałam mnóstwo prezentów dla mnie i mojej rodziny.

Marcinowice

Sobota. 5 sierpnia 2000 roku. Wraz z synem, synową oraz wnuczkami Leną i Wiktorią, dotarliśmy drogą kolejową do Polski, przekraczając granice jako repatrianci. W Warszawie czekał na nas bus udostępniony przez Gminę Marcinowice. Po sześciu godzinach podróży dotarliśmy do nowego miejsca zamieszkania. Marcinowice, malutka miejscowość położona osiem kilometrów od Świdnicy, stały się naszym nowym domem. Od gminy dostaliśmy dwupokojowe mieszkanie na drugim piętrze w kamienicy. Na parterze budynku znajdowała się policja. Wcześniej to mieszkanie należało do mojej kuzynki Bronisławy Troszczyńskiej. Po jej śmierci lokal stał się własnością gminy. Przygotowując się do naszego przyjazdu gmina zrobiła w mieszkaniu remont. Zostały wymienione okna, wanna, umywalka, a ściany zostały pomalowane. Na naszą prośbę pracownicy urzędu gminy wykonali ogrzewanie, położyli wykładzinę w jednym pokoju, a także zainstalowali elektryczną kuchenkę. Dostaliśmy nawet pościel. Oprócz dwóch pokojów mieszkanie zawierało trzy komórki, z których dwie, mój syn Władysław przerobił na sypialnię i pokój dla mnie. Gmina wydzieliła nam także po pięć arów ziemi.

Jak wspomniałam, dotarliśmy do Marcinowic busem. Na miejscu czekali na nas z ogromnym bukietem kwiatów przedstawiciele Gminy Marcinowice – Zygmunt Drozd i Zofia Szmidt. Z rodziny byli kuzynka Janina z mężem Edwardem, siostrzeniec Andrzej z żoną Bogusią i córką Olą. Nasi nowi sąsiedzi Alicja i Bolesław Ruszczakowie czekali nas z blachą ciasta i ogromnym słojem małosolnych ogórków. W niedzielę, 6 czerwca, państwo Ruszczakowie zaprosili nas na obiad. Po tym obiedzie bardzo zaprzyjaźniłam się z sąsiadami, Alicja i Bolesław stali się dla mnie rodziną.

Przez trzy lata od momentu mojego uczestnictwa w Kongresie Eucharystycznym, korespondowałam z rodziną Ejsmundów. Po dotarciu do Marcinowic napisałam list do nich, z informacją o zmianach w moim życiu. Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi, ku mojemu zdziwieniu byli to p. Irminka i p. Mieczysław. Niespodziewani goście przywieźli ze sobą produkty spożywcze, których starczyło nam na cały miesiąc. Pani Irminka zwróciła uwagę, że nie mamy mebli. Przy następnej wizycie dostaliśmy w prezencie od nich dwie kanapy, fotele i meble kuchennie. W trzecim dniu naszego pobytu w Marcinowicach kierownik urzędu opieki społecznej p. Zygmunt przywiózł worek ziemniaków i pół worka mąki z własnych zapasów. Zygmunt pomagał nam również przy różnego rodzaju formalnościach. Wielokrotnie zawoził nas do urzędu miasta Świdnica. Jestem bardzo wdzięczna wszystkim tym, którzy w tak przełomowym dla nas momencie życiowym nieśli nam pomoc zarówno słowem, jak i materialną. Moi krewni mieszkający w Polsce pomagali także moim wnuczkom, które jeszcze przed przyjazdem do Marcinowic studiowały w Polsce. W weekendy i święta moje wnuczki mogły gościć u rodzin Borgoszów (Wiesławy i Heleny) i Tobiaszów (Emilii i Władysława). Właśnie do nich kieruję podziękowania i wyrazy szacunku.

11 marca 2008 roku w Krakowie, po trzech miesiącach pobytu w szpitalu, umarł mój syn Władysław. 26 maja 2008 roku w Astanie umarł mój drugi syn Witalij. Niestety, ze względu na wiek i odległość ponad pięciu tysięcy kilometrów, nie mogłam być na pogrzebie.

Po śmierci syna w trudnych sytuacjach pomagają mi pracownicy urzędu opieki społecznej, wśród nich Urszula Wawrowa. Dziękuję jej zarówno za opiekę, jak i dobre słowo. Dziękuję dobrym ludziom w Polsce, którzy przyjęli nas, Sybiraków, dali dach nad głową i nadzieję na lepsze życie dla naszych wnuków.

Krystyna Rakowska

„Dziś we śnie mnie nawiedził anioł polskiej doli”

W №1 kwartalnika „ECHA POLESIA” za 2012 r. został podjęty temat tego, co łączy i co dzieli nas Polaków z różnych powodów rozrzuconych po całym świecie. Czytałam i myślałam o tym, że nie możemy zatrzymywać czasu, że XXI wiek jest bardzo dynamiczny i ludzie często zmieniają miejsca zamieszkania, państwa, kontynenty. Powinniśmy pamiętać o tradycjach i zwyczajach naszych przodków i pielęgnować autentyczne zabytki, ale i rozumieć, że zmieniający się czas zmienia i nas ludzi i że to może jest bardzo dobrze, gdy odczuwasz siebie „obywatelem świata” i wszędzie możesz być jak w domu.

Bardzo ważna jest pamięć o własnych progach, ale ważniejsza wydaje mi się jest miłość i tęsknota za rodzinnym domem i odczucie łączności z całym narodem polskim niezależnie od tego z jakiego powodu jesteś poza krajem.

Jakiś czas temu sąsiad mego stryjecznego brata mieszkającego w Polsce powiedział mi, że mama moja z tego powodu, że nie wyjechała do Polski, nie jest patriotką. Nie rozumiał, że właśnie ona była patriotką swojej ziemi i dlatego jej nie opuściła. By opiekować się rodzinnymi grobami, by być tam, gdzie kochali, cierpieli i umierali nasi przodkowie, być u siebie.

Pamiętam Panią Wiśniewską, która mieszkała w Widzach na Brasławszczyźnie, miała już długie życie za sobą, a zegar w jej domu zawsze pokazywał czas polski – w jej domu czas jak by się zatrzymał. Polska odeszła, nas opuściła… Ale Pani Wiśniewska nie mogła to przyjąć, w duchu i w sercu pozostawała tam, w swojej przeszłości, w czasach swojego dzieciństwa i młodości, w tym, co kochała, co było jej bliskie. Byłam dzieckiem, przypuszczałam, że był zawsze zepsuty i powiedziałam o tym swojej mamie. „Zegar po prostu pokazuje polski czas,” – była mamy odpowiedź. To był początek lat 70-ch, a więc więcej niżeli 30 lat zegar liczył nie tylko czas, on był świadkiem tego, że w jej domu jest nadal Polska.

I jeszcze mogę wymienić jeden rodzaj tęsknoty, to tęsknota tych Polaków, którzy urodzeni są w Polsce, a tęsknią za Kresami.

Czytałam nie tak dawno wspomnienia Pani Heleny Gulbickiej po jej wyjeździe na Brasławszczyznę, na ojcowiznę jej rodziców. Wspominała jak namawiano ją na tę podróż, jak opowiadano o piękności jezior nie gorszych od Mazurskich. O tym jak przyjechała tam i jak po woli ziemia Brasławska zajmowała miejsce w jej sercu. Mały cytat z jej wspomnień:

«Idziemy drogą wśród wysokich starych drzew, po lewej stronie domy, ogródki, po prawej łączka, drzewa, za łączką jezioro Pelika. Cudowny klimat. Ciepło, cicho, a powietrze tak pachnie – unosi się lekki aromatyczny dymek – jest sobota wieczór – ludzie szykują łaźnie do kąpieli. Czuję, że mogłabym tu pozostać na zawsze. Nie chcę wracać do Polski. Tu jest mój ziemski raj.»

I ja rozumiem, że odczuwała siebie Pani Helena wspaniale w tej stronie, skąd pochodzi jej matka wśród miłych i życzliwych ludzi, gdzie wciąż, kiedy witają się sąsiedzi, używają słów Pan i Pani lub „Niech będzie pochwalony”, opiekują się grobami tych, co są daleko. Dzielą się z sąsiadami świeżo upieczonym kołaczem i „świeżonką”, pomagają sobie nawzajem.

Jeszcze chciałabym podzielić się z Państwem moim ulubionym wierszem napisanym przez kobietę, która urodziła się w Polsce, ale często przyjeżdża na Kresy do miejscowości, z której pochodzi jej matka:

Śniły mi się zaścianki

Brzozy bielsze niż zwykle nad zaspami pól,
Wykrzyknik wroni na mroźnym bezruchu
Stękanie starych drzew nastroszonych szronem –
Wszystko jest ciszą…

Tak mi się śniłaś ziemio zostawiona,
W wielkim błękicie i bieli po kres,
Do takiej ciebie wyciągam ramiona
I myśli drżące od łez.

Te dymy, co się nie snują już dawno,
Krzyże przy drogach, których przecież nie ma,
Zakracze czasem dwustuletni gawron
I lekko zadrży coś na skraju cienia

Ta grudka ziemi - ona wciąż pamięta
Ślady stóp, które nie przestały tęsknić.
- Ona na zawsze pozostanie święta
Jest żywą tkanką, co pod śniegiem tętni..

A zresztą, nie tak już ważne jest co nas dzieli, najważniejsze jest to, co nas łączy. I myślę, że z tego powodu zbierają się Kresowiacy i z różnych stron świata, żeby odczuć więź między sobą, rozdzielić miłość do ziemi przekazać ją podrastającej młodzieży. Z tego też powodu nie tak dawno zbierali się moi ulubieni Brasławianie: łączy nas wszystkich miłość do naszych małych ojczyzn, miłość do Polski, tęsknota za Ojczyzną.

A tam, gdzie my jesteśmy, chociaż jeden z nas, tam i jest Polska. Najpiękniej o tym powiedział Jan Lechoń, (zm. 1956 w Nowym Jorku) w „Rozmowie z Aniołem”:

Dziś we śnie mnie nawiedził anioł polskiej doli
I płakał szumiąc w mroku skrzydłami srebrnymi,
Jak gdyby chciał powiedzieć: „Umierasz powoli,
Samotny, tak daleko od rodzinnej ziemi”.
Daleko? Co ty mówisz? Mnie wszystkie zapachy,
Ogrodów i pól naszych co dzień niosą wiatry,
We mnie jest wszystko: mazowieckie piachy,
I jeziora litewskie i Wisła i Tatry.

Teresa Puńko
Brześć

Ocalić od zapomnienia...

Dziadowie i ojcowie obecnych mieszkańców Białkowa żyli na Polesiu w bardzo specyficznych warunkach. Ich rodzinne wsie i porozrzucane wokół nich chutory były nieraz poodgradzane od siebie borami, topielami bagien i wodą, co utrudniało wzajemne kontakty. Takie warunki życia zmuszały mieszkańców Polesia do niemal pełnej samowystarczalności i wytworzenia tym sposobem charakterystycznego poleskiego folkloru. O tej specyfice bytowania Poleszuków pięknie napisał Franciszek Lachocki w swoim wierszu pod tytułem „Rzemieślnik”:

Mają przykład Poleszuki jak ptak gniazdo kleci,
Więc dla siebie też potrafią wiązać z nici sieci.
Baba mężowi wzorzyście koszulę ozdobi,
A on bednarz-samouczek z klepek co zechce zrobi;
Cebry, wiadra i wiaderka, dzieże, miski, fasy
I koszyki z nakrywkami na kółka kiełbasy.
Inni toczą kołowrotki z brzeziny i gruszy,
Drzewo na to przed obróbką parę lat się suszy.
Sami też budują wozy, okna, drzwi i stoły,
Choć tej wiedzy nie wynieśli z rzemieślniczej szkoły.
Lny, a potem z nich koszula, „hładyszki” i miski,
Ławy, stołki, nawet ule, dla dzieci kołyski.

Samowystarczalność, narzucona Poleszukom przez warunki bytowania, miała także bardzo duże znaczenie w zwyczajach kulinarnych, sposobie przechowywania i konserwowania produktów oraz nawykach żywieniowych.

Z zachowanych w pamięci u ludzi z Białkowa przepisów wynika, że poleskie potrawy dnia powszedniego były proste, zdrowe, syte i nie wymagające wielu składników, natomiast świąteczne, jak na warunki wiejskie, niemal wystawne. Na sposób odżywiania się ludzi z poleskich wsi wielki wpływ miały posty kościelne, miejscowe i rodzinne zwyczaje oraz obyczajowa tradycja wiejskiej społeczności.

Żywność pozyskiwano z płodów rolnych, hodowlanych zwierząt i zbieractwa darów natury. Poleszucy przetwarzali je do spożycia przez gotowanie, smażenie, pieczenie i zapiekanie. Smażono potrawy na smalcu, a w czasie postu na oleju z siemienia lnianego lub jarego rzepaku wyciskanego w domu. Mięso zabezpieczano przed zepsuciem przez solenie. Do dalszej kulinarnej obróbki moczono je, a po osuszeniu gotowano, pieczono lub wędzono.

Mięso pieczone jadano głównie na Wielkanoc. Mięsem spożywanym na inny sposób była baranina, na której gotowano kapuśniak.

Charakterystyczny dla Polesia był sposób uboju świń, który jeszcze do tej pory jest stosowany przez niektórych mieszkańców Białkowa. Po uboju zwierzęcia nie oparza się gorącą wodą w celu usunięcia z niego szczeciny, lecz opala się w ogniu ze słomy. Daje to specyficzny smak i kolor, a przypalona skórka staje się istnym przysmakiem.

W żywieniu Poleszuków dużo miejsca zajmowały ryby słodkowodne, takie jak karasie, piskorze, szczupaki i węgorze, które jadało się latem na świeżo, a zimą solone lub suszone, smażąc je na smalcu.

Najczęściej spożywanymi przez Poleszuków warzywami były i do dzisiaj są w Białkowie ogórki, kapusta, marchew, buraki, cebula, czosnek, chrzan



zwany *chrynem*, groch, fasola oraz zioła przyprawowe. Zapasy na zimę robiono z kwaszonych ogórków, kapusty czy buraczków. Ziemniaki zwane *kartoflami* albo *bulbą*, marchew i buraki przechowywano w ziemnych kopcach. Mleko w jadłospisie Poleszuka zajmowało bardzo ważne miejsce. W ciekawy sposób wykorzystywano siarę zwaną *mołoziwem*, czyli mleko dojone w pierwszym okresie po wycieleniu się krowy. Z tego mołoziwa robiono specjalny żółty ser, który suszono na piecu bacząc, aby nie spleśniał, a następnie smażono go na maśle. Poleszucy czerpali także pełnymi garściami dary Matki Natury, których nieprzebrane ilości rosły w lasach i na błotach otaczających wsie. Były to grzyby, czarne jagody, żurawiny, borówki zwane *brusznicą* i rosnący dziko szczaw.

Podstawowymi surowcami do przygotowania posiłków były ziemniaki oraz kasze: jęczmienna, jaglana lub gryczana. Gotowano je na gęsto i zapiekano w chlebowym piecu bez żadnych dodatków lub z dodatkiem mięsa, cebuli czy skwarek. Tak przygotowane potrawy zawsze spożywano z żytnim chlebem. Oto przykłady niektórych przepisów:

Kasza jaglana na mleku – kaszę gotowano na mleku, a na wierzch układano płatki masła.

Kutia – ugotowaną na wodzie jęczmienną kaszę, wymieszaną ze skwarkami i ułożoną w glinianym garnku, zapiekano w chlebowym piecu.

Toukanica albo ***toukienia*** – ugotowane i utłuczone na ciasto ziemniaki mieszano z zarumienioną na smalcu cebulką z drobnymi skwarkami, po czym zapiekano w glinianej misce na złocisty kolor w piecu.

Baba – starte surowe ziemniaki, wymieszane ze skwarkami ze świeżo stopionej słoniny, układano w blasze i zapiekano na złocisty kolor w piecu.

Zacierki lub ***zacirki*** – ugotowane na wodzie kluseczki z pszennej mąki odcedzano (lub nie) i dodawano do nich ciepłego mleka.

Kryszany – do pokrojonych w kosteczkę i ugotowanych w osolonej wodzie ziemniaków dodawano zacierek z mąki i po wspólnym ugotowaniu zalewano mlekiem.

Kiszka „naliwacha” – masą utartych ziemniaków z skwarkami, przygotowaną jak na *babę*, napychano kiszkę z grubego jelita ubitego zwierzęcia i zapiekano w piecu.

Smażony ser – biały ser suszono na *pieczkie* (piecu chlebowym) uważając, żeby nie spleśniał. Kiedy ser już się zbrylił, należało go rozetrzeć, przyprawić do smaku i usmażyć na maśle.

Kapusta gotowana – ugotowaną w osolonej wodzie całą główkę kapusty po odcedzeniu wkładano do chlebowego pieca i zapiekano.

Szynka smażona – przyprawioną szynkę z kością obsmażano na maśle, po czym posypywano świeżo zmielonym pieprzem i pieczono w piecu.

Szynka „kumpiak” – szynkę wieprzową z kością wkładano do solanki. Po wymoczeniu i osuszeniu wędzono, używając do tego najczęściej gałązek jałowca. Tak uwędzoną szynkę spożywano krojąc ją na cienkie plastry.

Sadło „zdzior” – sadło ze świeżo ubitego i opalonego słomą wieprzka nacierano solą i roztartym czosnkiem. Następnie, po zwinięciu w rulon i osznurowaniu, wędzono. Tak przygotowane sadło było doskonałym dodatkiem do kiszonek z kapusty czy buraczków.

Ziemniaki zapiekane z mięsem – do pokrojonych w plasterki i usmażonych na smalcu ziemniaków dodawano gotowane mięso z kury lub inne mięso, po czym zapiekano w chlebowym piecu.

Potrawy zwykle kraszone skwarkami i smalcem, a także zawierające dodatki z mięsa, w okresie postów przybierały radykalnie inny charakter. Na stołach pojawiały się potrawy całkowicie pozbawione mięsa i zwierzęcego tłuszczu. Można było je omaścić jedynie olejem z siemienia lnianego lub jarego rzepaku. Nawet chleb smarowano którymś z tych olei zamiast smalcem, czy masłem. W okresie Wielkiego Postu były jeszcze dodatkowo tak zwane suche dni. W środę, piątek i sobotę nie spożywano nawet mleka i jego przetworów.

W Białkowie zachowały się jeszcze przepisy na popularne postne potrawy:

Fasola z makiem – ugotowana do miękkości fasolę Jaś odstawia się do wystygnięcia. W międzyczasie uciera się mak, miesza z fasolą i przed podaniem na stół skrapia wodą święconą.

Żur na Wigilię – z owsianej mąki robiono zakwas. Później przecierano go przez sito i na tak odcedzonym zakwasie gotowano żur z ziemniakami. Pozostałą na sicie gęstą masą karmiono domowe zwierzęta.

Poleskie kobiety przygotowywały niemal wszystkie posiłki w piecu zwanym *ruską pieczką*, który znajdował się w każdym domu. Gospodyni wypiekała w nim chleb z żytniej mąki, a dla uświetniania różnych świąt i uroczystości *pierohi*, czyli ciasta drożdżowe z mąki pszennej oraz gotowała w nim wszystkie potrawy, zapiekała lub podgrzewała.

Ruska pieczka, poza pieczeniem i gotowaniem, służyła jednocześnie Poleszukom do wielu innych, ważnych celów. *Pieczka* była przeważnie jedynym źródłem ogrzewania chaty, a dzięki przemyślanej budowie miała w sobie dwie spore, wolne przestrzenie do wykorzystania.

Te oba „puste" miejsca miały duże znaczenie gospodarcze. W dolnym, znajdującym się między podłogą i paleniskiem pieca, przechowywano różne sprzęty i trzymano podsuszające się na opał drewno. Zdarzało się też, że w zimne wiosenne dni trzymano tam maleńkie, świeżo wyklute pisklęta domowego drobiu. Druga pusta przestrzeń, znajdująca się między pokryciem paleniska pieca, a pułapem, była niewiele mniejsza od powierzchni zajmowanej w izbie przez całą pieczkę. Służyła ona do suszenia i przechowywania produktów spożywczych, takich jak fasola, groch, kasze, a także często dla nocnego wypoczynku i *wygrzewania kości* zimową porą przez ludzi w podeszłym wieku.

Specyficzne warunki bytowe Poleszuków miały znaczący wpływ na wszystkie dziedziny ich życia. Poleskie ubiory były sporządzane z dostępnych surowców i doskonale zabezpieczały ludzi przed zimowym chłodem i letnimi upałami.

Ubiory codzienne i świąteczne były szyte z samodziałowych tkanin, wytwarzanych z lnu i owczej wełny. Robiono również tkaninę mieszaną, której osnowa była z nici lnianej, a wątek z wełnianej.



Ubiór kobiecy składał się najczęściej z długiej, kryjącej łydki spódnicy i wypuszczonej na nią bluzki. Latem były to spódnice lniane, zimą ciepłe, wełniane. Mężczyźni nosili dość długie, płócienne koszule, zwane *soroczkami*. Były one wypuszczane na spodnie – latem na sztany uszyte z grubego płótna, a zimą na sukienne, z nogawkami, czyli *nohawicami* zwężającymi się ku dołowi. *Soroczki* przepasywano *pojasom*, wzorzystym, długim i wąskim paskiem wykonanym z tkaniny. W chłody na bluzki i *soroczki* nakładano długie i obszerne kapoty, zwane *świtkami*. Szyto je własnoręczne z nieprzemakalnej tkaniny z owczej wełny. W dni zimne i mroźne noszono kożuchy. Od wiosny do jesieni chodziło się zazwyczaj boso, zimą noszono przeważnie łapcie plecione z lipowego łyka, zwane *postołami*. Nakładano je na nogi owinięte do połowy łydki onucami, czyli *honuczkami*. W cieplejszych okresach roku noszono *honuczki* płócienne, a w chlapy i mrozy z nieprzemakalnego sukna. *Postoły* i onuce mocowane były do nóg sznurem.

Ubiory świąteczne też były samodziałowe, ale oryginalnie zdobione, szczególnie kobiece. Koszule szyto z czterech płatów płótna z *pereborami*, czyli utkanego z wzorem z czerwonej nitki. Rękawy, wycinane z prostych kawałków płótna, doszywano bufiasto do przyramków. Następnie koszule zszywano z kołnierzykiem, suto ją marszcząc. Uszytą już koszulę kobiety zdobiły charakterystycznymi dla poleskiej wsi wzorami, wyszywanymi na jej przodzie, przedramionach, mankietach i kołnierzyku. Na koszule kobiety nakładały bogato wyszywane we wzorki serdaczki, zapinane przy pomocy guzików czy haftek lub sznurowane kolorową tasiemką.

Paradne spódnice, zwane *popereczka*, były rodzajem pasiaka. Szyto je z wełnianej, czerwonej tkaniny w poprzeczne pasy o różnych kolorach. Z przodu była gładka, a boki i tył ułożone w fałdy. Letnią porą dziewczęta i młode kobiety chętnie nosiły zamiast *popereczki* jaskrawo kwieciste spódnice z cienkich tkanin, szyte z obfitym marszczeniem wokół paska. Na każdą spódnicę szedł lniany fartuch, zdobiony podobnie jak koszula lub pokryty haftem drobnych kwiatków. Dostojnym nakryciem kobiecej głowy była *nametka*, pas płótna cienkiego niemal jak batyst o długości około dwóch i pół metra, szerokiego na pół metra. Nametka na głowie Poleszuczki wyglądała jak kunsztownie ułożony turban. Innym popularnym



przykryciem kobiecej głowy była wzorzysta chustka szalikówka, zdobiona frędzlami lub bez nich.

Strój świąteczny mężczyzn to *soroczka* zdobiona wzorkami wyszytymi głównie na kołnierzyku – stójce. Noszono ją wypuszczoną na portki świąteczne, zazwyczaj szyte z tkaniny lniano-wełnianej i przepasywano *pojasom*.

Przykryciem głowy Poleszuka była zazwyczaj czapka z niewielkim okrągłym denkiem i małym skórzanym daszkiem, podobna nieco do popularnej niegdyś *maciejówki*.



W upalne lata mężczyźni często nosili kapelusze wyplatane ze słomy, a zimą wyłącznie baranice, czyli głębokie czapy, zrobione z baraniej skóry, podbitej pod podszewką owczą wełną.

Poleszucy w święta i różne uroczystości nosili skórzane obuwie. Kobiety zazwyczaj wysokie do pół łydki sznurowane trzewiki na podwyższonym obcasie, zwane *czerewikami*, a mężczyźni *czoboty* – buty z wysokimi cholewkami.

Maria Dobryniewska
Białków

Prezentacja książki

Czarna Księga Kresów

Wstęp: Prof. Andrzej Nowak
Autorka: Joanna Wieliczka-Szarkowa

Wydawca: Wydawnictwo AA, Kraków 2012 r.

Ze wstępu Prof. hab. Andrzej Nowak

Książka ta spogląda na Kresy z tragicznej perspektywy, w której dominują zbrodnie. To Kresy są tu ofiarą zbrodni. (…) Tych Kresów, które były, już nie ma. Przynajmniej na żadnej współczesnej mapie. Zdaje się, że nadszedł ich kres. Jak to się stało? Jak się ta tragedia dokonała? Czyja to wina? Czyje zaniedbanie? Czy mogło być inaczej? O tym, o czym często nie mają siły mówić wydziedziczeni z tamtej ziemi, mówi ta książka.

„Czarna księga kresów" to niezwykła opowieść o bohaterach, walce, cierpieniu, nadziei, patriotyzmie, umiłowaniu Ojczyzny, aż po najwyższą ofiarę. **Autorka przytacza relacje naocznych świadków zbrodni, pogromów i prześladowań.**

Kresy i ich mieszkańcy przez stulecia byli doświadczani przez tragiczne i dramatyczne wydarzenia. Niniejsza książka opisuje najważniejsze z nich m.in. wojny z Tatarami, konflikty z Rosją, hajdamackie bandy, represje podczas rozbiorów, prześladowania polskich powstańców, polityka wynarodowienia, walka o niepodległość i polskość Kresów, wojna z bolszewikami, represje i prześladowania w okresie międzywojennym, zbrodnie sowieckich komunistów, Wielki Głód, stalinowski i hitlerowski horror w czasie II wojny światowej, tragedia Polaków na Wołyniu, powojenne losy i tułaczka Kresowian, systematyczne niszczenie Polaków i polskości w sowieckich republikach – aż po ostatnie wydarzenia na Litwie, Białorusi i Ukrainie.

Dr Joanna Wieliczka-Szarkowa, historyk, autorka książek: *III Rzesza. Narodziny i zmierzch szaleństwa* (Kraków 2006); *Józef Piłsudski 1867-1935. Ilustrowana biografia* (Kraków 2007); Współautorka książki *W cieniu czerwonej gwiazdy. Zbrodnie sowieckie na Polakach (1917-1956)* (Kraków 2010) oraz serii książek historycznych dla dzieci *Kocham Polskę*.

Wydawnictwo AA, „Czarna Księga Kresów", format: 140x200, s. 384, oprawa miękka, cena detaliczna 39,90 zł. Książka dostępna w dobrych księgarniach, oraz na www.religijna.pl

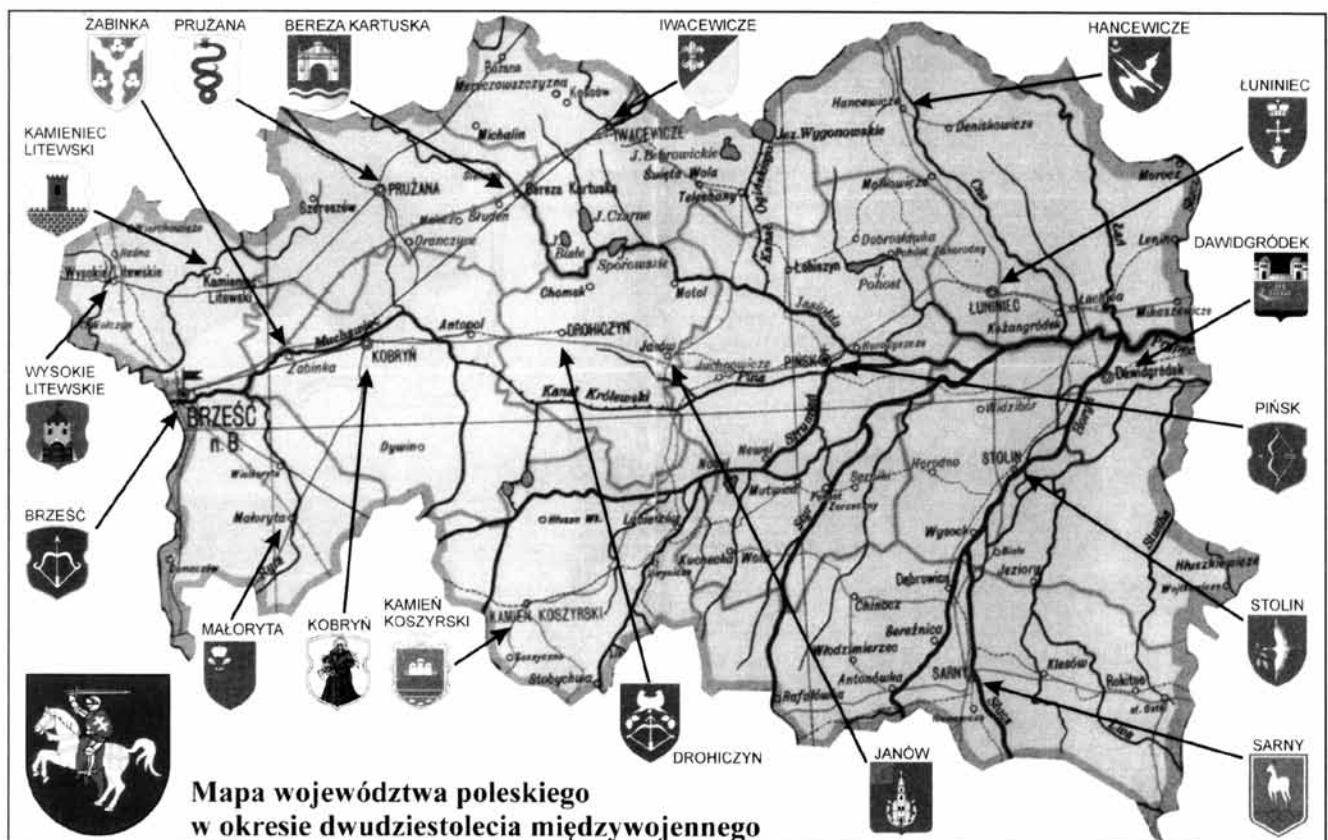
KULTURA WSI POLESKIEJ
na przełomie XIX i XX wieku

Miłośnikom Polesia, Organizatorom i Uczestnikom IV Krajowego Zjazdu byłych Mieszkańców Polesia i ich potomków w Białkowie – 19.05.2012 r.

Polesie to kraina przyrodniczo-historyczna leżąca obecnie na terenie trzech państw: Ukrainy, Białorusi i Polski. Trudno było badaczom wyznaczyć jednoznacznie granice Polesia. Według *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydanego w 1887 roku, Polesie to *„szeroki pas kraju pokryty lasami, ciągnący się po obu brzegach rzeki Prypeci między Bugiem a Dnieprem»*. Współcześnie największa część tej krainy należy do Republiki Białorusi i wchodzi w skład Obwodu Brzeskiego. Wschodnie tereny, które w okresie międzywojennym należały do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (a ściślej Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej), wchodzą obecnie w skład Obwodu Homelskiego i ciągną się aż po granicę Białorusi z Rosją. Południowa część krainy znajduje się na terytorium Ukrainy, w okręgach wołyńskim oraz rówieńskim. Na obszarze Polski pozostały jedynie północno-zachodnie skrawki Polesia, leżące w lewym dorzeczu Bugu i określane jako Polesie Podlaskie lub Polesie Lubelskie (którego głównym ośrodkiem jest Włodawa), a także zachodnia część Polesia Wołyńskiego z pagórami chełmskimi oraz obniżeniami dubieńskim i dorohuckim.

Dzisiejszy obszar Polesia nie pokrywa się z obszarem przedwojennego Województwa Poleskiego, ponieważ dawne powiaty Sarny oraz Kamień Koszyrski znalazły się w Ukrainie, doszły natomiast rejony Baranowicze oraz Lachowicze, które przed drugą wojną światowa wchodziły w skład Województwa Nowogródzkiego.

Na dzisiejsze ukształtowanie geologiczne Polesia wpływ miały „odległe epoki geologiczne". Platforma wschodnioeuropejska, na której usytuowane jest Po-



Mapa Polesia

lesie, należy do prekambryjskiej tarczy krystalicznej Europy, zbudowanej z pofałdowanych skał metamorficznych, poprzecinanych intruzjami granitu. Wielokrotne pęknięcia warstwy granitu, które nastąpiły w paleozoiku, doprowadziły do utworzenia niecki, na niej osadzały się warstwy kredy oraz inne osady ery mezozoicznej i kenozoicznej. W epoce paleogenicznej teren pokrył się warstwą piasku oraz gliny i dwukrotnie stał się zalewiskiem morskim, którego ślady widoczne są w postaci osadów. Współczesna rzeźba Polesia kształtowała się od epoki dyluwialnej, kiedy olbrzymie lodowce północne przeorały lżejsze warstwy poprzednich osadów i zasypały je pokładem moren. W tej samej epoce woda z topniejących lodowców pogłębiła teren, zalała prawie cały obszar Polesia. Stąd swój początek wzięło zabagnienie krainy. Dzięki wyżej wymienionym procesom na obszarze Polesia wytworzyły się główne gatunki gleb, czyli bagno torfowe (zajmujące na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku jedną trzecią część terenu), piaszczyste gleby oraz czarnoziemy bagienne powiększające się w miarę osuszania terenu. Polesie było największą krainą bagien w całej Europie. Bagna i moczary zajmowały aż 56% jego powierzchni. Największym z nich było Bagno Kaczajskie, które mierzyło 4500 km^2, ale najbardziej popularne wśród turystów było Bagno Hryczyńskie, które zajmowało obszar 682 km^2. Stanowiło najbardziej rozległe bagno otwarte w Europie.

Polesie to kraj typowo rolniczy. Przedwojenne Województwo Poleskie, było największym w II Rzeczypospolitej, a zarazem najrzadziej zaludnionym (na jeden kilometr kwadratowy przypadało około 31 osób). Wśród 4.339 wszystkich osad w województwie było tylko osiemnaście miast oraz trzydzieści osiem miasteczek. Resztę stanowiły zaszyte wśród lasów i bagien wsie, często oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów. Przedwojenna pisarka Emma Jeleńska pisała, iż pod koniec dziewiętnastego wieku największy obszar Polesia zajmowały lasy, przede wszystkim bory sosnowe, w których występowały także brzozy, osiki, dęby, jarzębie oraz zarośla leszczyn i jeżyn. Czarne jagody, grzyby, widłaki, paprocie i brusznice tworzyły bujne runo leśne. W lasach spotykane były mokradła: tzw. mochy (porośnięte mchami torfowcami, i krzewinkami żurawin) oraz biele (poszyte wełnianką wąskolistną, której biały puch zadecydował o tej nazwie). Bywały także tereny szczególnie piaszczyste, gdzie nie występowała prawie żadna roślinność. Bory nazywane przez Poleszuków szczerym borem w niższych i bardziej podmokłych terenach stopniowo przechodził w ols, rosnący na niewielkich wzniesieniach otoczonych wodą. Przeważały w nich gatunki takie jak olsza czarna, jesiony, osiki i brzozy, a w podszyciu wierzby, czeremchy i czarne porzeczki. W lasach napotkać można było wiele gatunków zwierząt, w tym dziki, łosie, bobry, coraz rzadsze niedźwiedzie, ptaki takie jak bociany (busiel), jastrzębie (korszaki), czaple, żurawie, kuropatwy, dzięcioły, głuszce, kilka gatunków sów i wiele innych.



Leśne błoto. Foto A. Dubrouski

KULTURA MATERIALNA

Gospodarka wsi poleskiej

„Dziwny to kraj! Kraj czarnych, posępnych, wilgotnych lasów, nieprzebytych, ponurych bagien […]. Jak oko sięgało, po prawej i po lewej stronie, na olbrzymiej przestrzeni ciągnęły się bagna. Wokoło: zieleń we wszystkich odcieniach. Całą tę olbrzymią, kilkadziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych mającą przestrzeń stanowiły bagna, zamaskowane z wierzchu zielonym kobiercem. […] Miejscami zieleniły się piękne łąki, o subtelnym zielonym kolorze, zamaskowane krótką, aksamitną trawą, pod którą czaiła się – śmierć. Jeden krok na tą piękną łączkę i człowiek giną niechybnie, wessany przez chciwe żeru bagno. Gdzieniegdzie rozrzuciły się lśniące jak stal jeziorka. […] Czas tu odmierza rozpalona złota kula słońca i zimna martwa tarcza księżyca, leniwie przetaczająca się po niebie. Człowiek tu wygląda dziwnie mały, nędzny i szczególnie niezaradny”. Tak oto Sergiusz Piasecki, jeden z uczestników wyprawy etnograficznej pod kierownictwem Józefa Obrębskiego w okresie dwudziestolecia międzywojennego, opisywał Polesie. Zobrazował krainę tą jako romantyczną i bardzo niebezpieczną, w której człowiek zdaje się być zupełnie nieporadnym stworzeniem, skazanym i zdeterminowanym przez przyrodę. Mieszkańcy Polesia rzeczywiście w dużym stopniu uzależnieni byli od uwarunkowań przyrodniczych, jednak trudne warunki, w jakich żyli nie sprawiały, że ludzie ci byli wobec nich zupełnie nieporadni. Wręcz przeciwnie, mieszkańcy Polesia byli doskonałym przykładem bardzo dobrego przystosowania i wykorzystania piaszczystej ziemi, rozległych bagien, błot i lasów, które dostarczały im wszystkiego, co do życia niezbędne. Były źródłem zarówno pożywienia, jak i podstawowego budulca – drewna. Ciężka praca, wyrabianie nowych zdolności technicznych oraz „współpraca” z środowiskiem umożliwiały życie i czerpanie korzyści z darów natury.



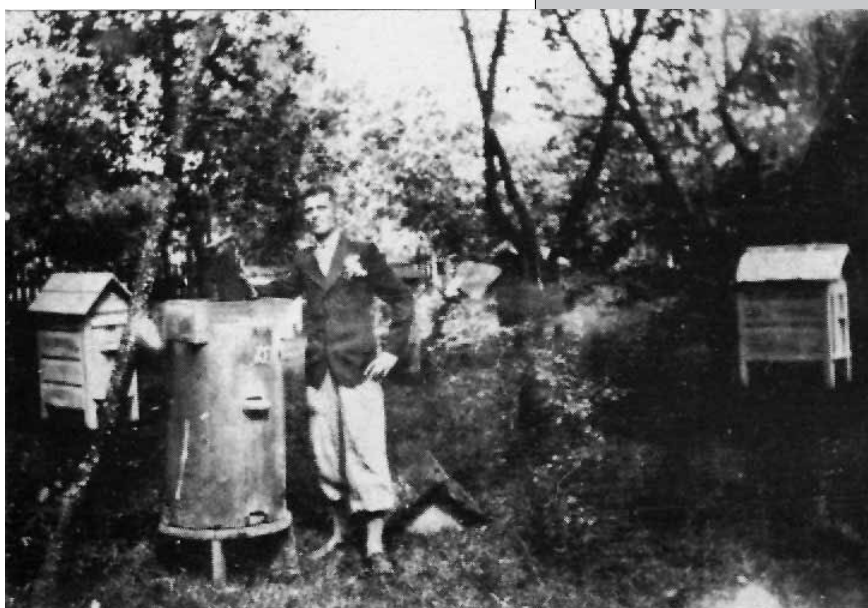
Barcie z okolicy wsi Otwierżycze.
Foto A. Dubrouski



Wieś Kudricze. Barcie.
Foto A. Dubrouski

Przykładem przystosowania się było bartnictwo, zajęcie bardzo popularne na Polesiu. Wyglądało zupełnie inaczej niż dziś, dość oryginalnie, bo pasieki nie mieściły się w pobliżu zabudowań gospodarskich, w sadzie, czy w innym wyodrębnionym do tego celu miejscu. Ule rozrzucone były po całym lesie, i umieszczane, w obawie przed niedźwiedziami i innymi potencjalnymi „złodziejami", wysoko na drzewach. Białoruski etnograf Iwan Eremicz pracę pszczelarza opisywał następująco: *„Na jakie 10 sążni nad ziemią umocowuje w sosnę dwie grube poprzeczki i drewnianymi gwoździami o długości pół arszyna przybija do nich pomost, złożony z dwóch – trzech rzędów grubych desek długich na około 5 arszynów, tak żeby niedźwiedź, dobrawszy się do tej konstrukcji, […] nie mógł dostać jej krawędzi łapą. Na sosnę, bronioną takim pomostem, ciągnie bartnik przy pomocy prostej maszyny w postaci olbrzymiego koła swój ciężki ul lub smolistą sosnową kłodę o średnicy około półtora arszyna i wysokości trzech arszynów, z wydłubanym w środku pomieszczeniem na pszczoły i miód. Ul taki waży ze 20 pudów. Na jednej sośnie, której przed niedźwiedziem broni taki pomost, bywa dwa, trzy i więcej ulów. Ul okadza się wrzosem, jego wnętrze skrapia wodą miodową z pachnącymi trawami i kwiatami, z wierzchu obtyka wrzosem a w środku w odpowiednich miejscach umieszcza cienkie poprzeczki – i mieszkanie dla tak drogich gości […] jesienią, kiedy pora odebrać od robotnic daninę, Poleszuk wyrusza do boru z leziwem. Leniwo to sznur spleciony z cienkich nie garbowanych rzemyczków, podobny do mocnych podwójnych lejców. Do jednego końca leziwa przywiązana jest ławeczka może usiąść człowiek, do drugiego – hak. Gdy bartnik podejdzie z tym narzędziem do sosny lub barci (barć to dziupla dla pszczół wydłubana bezpośrednio w sośnie), przerzuca ten koniec leziwa, który zakończony jest hakiem, przez najbliższą mocną gałąź, tak żeby można było go dosięgnąć ręką. Potem siada na ławeczce i za drugi koniec leziwa winduje sam siebie na sosnę do gałęzi, przez którą przerzucone jest leziwo, do pomostu, albo i powyżej niego, w zależności od tego, gdzie wisi ul i skąd dostęp do niego jest najłatwiejszy. Następnie, umocniwszy się nieruchomo na leziwie za pomocą haka i pętli stojąc na samym pomoście, spuszcza na ziemię koniec leziwa, do którego chłopiec przywiązuje krubkę na miód i dymiący kawałek łuczywa […], po czym odrywa bartnik deskę zakrywającą otwór ula, podkurza pszczoły łuczywem i zaczyna swój podział zdobyczy z pszczołami. […] Przy dobrym urodzaju wrzosu otrzyma z jednego ula dwa do trzech pudów miodu. Niezależnie od wielkości ula, często dętego stopnia zalany jest on miodem, że z trudem daje się otworzyć".* Korzystanie z barci leśnych było wolne o ile lasy nie stanowiły własności dworskiej, wówczas wybieranie miodu i ścinanie drzew z barciami było surowo karane.

Pasieka Majczuków w Bohdziukach. 1936 r. Z archiwum E.Trzeciaka.



Tak, jak zaradność mieszkańców Polesia owocowała słodkim miodem, tak obfitość licznych poleskich jezior przynosiła dostatek ryb. Rybołówstwo było jedną z najbardziej popularnych dziedzin gospodarki poleskiej. Każdy je uprawiał i każdy czerpał z niego korzyści, bo nadwyżki można było łatwo sprzedać – bądź wędrownym handlarzom, bądź w miasteczku na rynku, zwłaszcza w piątek przed szabasem. Ryby łowiono przeróżnymi technikami – przeróżnych kształtów sieciami, małymi i dużymi, najrozmaitszej konstrukcji długości wędkami, wereszami, ościami i w zakotach. Połowów dokonywano także gołymi rękami, zwłaszcza zimą, gdy rybom brakowało powietrza i płynęły wielkimi ławicami do przerębla. Świeże ryby nie przynosiły zbyt dużych dochodów, dlatego latem zajmowano się ich suszeniem, a później sprzedażą.

Większych umiejętności i odpowiedniej znajomości nie tylko sposobów łowieckich, ale i zwyczajów zwierzyny, wymagało łowiectwo i pomimo, iż przynosiło wiele korzyści materialnych oraz stanowiło formę rozrywki, źródło przeżyć i przygód, nie było aż tak powszechnym zajęciem jak dwa powyżej opisane. *„Lasy są gęsto zaludnione rozmaitego rodzaju zwierzęciem.* – opisywała Emma Jeleńska w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia – *Spomiędzy drapieżnych, najgodniejszymi uwagi są niedźwiedzie, których tu dość wiele się znajduje. Latem snują się po lasach, wydzierając pszczoły, porywając pasące się na noclegach konie lub wyjadając grykę i owies z polanek chłopskich […]. Dziki często także się trafiają wśród niskich a gęstych zarośli. Stada sarn i jeleni snują się w dość znacznej ilości. Łosie, choć rzadko, wędrują w nasze okolice, a wilków i lisów posiadamy ogromną mnogość […]”*. Lasy i zwierzyna były zazwyczaj własnością państwa lub ziemian, dlatego też legalne polowania były możliwe dopiero wówczas, gdy zgodę na nie wyraził właściciel. Toteż wieśniacy najczęściej polowali głównie na ptactwo i drobną zwierzynę, wyprawy na „grubego zwierza” pozostawiając dworom. Wraz z upływem czasu zakres zakazów powiększał się, sprowadzając tym samym wieśniaków do roli kłusowników. Takie zakazy w parafii Wereszczyn na Zachodnim Polesiu wprowadzono już w siedemnastym wieku. Z ksiąg parafialnych przeczytać możemy, iż „*we włókach chłopskich we wszystkich wsiach samym sobie i chłopom swym wolne rąbanie żerdzi, drew, łuczywa pozwalają* [Panowie] *na ich własną potrzebę, obcym nieprzedawając ani rozdając. Drzewa bartnego albo na budowanie nie ruszając, li temu węgla żaden z poddanych, tak na cudzym jako i Pańskich robić nie ma”*. Zakazy nie obejmowały zatem użytkowania lasów na własne





podstawowe potrzeby, takie jak opał, lecz pozyskiwanie większych ilości drewna lepszego gatunkowo było zabronione.

Chociaż łowiectwo, zbieractwo i rybołówstwo stanowiły sporą część gospodarki Poleszuków, to nie one miały największe znaczenie. Najbardziej powszechnym zajęciem była hodowla bydła i pasterstwo, które odciskały piętno na całym życiu tamtejszego społeczeństwa. Dowodem na to jak duże te dziedziny miały znaczenie jest to, że prace związane czy to z sianokosami, czy też ze zwózką siana stanowiły najważniejsze wydarzenia w roku. Wyjątkowa pozycja pasterstwa na Polesiu wiązała się z ze słabą jakością gleb. Piaszczyste grunty wymagały obfitego nawożenia, a to zapewniły duże stada bydła. Kto nie miał bydła, nie mógł liczyć na dobre zbiory, tak więc kto nie miał bydła, nie miał chleba. Tego typu formy gospodarki rolnej potwierdzają księgi parafialne z Wereszczyna, gdyż podczas podziału dóbr Wereszczyńskich z siedemnastego wieku wymieniono stan posiadania włościan. Zatem tacy poddani, jak Andrzyk gospodarował wówczas na *sapieżańskiej włóce z parą wołów,* Grześko Bednarz *na pół włoki ma wołów trzy,* Giejowa z synem *ma krowę jedną,* Skwarczuk *ma wołów cztery na półwłóku,* Paweł Mazur *na półwłóku ma wołów parę,* Wołczyk Stecki *ma półwłóku ma wołów dwa, krowy dwie,* Protas Borys *ma wołów trzy, krowę jedną na włóce,* Misiejczyk *ma wołów dwa,* Kowal *na włóce ma wołów dwa, cielaków dwa, krów trzy,* Hajakowie *na włóce mają wołów dwa,* Piwowar Laszek *na półwłóku,* Piotr Mazur *ma wołów dwa*. Każdy gospodarz miał zatem w swoim gospodarstwie przynajmniej jedną krowę lub woła. Dowodem na rozwinięte pasterstwo w parafii wereszczyńskiej są księgi chrztów i zgonów z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, które wymieniają w jednej tylko wsi Wereszczyn aż kilku owczarzy: Wojciecha Kuruja, Wojciecha Oleszczuka, Antoniego Adamiuka, Szymona Wójciaka i Adama Lewtakowskiego.



Siano na rusztowaniach chroniących przed zalaniem go wodą na wiosnę (fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)

Od krajobrazu Polesia uzależniona była w wysokim stopniu uprawa roli. Pole nie znajdowało się, tak jak to zazwyczaj bywa, w pobliżu domu. Tak samo jak w bartnictwie czy pasterstwie, za przestrzeń gospodarczą służył rolnikowi poleskiemu cały obszar otaczającego wieś lasu. Jak wszystkie inne, również ta dziedzina życia wymagała od mieszkańców Polesia przystosowania się i umiejętnego wykorzystania tego, co mieli do dyspozycji. Rozległość obszaru, rozproszenie pól uprawnych, bardzo zróżnicowane gleby wymuszały różnorodność systemów uprawy. Tak pracę na roli opisuje Iwan Eremicz: *„Ziemia pole-*



Zwózka zboża. Dociskanie zboża na furze „rublem" (fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)


Zbiórka lnu – praca kobiet (fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)



ska jest mało urodzajna i nie zawsze wynagradza pracę rolnika […] Przy domu najczęściej czarnoziem, nie wymagający nawet nawożenia, w boru – piaszczyste polany. W czasie suszy rolnik ledwie zbierze te nasiona, które zużytkował na zasiew: mały, choć ciężki kłosek stoi daleko od swoich sąsiadów; za to na czarnoziemie urodzaj będzie wtedy świetny. Kiedy natomiast wiosną bywa taka powódź, że niektóre wsie poleskie wyglądają z daleka, jakby pływały po morzu, lub gdy wypadnie deszczowe lato, wówczas czarnoziem zdradzi rolnika – za to urodzaj w borze wynagrodzi go za skąpość żniwa w domu. W umiarkowanym roku i jedno i drugie da zbiór dostateczny dla wykarmienia rolników".

Zimą tempo i ilość pracy malały. Po wykonaniu codziennych czynności, obrządzeniu i nakarmieniu zwierząt pozostawało sporo czasu na różne zajęcia, na które brakowało go latem. Kobiety zajmowały się tkactwem, przędły i wyszywały. Len i konopie były w odpowiedni sposób przygotowywane. Kobiety czyściły włókna i trzepały trepałem, a potem czesały hrebieniem. Takie wieczorne domowe prace, na które kobiety z całej wsi schodziły się do jednej chaty były doskonałą okazją do spotkań towarzyskich, rozmów, śpiewów czy snucia przeróżnych opowieści. Tkactwo było bardzo cenione, a uznanie za dobrą prządkę było powodem do dumy. Zasobność w dużą ilość zapasów płótna, ręczników czy koszul świadczyła o zamożności domu.

Zimowe zadania mężczyzn opierały się na wyrobie i naprawie narzędzi, wozów, sań i czółen. Robili drewniane naczynia, pletli z wikliny oraz pręci wierzbowych kosze i płoty, a z lipowego łyka łapcie (nazywane także postołami), wereńki, czyli płaskie torby z wieczkami oraz kobiałki. Potrzeby



Piec garncarski tzw. horeń (fot. S. Hochman Stolin, ok. międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)

mieszkańców wsi poleskiej dawały się zaspokoić niemal kompletnie własną działalnością. *„Ławy, stoły, łóżka, sprzęty wszelkie robi każdy sam dla siebie, jak również sochę nadzwyczaj pierwotnej budowy, wozy, sanie, grabie i brony, kubły, beczki, kobiałki, niecki szafliki, itd. [...]*”. Emma Jeleńska doceniała pewne poczucie piękna, którym odznaczali się Poleszucy. Zauważała skłonności do „ornamentowania” domowych przedmiotów,



Tkanie płótna lnianego
(fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny,
ze zb. J. Szymańczyka)

naczyń, które malowano jasnymi barwami na ciemnym, glinianym tle oraz drobnych wyrobów z drewna. Łyżki, solniczki i tego typu przedmioty były *„wyrabiane z prawdziwym gustem i dokładnością”*. Również wędrujący przed wojną po Polesiu malarz Henryk Uziębło, pełen zachwytu nad tymi wyrobami, pisał: *„przepyszne kosze przeróżnych kształtów i przeznaczeń doskonale z łyka, sitowia czy łozy plecione, uderzają estetyczną prostotą i czystością formy [...] na drewnia-*



nych kołkach wiszą śliczne kobiałki, pomysłowe szufelki do zbierania leśnych jagód i żórawin błotnych. Nawet grzebień z drzewa zgrabnie kozikiem wystrugany, służy właścicielowi do rannego uczesania łba”.



Wyplatanie koszy, tzw. więcierzy do połowu ryb (fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)

Poleska gospodarka była niemal samowystarczalna. Główną jej zasadą i celem było: dużo ziemi, dużo bydła, dużo lasu i błota. Nie była odzwierciedleniem bogactwa i różnorodności poleskiej przyrody. Stanowiła raczej odbicie systemu społecznego, bogactwa i potencji organizacji społecznej, które były warunkiem sprawnego i dostatniego życia. Ta samowystarczalność była bardzo potrzebna Poleszukom, gdyż poszczególne wioski oddalone bywały od siebie często o dziesiątki kilometrów. Jeżeli jednak położone były w bliskim sąsiedztwie to kontaktowanie się nie było ułatwione, gdyż: *„Zły stan dróg, latem piaski, a w jesieni i na wiosnę nieprzebyte błoto po wsiach i groblach przyczyniają się jeszcze do tego, że mieszkańcy żyją wyłącznie dla siebie i z sobą, tworzą świat odrębny, do którego prawie przystępu nie mają zewnętrzne, obce wpływy i który sam bardzo mało dalszym światem się zajmuje”*. Komunikacja między wioskami możliwa była często jedynie dzięki łódkom zwanym czajkami lub duszehubkami, które wraz z długim wiosłem stanowiły podstawowy środek komunikacji Poleszuka. Przeprawy przez rzeki odbywały się także na promach, a dalsze podróże na statkach. Drogi bite należały do rzadkości, częściej spotykane były raczej różnego rodzaju drogi czy dróżki polne, a przede wszystkim groble, mosty, mostki i kładki. Zrobienie takich „dróg” wymagało sporo pracy. Niewielkie i często prowizoryczne groble na płytkich bagnach robiono z faszyny, kawałków drewna i wszystkich innych rodzajów materiału, który nadawał się do tego celu. Miejsca, gdzie błota były głębokie, wymagały większego zaangażowania i profesjonalizmu. Takie groble zaczynano wykonywać już w zimie, gdyż zamarznięcie torfowisk umożliwiało stworzenie odpowiedniej konstrukcji grobli. Po bokach planowanej drogi układano wielkie olchowe kłody, w poprzek cieńsze okrąglaki. Całość przykrywano wiązkami chrustu. W pewnych odstępach wyrąbywano poprzeczne kanały. Nad nimi stawiano mostki, oparte na palach wbitych w ziemię. Gdy ziemia rozmarzła, budowę kontynuowano kopiąc wzdłuż grobli kanały i równając jej powierzchnię warstwami piasku i wydobytego z rowów błota. We wsi groble przechodziły w główną drogę, wzdłuż której zazwyczaj ciągnęły się zabudowania.



Spław drewna na Kanale Królewskim (fot. 1937 r.)



Układ przestrzenny wsi

Typowa poleska wieś to tak zwana ulicówka. Czasami ze względu na podmokłe tereny odchodzono od tego typu zabudowania i stawiano zagrody w sposób nieregularny na suchych ostrowach. W dużych, przeludnionych wsiach zabudowa ciągnęła się wzdłuż dwu lub czasem nawet kilku dróg. Chaty zwrócone były do nich szczytami, a zagrody najczęściej miały kształt wydłużonych prostokątów. Wygląd jednej ze



Typowa wieś poleska (fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny, ze zb. J. Szymańczyka)



Rybak przy swojej chacie
(fot. J. Szymańczyk, ok międzywojenny,
ze zb. J. Szymańczyka)

wsi w swoim dziele opisała Emma Jeleńska: *„Za dawnych czasów trzymano się takiego porządku w budowaniu wsi, że domy mieszkalne stały po jednej stronie ulicy, po drugiej zaś stawiano klecie, świronki, a nieco dalej od chat ogrodzenia gumnami i ozierody. Dziś jest inaczej: przy powiększonej ludności chaty budują po obu stronach ulicy; tylko gumna zostały po jednej stronie i ciągną się o paręset kroków, równolegle do zabudowań gospodarskich, jakby druga, mniejsza wioseczka. […] Ulica nie jest wszędzie jednostajnie szeroka, czasem się zwęża, czasem rozszerza; nigdzie nie ma mniej jak dziesięć do dwunastu łokci”*.

Oprócz typowych wsi często występowały na Polesiu osady leśne. W parafii wereszczyńskiej takich osad było kilka, a nazywano je *majdanem* lub *budami*. Występowanie w nazwie osady słowa *budy* świadczyło, iż osada składała się z niedbale skleconych drewnianych chat, stawianych w układzie czworoboku, w których mieszkali pracownicy leśni. Mieszkańcy ci zajmowali się pracami leśnymi, a to ze względu na rozciągające się dookoła duże połacie lasu. Księgi chrztów i zgonów z kościoła wereszczyńskiego jako pierwszych mieszkańców osady Budy Dębowieckie wymieniają wyłącznie popielarzy i smolarzy, trudniących się prymitywną obróbką chemiczno-termiczną drzew i karp porębowych. Podobnie było w innych tego typu osadach tejże parafii, jak Budy Wytyczańskie, Majdan Wincencin i Majdan Dominiczyn.

Charakterystyczne na wsi poleskiej były małe cerkiewki, rzadziej kościółki, które w malowniczy sposób wpisywały się w tamtejszy krajobraz. Były zbudowane z drewna, pokryte dranicami lub słomą. Ocieniały je zazwyczaj stare lipy lub brzozy. Było to dla dziewiętnastowiecznego polskiego etnografa Leona Kunickiego miejsce *„święcenia uroczystych epok w życiu wieśniaka i węzłem łączącym go ze Stwórcą. Opodal cerkwi, pośród łanów zboża, widnieją zwykle jej towarzyszki, mogiłki, z mnóstwem krzyżów i krzyżyków, tych jedynych pomników na grobach wieśniaczych”*. Małe kościółki poleskie zachwyciły również Ignacego Kraszewskiego, który we





„Wspomnieniach z Wołynia, Polesia i Litwy” pisał: *„Na prawo miły czysty kościółek wygląda z za drzew. Jest w nim cudowny obraz Bogarodzicy, uczęszczany przez pobożnych pielgrzymów z daleka […]. To wszystko i otaczająca cichość zdaje się wzywać do modlitwy, daleko bardziej niż wiele kościołów szumnych, gdzie za błyskotkami próżnemi Pana Boga nie widać”*. Gdy we wsi stał drewniany krzyż, zawsze obwieszony był jaskrawymi, różnobarwnymi małymi fartuszkami, starannie uszytymi, a czasami wyhaftowanymi, które kobiety zawieszały, gdy miały w nocy zły sen, w nadziei, że uchroni je to od niepowodzeń.



W największych wsiach znajdowały się młyny, początkowo wodne, później też wiatrowe. Były niezwykle ważnym elementem w życiu wsi i miejscowości okolicznych, dlatego też młynarz we wsi był człowiekiem zazwyczaj najbardziej uposażonym. Pierwszych młynarzy sprowadzali właściciele ziemscy, tak też było we wsi Andrzejów, położonej na obszarze parafii wereszczyńskiej, w której posiadający włości Stanisław Andrzejewski zawarł kontrakt z młynarzem Wojciechem Kozyrą. W ramach uposażenia młynarz otrzymał roczne zaopatrzenie w pożywienie, składające się z: *złotych polskich trzydzieści, żyta korcy trzy, jęczmienia korzec, piwa beczkę, soli szynków trzy, połeć słoniny, sadła, masła kwart dziesięć.* Jednakże *do roboty pracowników sam doosabiać i najmować powinien,* za wyjątkiem prac *do ujęcia wody i do palów ubicia.* Natomiast na kontrakt następnego sprowadzonego do Andrzejowa młynarza składało się: *ze młyna miarkę trzecią mieć będzie, ogrody, plac na postawienie chałupy i pola, półtora korca łęczyńskiego na każdy rok i łąki po błota aż pod młyn.* Wszyscy chłopi z majątków andrzejowskich byli zobowiązani do przymusowego mielenia zboża w tymże pańskim młynie i uiszczania z tego tytułu opłat w postaci miar zbożowych.

W każdej wsi występowały miejsca zgromadzeń mieszkańców. Głównym takim miejscem była ulica. Zimą opustoszała, latem zamieniała się w miejsce spacerów, pogawędek, czasami w niedzielę także w salę balową, gdzie przy dźwiękach skrzypiec i bębenka bawili się i starzy i młodzi. Innym miejscem spotkań była karczma. Najbardziej znany dziewiętnastowieczny polski etnograf Oskar Kolberg opisywał je następująco: *„Karczmy bywają już to długie budynki z podcieniem i stajnią do zajazdu dla podróżnych [...] z dużą kwadratową izbą szynkowną, otoczoną w koło ławami, bez stołów przed niemi a zwykle z jednym tylko stołem, w której jednym kącie, przeciwległym drzwiom, znajduje się za kratami drewnianemi szynfaks, a za nim lub obok niego drzwi prowadzą do mniejszej izby zwanej wankyr (alkierz), mieszkania szynkarza. Rzadko kiedy widzieć się tu dają pozytywy grające czyli katarynki, a do tańca przygrywają skrzypkowie wiejscy”*.



Młyn wodny w okolicach Drohiczyna (fot. „Polesie ilustrowane”, pod red. O. Nelarda, s. 112)

Zagroda i chata poleska

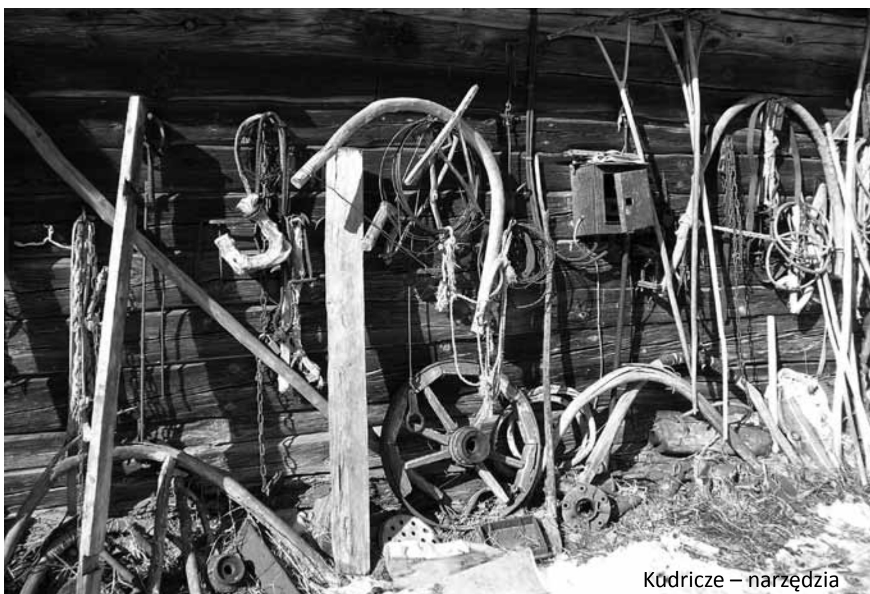
Charakterystyczny dla Polesia był nie tylko układ przestrzenny wsi, ale również układ przestrzenny samego podwórza. Do zagrody wchodziło się przez furtkę lub wrota, czyli wbite w ziemię dwa ociosane słupy połączone ze sobą u góry w półkole. Na przeciw głównej bramy, w drugim końcu podwórka, do ogrodów prowadziła niższa brama. Podwórko miało zazwyczaj kształt wydłużonego prostokąta zwróconego do ulicy krótszym bokiem. Po prawej stronie bramy wznoszono chatę. Przy chacie budowano ściobkę, czyli spiżarnię ogrzewaną w zimie, oraz kleć. Dalej stały pomieszczenia dla bydła, drobiu i świń, sielnik przeznaczony na siano oraz stodoła, w pobliżu której wykopana była piwnica. Najbardziej malowniczą część zagrody stanowiły powietki – szopy otwarte od strony podwórza, które mieściły sanie, wozy, narzędzia rolnicze i rybackie. Ściany poszczególnych budynków tworzyły naturalne ogrodzenie posesji. W miejscach gdzie nie było zabudowań postawiony był płot, najczęściej upleciony z wikliny, tzw. koszowy lub z gałęzi zwany laskowym. Płot laskowy już na początku dwudziestego wieku uznawany był za gorsze rozwiązanie niż płot sztachetowy, ale ze względu na trudność w zdobywaniu materiałów do stworzenia


Zagroda w Kudriczach


Chata w Kudriczach Foto A. Dubrouski


Kleć

Foto A. Dobrouski


Kudricze – narzędzia

innego rodzaju ogrodzeń był bardzo często wykonywany. Podobnie było z płotem koszowym, zwanym w okolicach Włodawy *plitenia.* Ogrodzenia pełniły dwojaką praktyczną funkcję. Chroniły obejście od łatwego dostępu z zewnątrz oraz wyznaczały granicę gospodarstwa, skupiając budynki w zagrodzie w jedną zamkniętą całość. Budynki gospodarskie skupione były na małej przestrzeni, wszystkie były raczej niskie i niewielkie. Bywało, że gospodarz posiadał własną studnię usytuowaną na środku podwórza. *„Jeżeli nie jest wielkim egoistą, to kopie ją na brzegu swego dziedzińca w ten sposób, ażeby parkan, odgradzający jego domostwo od ulicy, rozdzielał studnię na połowę”* pisał Czesław Pietkiewicz. Umożliwiał w ten sposób swobodny dostęp do wody sąsiadom. Istniało nawet przekonanie, że duża liczba studni we wsi świadczy o niezgodności i braku porozumienia między jej mieszkańcami .

Charakterystyczną cechą systemu budownictwa była surowość i brak dekoracji, a także wykorzystywanie tego, co ofiarowała ludziom natura: zarówno materiałów, jak i ich naturalnych kształtów i form. Wynikało to, jak pisze Emma Jeleńska, z niechęci do *„wszelkich spajań, przymocowań itp. To też na każdym kroku znajdujemy takie nieobrobione prawie, naturalne kształty, z których oni umieją skorzystać dla własnych potrzeb”*. Podstawowym materiałem wykorzystywanym do budowy było drewno. Było to spowodowane łatwą dostępnością, ale nie tylko. Chałupie drewnianej przypisywano takie zalety jak ciepłość, suchość, przewiewność. Najczęściej do budowy wykorzystywano drzewo sosnowe. Drzewo dębowe, jako trwalsze, używane bywało na podwaliny, futryny, słupki itp. Dopóki nie zostały wprowadzone prawne ograniczenia, na budulec wybierano starodrzewy liczące niekiedy około 300 lat, które uznawano za materiał najtrwalszy, nieprzepuszczający wilgoci, ciepła i nie podatny na działanie szkodników. Do krycia dachów, gumna i niektórych budynków gospodarczych używano trzciny, koszonej zimą na zamarzniętych bagnach. Jednak ze względu na wysychanie terenu i zmianę roślinności zastąpiono ją słomą. Ściany budynków uszczelniano natomiast mchem. Poleszucy uznawani byli za zdolnych cieśli. Sami radzili sobie z mniejszymi budowami, naprawą i ulepszaniem budynków gospodarskich. Jednak poważniejszych przedsięwzięć, jak budowa domu, nie podejmowali się. Prosili wówczas o pomoc wybitniejszego majstra, czyli tzw. płótnika. W końcu wieku XIX zaczęto odchodzić od tradycyjnych metod budowania, a prace przy budowie nie były wykonywane przez samych gospodarzy, ale przez bardziej wykwalifikowanych cieśli z innych terenów, przyjeżdżających na Polesie sezonowo. Ich metody naśladowane później były także przez Poleszuków, ale ze względu na brak wiedzy o funkcji poszczególnych elementów konstrukcyjnych często łączono nowe rozwiązania z tradycyjnymi, efektem czego były ciekawe i oryginalne budynki czasami z wieloma zbędnymi elementami. Największe zmiany nastąpiły po roku 1918, kiedy *„wraz z nowymi powiewami szybko ją się zmieniać prastary wygląd wsi poleskiej, jak na przykład koło Brześcia, Włodawy, Kobrynia, Pińska i dalej na południe na Polesiu Wołyńskiem”*. Odbudowa zniszczonych wsi pociągała za sobą odchodzenie od tradycyjnych form budowy. Domy coraz częściej stawiane były frontem do ulicy, bywały powiększane i podwyższane. Jednak wiele elementów zostawało niezmienionych.

„Chata Poleszuka jest oryginalna, pierwotnej budowy, która na pierwszy

rzut oka może się wydać stosowniejszem mieszkaniem dla bydląt, niż dla ludzi, a która pomimo to doskonale zaspokaja potrzeby swych właścicieli" – pisała Emma Jeleńska. Wynikało to z trybu życia, jaki Poleszucy prowadzili. Ogromną część swojego czasu poświęcali pasterstwu, a to wiązało się z koniecznością częstego opuszczania domu i sypiania w prowizorycznych kurendach, czyli budowlach bez komina. Dlatego też chata nie była tak jak na innych obszarach ogniskiem domowym, ale raczej miejscem schronienia, które miało zaspokajać podstawowe potrzeby jej mieszkańców. Poleski dom był niewielki (około 14-16 arszynów długości na 7-8 arszynów szerokości), co wynika zarówno z tego, że małe budynki były łatwiejsze do wykonania, jak i z towarzyskiej natury wieśniaków poleskich. Chałupę stawiano na podwalinach, czyli kwadratowych belkach, zwykle dębowych, ze względu na dużą trwałość.

Chata składała się z trzech nierównych pomieszczeń. Przez środek biegła najmniejsza sień, czasami zakończona komorą, po prawej stronie znajdowała się izba mieszkalna, po prawej zaś kleć lub ściobka, niekiedy zamieniana na drugie pomieszczenie mieszkalne tzw. swietlice. Jednak chat dwuizbowych było stosunkowo niewiele, spotykane były w rodzinach, których liczebność znacznie się powiększyła i brakowało miejsca. W kleci znajdowały się najcenniejsze rzeczy. W ogromnych łubianych kubłach złożona była odzież całej rodziny, płótno, namiotki, paczki lnu i wełny, motki uprzędzonych nici, słonina, suszone grzyby, łyko na łapcie, sól, lipówki z miodem oraz pieniądze. Sień była miejscem wykonywania wielu prac, zastawiona była różnego rodzaju sprzętem niezbędnym w gospodarstwie, czyli wiadrami, cebrami, żarnami. Z sieni po drabinie można było przejść na strych. Przez niskie drzwi wchodziło się do zalanej półmrokiem izby, do której w dzień słońce wpadało przez trzy maleńkie okienka a wieczorem, choć jasno płonące, łuczywo nie dawało wystarczającej ilości światła. Znaczną część tego pomieszczenia zajmował wielki piec, który spełniał wszelakie funkcje. W dolnej części w tzw. podpieczju gnieździły się kury, nieco wyżej na prypieczku można było usiąść, a nawet wygodnie się położyć. W najszerszej części, najlepiej ogrzanej zimą, przez całe dnie przesiadywały dzieci, nocą zaś stanowiło miejsce sypialne dla najstarszych członków rodziny. Początkowo stawiano gliniane piece, pod koniec wieku dziewiętnastego i na początku dwudziestego należały już do rzadkości i zostały całkowicie wyparte przez ceglane. Do ściany przy piecu przytwierdzano szeroką ławę zwaną też połką czy łożą, na której mogło spać kilka osób. Najczęściej miejsce to zajmował gospodarz z żoną. Posłanie młodszych członków rodziny stanowiły ławy pod oknami. Liczba śpiących w jednej izbie sięgała nawet kilkunastu osób, zmniejszała się latem, gdy można było spać w stodole, czy na świeżym powietrzu.

Kudricze. Izba z klepiskiem
Foto A. Dobrouski



Nad połką umieszczony był drąg do wieszania ubrań, a miejscem na drobne rzeczy były belki pułapu, za które wsuwano: wrzeciona, wiązki lnu, suche zioła, czy tez łyko na łapcie. Gdy w domu było małe dziecko do belki, za pomocą sznurów, mocowano łubianą kołyskę, w której bez konieczności wstawania, matka mogła ukołysać niemowlę. Stół gromadził całą rodzinę do wspólnych posiłków. Zrobiony był z kilku desek, czasami miał szufladę. Przez cały dzień przykryty był obrusem, a na środku leżał na nim zawsze bochenek chleba otaczany wielkim szacunkiem. Miejsce w rogu izby, naprzeciwko drzwi, między dwoma oknami, było miejscem honorowym – tzw. pokuć. To tam zasiadał podczas wieczerzy gospodarz, tam także zapraszano gości. Nad oknem wisiały obrazy malowane ręcznie na drewnie. Zdaniem Emmy Jeleńskiej *„są one bardzo szpetne i śmieszne, ale z prawdziwie naiwną i szczerą wiarą wykonane. Zwykle przedstawiają jakąś Praczystą o dużej głowie na cieniutkiej szyi, świętych Pietro – Paulo, obok siebie stojących z księgą i kluczami, św. Jurja, czasem Michała, a niekiedy Trójcę Świętą"*. Pod koniec stulecia obrazy te zaczęły zastępować kolorowe malowidła, które można było zakupić na targu. Podobnie było z ubiorem, w który jak stwierdzała Jeleńska, zaczynały już wkradać się w tradycyjny strój elementy z zewnątrz, jednak proces ten postępował na Polesiu stosunkowo powoli i typowy strój poleski przetrwał bardzo długo.

Ubiór poleski

Ubiory w poszczególnych wsiach Polesia nieco różniły się od siebie. Wspólną ich cechą była skromność. Składały się z sukmany tzw. świty z ciemnobrunatnego lub szarego sukna (najczęściej wyrabianego z wełny własnych owiec) o długości do kolan, z prostym stojącym kołnierzykiem. Zimą sukmany zamieniano na kożuch ze skóry owiec z własnego stada, wyprawiany na biało, z dużym wykładanym kołnierzem. Czasami ozdobiony był wyszywanymi wzorami żółtymi lub zielonymi. Do przepasania sukmany używano skórzanych pasów zapinanych na dużą, prostokątną, mosiężną sprzączkę. Przy pasie zawieszano skórzaną kieszonkę tzw. kalitę, z hubką i krzesiwem, nóż w futerale i kawałek kutego żelaza do krzesania ognia.

Mężczyźni nosili koszulę z domowego płótna, o długości sięgającej do kolan, z małym kołnierzykiem, zawiązaną pod szyją czerwoną tasiemką. Na koszulę, wyłożoną na spodnie, zakładano długą kamizelkę *„z tyłu płócienną, a z przodu z domowej tkaniny wełnianej czerwonej w kraty lub w pasy*



Poleszuki – dwa pokolenia
(fot. J. Szymańczyk, lata 30., ze zb. J. Szymańczyka)



Poleszuczka z dzieckiem w dzień świąteczny (fot. jw.)

z czarnem, z zielonem lub żółtem". Miała ona duże wcięcie pod szyją, a zapinano ją na duże mosiężne guziki. Latem ze względu na wyższe temperatury mężczyźni zakładali spodnie płócienne, albo z materiału zwanego *„letnik"*, tkanego z lnu, w kraty białe z niebieskim. Buty, które były bardzo kosztowne i zakładane tylko od święta przez bardziej zamożnych gospodarzy zastępowały łapcie z łyka lipowego. *„Na nogach noszą naprzód płachty płócienne, któremi aż do kolan owijają nogi, a potem łapcie z lipowego łyka, związane czarnemi rzemykami w taki sposób, że tam gdzie noga jest cieńsza, rzemyki są gęsto jeden przy drugim położone, potem się krzyżują szeroko, a potem pod kolanem gęsto opasują nogę. [...]. Nigdy boso nie chodzą, chyba tylko koło domu, na podwórzu; gdy dalej iść muszą wkładają łapcie. Spodnie chowają do butów, albo rzemykami od łapciów u kolan wiążą"*.

Nakrycie głowy gospodarza lub parobka w dzień powszedni stanowił słomiany kapelusz, tylko w święta zamieniany na czapkę z czarnego baranka. Czapki najczęściej były kupowane na jarmarkach lub od przejezdnych kupców, jednak, zwłaszcza zimą, zakładano czapki szyte w domu: z białego sukna, czworokątne, otoczone wyłogiem z futra, który można zapiąć pod brodą i przykryć uszy.

Sukmany kobiet podobnie jak kożuchy, nie różniły się prawie od męskich, czasami były, zwłaszcza u zamożniejszych gospodyń, bardziej ozdobione. Oskar Kolberg pisał, iż *„niektóre z majętniejszych kobiet w Tarnowie mają sukman z granatowemi karwaszami (u rąk i na piersiach) wyszywany czerwonym i niebieskim sznurkiem"*. Tak samo wykonane i w ten sam sposób jak mężczyźni łapcie nosiły także kobiety.







Siemion Szyszko – Hruszowa (fot. lata 30., ze zb. B. Arciszewskiej)



Stroje ludowe z Saner k. Kobrynia (fot. I poł. XX w., z albumu Krystyny Pitery, własność Oddziału Etnografii MNG)

W dni świąteczne zastępowały łapcie tzw. czerewkami, czyli trzewikami z kokardami. Koszula u kobiet była dłuższa niż u mężczyzn i zapięta pod szyją na mały kołnierzyk. Miała szerokie rękawy obszyte w nadgarstkach wąską tasiemką. Kołnierzyk, tasiemka i rękaw, od łokcia w dół, wyszywane były czerwoną nicią w różne wzory. Spódnica była długa do samej ziemi, marszczona koło pasa i zawsze związana tkanym paskiem, którego końce zwisały u boku. Najczęściej tkana była z konopi, latem do pracy noszone były lżejsze spódnice płócienne. Fartuchy zakładane, na co dzień różniły się od świątecznych. Do pracy kobietom służyły fartuchy płócienne, w czasie świąt ubierały się w białe, perkalowe z naszywkami albo wstawką wykonaną na szydełku.

Najpospolitszym nakryciem głowy wśród młodych mężatek była tzw. kimbałka, czyli czepiec i chustka z długimi końcami. Panny splatały warkocz i zakładały chustę podobną do noszonych przez mężatki. Starsze kobiety głowę owijały w długie ręczniki z końcami opadającymi do przodu. Kobiety zamężne zawsze upinały włosy, nigdy ich nie zaplatały w warkocze, gdyż był to przywilej panien i ostatni raz czyniły to na ślubie. W domu przy pracy młode dziewczęta zaplatały warkocz wkoło głowy, kobiety zaś zdejmowały chustki i chodziły jedynie w perkalowym kapturku. Dalsze ubranie głowy kobiety (osobliwie do wyjścia) stanowi perkalowa, kwadratowa duża chustka biała lub kolorowa, najczęściej z żółtem lub zielona w kwiaty. Nieodłącznym elementem świątecznego ubioru były u kobiet koraliki, najczęściej szklane i tanie oraz kolorowe wstążki zakładane na szyję lub z tyłu głowy. Rzadko kiedy zaopatrywano się w taką biżuterię w miastach, najczęściej nabywane były od przejezdnych kupców. Przez wieś Wytyczno na Polesiu Zachodnim raz w roku przepędzano z Wołynia stada owiec, koni i bydła rogatego na największy w okolicy jarmark łeczyński. Gdy kupcy wracali z targu sprzedawali miejscowej ludności świecidełka, tkaniny oraz inne wyroby rzemieślnicze. Podobnie zaopatrywane był inne poleskie wsie.

Maleńkie dzieci ubierane były w przepasaną koszulkę, a na głowę zakładano im tzw. *szypoczkę*, czyli kolorową czapeczkę. Dzieci w wieku około 10 lat ubierano bardzo podobnie do dorosłych i ich strój nie różnił się prawie wcale. Czasami chłopcy dostawali po ojcu starą czapkę, a dziewczynki perkalową chusteczkę i spódniczkę z letniej niebieskiej tkaniny. Zdarzało się także, że dzieci otrzymywały łapcie, uplecione przez kogoś z rodziny. Uważane to było za przejaw elegancji.

Cdn.

Koniec części I



UBIORY POLESKIE. Początek XX wieku



Ubiory świąteczne zamężnych kobiet z powiatów brzeskiego i kobryńskiego



Ubiór świąteczny zamężnej kobiety z powiatu drohiczyńskiego



Świąteczny ubiór zamężnej kobiety z powiatu łuninieckiego



Świąteczny ubiór zamężnej kobiety z powiatu małoryckiego



Stroje weselne Zachodniego Polesia z początku XX wieku

Mistrzowie twórczości ludowej Polesia

Stowarzyszenie Twórców Ludowych przy ZPB w Brześciu działa od roku 2007 pod kierownictwem Stanisławy Karpol i liczy 40 osób. Działalność obejmuje różnorodne dziedziny twórczości: od tworzenia dekoracji zewnętrznych i wewnętrznych do kreacji strojów teatralnych i ludowych oraz dekoracji do spektakli. Celem działalności Stowarzyszenia jest pielęgnowanie dawnych tradycji twórczości ludowej oraz rozwój sztuki współczesnej w oparciu o tradycje przodków. Podczas wyjazdów członkowie Stowarzyszenia organizują pokazy i warsztaty. Do najważniejszych dokonań Stowarzyszenia należą liczne wystawy okolicznościowe w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki oraz w Konsulacie Generalnym RP w Brześciu, prezentacje swoich rękodzieł na jarmarkach w Polsce.

Mistrzowie twórczości ludowej reprezentują różne regiony Polesia, najczęściej są mieszkańcami małych miejscowości.

Drogim Czytelnikom proponujemy skromną prezentację prac członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych przy ZPB O/Brześć.



Stanisława Karpol, Brześć



























Józefa Homziuk, wieś Omelin



















Natalia Klimiuk, Kobryń





















Halina Wawryniuk, Brześć













Maria Borysiuk, wieś Jachowicze, rejon Brzeski

















Natalia Rabcewicz,
wieś Chotynicze,
rejon Hancewicze







